Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 34 (1430) ROK XXVIII 24 SIERPNIA 1985 ROKU CENA 20 ZŁ

- „Wielki las" Zbigniewa Nienackiego
- Podróż do grodu św. Marka
- Tratwa - baza ludzi upadłych
- O Wandzie, co chciała Niemca.

Co i jak robić?

ALFRED LUTRZYKOWSKI

W kulturze politycznej Polaków od wieków dominują: poczucie potrzeby i chęć wpływania na bieg życia społecznego. Tak jest — moim zdaniem — gdy mowa o postawach, rozumianych tu jako gotowość do określonych zachowań. Zadanie byłoby bardziej złożone, gdybyśmy chcieli opisywać, wyjaśniać i wartościować rzeczywiste zachowania, postępowanie w sprawach i sytuacjach „politycznych". Tu poczucie potrzeby i chęci zderzają się z rzeczywistymi możliwościami, różnymi w poszczególnych okresach historycznych.

W rozmaitym stopniu dążenie Polaków do współudziału w decyzjach łączyło się z możnością współuczestniczenia w realizacji funkcji sterowniczych. W efekcie poczucie współodpowiedzialności za taki a nie inny bieg życia zbiorowego kształtowało się rozmaicie. Oczywiście problem współodpowiedzialności nie sprowadza się tylko do jej poczucia, ale także, a może przede wszystkim, obejmuje różnorodne skutki decyzji sterowniczych, które kształtują w określony sposób warunki i życie jednostek, grup, bądź całego społeczeństwa. Nieraz przychodziło naszemu narodowi ponosić okrutną odpowiedzialność za decyzje podejmowane poza lub ponad nim albo rzekomo w jego imieniu.

PYTANIA O PRZYCZYNY I SKUTKI

Z powodów wskazanych wyżej należy, jak sądzę, mówiąc o naszej kulturze politycznej czy badając ją, odróżniać określone predyspozycje psychospołeczne jednostek i grup społecznych od rzeczywistych zachowań (działań, zaniechań). Rzecz jasna, że owe predyspozycje nie kształtują się w oderwaniu od praktyki życiowej, osobistych i zbiorowych doświadczeń. Każde zaś zachowanie jest wyrazem określonych poglądów, ocen. Jednakże świadomość nie jest prostym, mechanicznym odwzorowaniem realnych warunków materialnych. Podobnie rzeczywiste czyny ludzkie nie są pełnym, automatycznym wyrazem myśli. Realne warunki, w jakich żyje człowiek, zawsze w określony sposób „załamują" zamiary, postawy.

Pytania: co i jak robić, aby: (1) w kulturze politycznej Polaków dominowały współdecydowanie i współodpowiedzialność, (2) dążenie do współudziału w decyzjach łączyło się z gotowością współpracy w realizacji i współodpowiedzialności za skutki, (3) znieść podziały między obywatelami i władzą na „my" i „oni", (4) zwalczyć nawyki ...roszczeniowego traktowania państwa i anarchistycznej nieodpowiedzialności — są pytaniami, upraszczając nieco sprawę, o s k u t k i, o b j a w y (pewnych zaburzeń).

Pytania: co i jak robić, aby (1) przezwyciężać to, co sprawia, że idea demokracji czyli władza ludu, wyradza się w deklarowanie władzy w imieniu ludu, (2) zwalczyć nawyki paternalizmu i biurokratycznej monopolizacji władzy — są pytaniami o p r z y c z y n y.

Odpowiedź na te pytania jest zadaniem szalenie trudnym, złożonym i odpowiedzialnym, szczególnie w obecnych warunkach, w aktualnej sytuacji Polski i Polaków. Jednakże — w toku poszukiwania dróg wyjścia z opresji — w jakiej znaleźliśmy się — muszą te pytania paść, i to nie tylko w wąskim gronie uczestników ankiety, lecz w znacznie szerszym społecznym kręgu. Odpowiedzieć na nie musimy wszyscy — dojrzali, świadomi, rozumni, dla których Ojczyzna, naród państwo, socjalizm, bezpieczna przyszłość to pojęcia konkretne i własne. Wiadomo, że nie będzie to łatwe, jednak musimy, we wspólnej na nie odpowiedzi, porozumieć się, a więc ustalić, choćby w znacznym przybliżeniu, naszą wspólną Polaków odpowiedź na pytanie o przyczyny dzisiejszej niedyspozycji społeczno-polityczno-ekonomicznego organizmu kraju: potrzebna też jest, obok beznamiętnej faktografii, rzetelna, pozbawiona masochistycznych akcentów ocena owych endo- i egzogennych czynników stresо- i chorobotwórczych.

3

Gwiazda gwiazd w Sopocie

Bohdan Gadomski pisze o Shirley Bassey

10

„Śmierć higieniczna"

już w kioskach „Ruchu"

tom opowiadań SF z „Biblioteki Odgłosów"

Zaskoczyła mnie ta propozycja...

— Kiedyś uczestniczyłem w spotkaniu przedwyborczym z kandydatem na posła — **mówi Tadeusz Michalski.** — Przez nasze środowisko byłem upoważniony do zabrania głosu i przedstawienia nurtujących nas problemów. Kandydat po prostu mnie zwymyślał, uznał, że zawracam mu głowę małymi, nieważnymi sprawami, podczas gdy on ma do spełnienia wielkie zadania. Podobnie — nieuprzejmie i z góry — potraktował zabierającego głos po mnie rzemieślnika — piekarza.

Zdenerwowałem się wówczas i publicznie oświadczyłem kandydatowi, że skreślę jego nazwisko z listy wyborczej i będę agitował innych, aby uczynili to samo. Ten człowiek został posłem (już nim nie jest), a moja opinia o nim pozostała niezmieniona, to nie był właściwy człowiek do pełnienia tej funkcji.

Poseł to — jak sama nazwa wskazuje — człowiek posłany przez innych, mający w ich imieniu dążyć do tego, czego oczekują. Oczywiście nie wszystko da się osiągnąć — ale wtedy poseł musi zdać sprawozdanie wyborcom, dlaczego nie chce lub nie może podjąć się realizacji jakiegoś postulatu lub też jakie są przeszkody, aby mógł on zostać zrealizowany.

W żadnym razie poseł czy kandydat na posła nie ma prawa spoglądać na wyborców z góry, z pozycji władzy, która wszystko wie lepiej...

To zdarzenie miało miejsce wiele lat temu, a obecnie pan Tadeusz Michalski — rzemieślnik, właściciel zakładu elektrotechnicznego sam ma szansę zostać posłem. Jego nazwisko, jako kandydata na kandydata zostało zgłoszone przez Prezydium Łódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego i znalazło się w wykazie proponowanych kandydatów na posłów w okręgu wyborczym nr 43 w Łodzi.

Nie jest łatwo przedstawić w kilkunastu zdaniach człowieka tak, aby inni nie znający go osobiście, mogli podjąć decyzję: nadaje się, czy też nie do pełnienia jakiejś funkcji. Data urodzenia, zawód, przynależność, to przecież tylko ankieta personalna. Stwierdzenia, że jest aktywny i zaangażowany, osiągnął to czy owo, został odznaczony — to tylko laurka. Nawet jeśli wszystkie te stwierdzenia są prawdziwe, niewiele pomagają w wyborze. Może najlepiej człowiek daje się poznać innym prezentując swoje poglądy w sprawach, które uważa za ważne? Rozmawialiśmy więc z Tadeuszem Michalskim o wielu różnych sprawach, interesujących go od dawna, takich, nad którymi będzie się zastanawiał także i w przyszłości, bez względu na to, czy zostanie posłem.

O RZĄDZENIU

— Propozycja ŁK SD zaskoczyła mnie i... zaniepokoiła. Zaskoczyła, że spośród wielu mądrych, doświadczonych, godnych wyboru ludzi, jacy są w naszym stronnictwie właśnie mnie spotkał ten zaszczyt. Zaniepokojenie natomiast wiąże się z ogromną odpowiedzialnością, jaką odczułbym w przypadku wyboru.

3

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90 950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045--139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2469. P-14.

Przegląd prasy

Co jakiś czas pojawiają się na księgarskich półkach nowe książki i albo znajdują czytelników, albo nie — i wtedy leżą. Nie jest nowości wprawdzie tyle, ile by się chciało, ale też i ceny nie są niskie, a mimo to dobre książki znikają szybko. Ba! Niektóre — nawet później pojawiają się na czarnym rynku często po dwukrotnie i trzykrotnie wyższej cenie. I też znajdują nabywców. Nie wszystko jednak, co jest kupowane znajduje uznanie i wywołuje jakiś społeczny czy artystyczny rezonans. „*W naszym kraju* — napisał Jan Lewandowski w „TYGODNIKU KULTURALNYM" (nr 32 z 11 sierpnia 1985 r.) — *ukazuje się bardzo wiele książek; niektóre są wręcz fatalne, a jednak nie one...*", tylko książki Zbigniewa Nienackiego poruszają temperamenty i budzą emocje. Aby

ROZWIKŁAĆ ZAGADKĘ KSIĄŻKI ZBIGNIEWA NIENACKIEGO

udał się Jan Lewandowski w długą i skomplikowaną podróż z Warszawy do Jerzwałdu i na miejscu zadał pytanie:

— „*Co więc jest powodem tej jawnej niechęci pewnej grupy ludzi z kręgów literacko-dziennikarskich?*".

Co powoduje — uzupełnijmy to pytanie — że ukazanie się a nawet zapowiedź nowej powieści Zbigniewa Nienackiego wywołuje zaraz burzę? Tak przecież było z „Wielkim lasem", którego trzy fragmenty opublikowały „Szpilki". I znów na podstawie części niektórzy krytycy próbowali wydać opinię o całości. Ale posłuchajmy, co na ten temat ma do powiedzenia Zbigniew Nienacki:

„*Na tę burzę zbierało się od dawna, ja byłem tylko jak gdyby katalizatorem i zarazem piorunochronem, który gromadził gromy. Na naszym gruncie literackim od dawna trwała podskórna, nie ujawniona walka o nową literaturę, o nową koncepcję człowieka, i tym samym bohatera literackiego, a także, co za tym idzie, wewnętrzną strukturę dzieła literackiego. Część naszej krytyki literackiej uważa, że człowiek jest „istotą wyłącznie społeczną", natomiast nie tylko ja, ale i wielu pisarzy „nowej fali", która zaczyna się dopiero w Polsce ujawniać, wyraża w swych książkach przekonanie, że człowiek jest „istotą biologiczno-społeczną". Krytycy staroświeccy, że wymienię tylko Mętraka, Żulińskiego, Chrzanowskiego, część staroświeckich pisarzy, zajmujących się także oceną literatury," jak: np. Kożniewski lub felietonista Passent, albo w ogóle nie dopuszcza do swych myśli owej biologicznej części człowieka, albo co najwyżej, chce te biologiczne determinanty człowieka sprowadzić do roli prokreacyjnej...*

Te dwa czynniki — mówiąc w dużym uproszczeniu — dyktują bohaterom literackim taki, a nie inny sposób postępowania czy myślenia, odczuwania, reagowania na pewne zjawiska. Ba, dyktują także autorowi strukturę jego dzieła. Powtarzam: u różnych ludzi jest z tym różnie."

Zbigniew Nienacki twierdzi dalej, że dziś nie można powtarzać bezmyślnie starych wzorów literackich i pisać tylko dla siebie, własnego środowiska i krytyki. Przez minione 40 lat w świadomości Polaków, w poziomie ich wykształcenia, w sposobie życia, w marzeniach i aspiracjach zaszły poważne zmiany, których ani pisarz, ani krytyk, ani dziennikarz nie może nie brać pod uwagę. Wystarczy — powiada Zbigniew Nienacki — wziąć do ręki rocznik statystyczny, aby się przekonać „*jak ogromną mamy w Polsce rzesze ludzi wykształconych i to niekoniecznie w dziedzinie humanistyki, a raczej w naukach przyrodoznawczych. Setki, ba, tysiące ludzi wyjeżdża od nas ciągle za granicę, stykają się z obcą literatura i sztuką, uświadamiają sobie, jak anachroniczna w stosunku do innych pozostaje twórczość rodzima, okrzyczana przez krytyków jako wielka. Dla tych ludzi pisałem swojego „Uwodziciela", „Skiroławki", „Wielki las", gdyż te książki są takie, z jakimi oni się zetknęli w świecie, dają im koncepcję człowieka jako istoty biologiczno-społecznej, a taką koncepcję oni też mają. Odnajdują więc w moich książkach samych siebie, a także ludzi sobie bliskich...*"

Są to — zdaniem autora — książki nowoczesne. A współczesny człowiek szuka nowoczesnej literatury, a nie anachronicznej. Za taką literatura przepada, kupuje ją, poszukuje. Tymczasem

KRYTYCY LANSUJĄ FIKCYJNE WIELKOŚCI

sztucznie kreują bohaterów życia literackiego. I jako przykład Zbigniew Nienacki podaje Wilhelma Macha, którego niegdyś krytycy uznali za wielkość, a o którym dziś dokładnie zapomniano. „*Ostatnio* — wyznaje Zbigniew Nienacki — *kupiłem na „giełdzie książki" wszystkie jego utwory po 30 zł za książkę*". Taki stan rzeczy powoduje, że wielu autorów pisze z myślą o krytykach, aby im się przypodobać, zdobyć ich uznanie i zostać przez nich kreowanym jako wielkość.

„*Co do mnie* — powiada autor „Skiroławek" — *oświadczam, że piszę dla czytelników. I chcę być przez nich uznany i ceniony, potrzebny w ich życiu duchowym. Ja piszę dla innych, chcę, aby mnie czytały setki tysięcy czytelników. O nich wsiąż myślę, zastanawiam się nad ich reakcjami psychicznymi, gdy stawiam każde kolejne zdanie tworzę każdą kolejną sytuację. Niech mi wolno będzie nadmienić, że społeczeństwo polskie uważam za bardzo światłe.*"

Nie zdziwię się, jeśli po tych słowach krytycy, których Zbigniew Nienacki uważa za staroświeckich, tudzież tacy sami pisarze i dziennikarze jeszcze bardzo będą go nie lubili, a nawet wręcz nienawidzili, czemu będą dawali wyraz w piśmie, w druku i w słowie. A czytelnicy?

A czytelnicy kupują książki Zbigniewa Nienackiego, a jeśli nie mogą kupować książek to czytają je w odcinkach drukowane przez pisma. „Tygodnik Kulturalny" drukuje „Raz w roku w Skiroławkach" mimo, że już dwa wydania tej książki rozeszły się wśród czytelników. Dwutygodnik „WARMIA I MAZURY" (nr 15 z 1—15 sierpnia 1985 r.) rozpoczął druk fragmentów „Wielkiego lasu, ale

PEŁNY TEKST „WIELKIEGO LASU" TYLKO W „ODGŁOSACH"

można przeczytać. I proszę się nie łudzić, że książka ta szybko wyjdzie. Sam autor liczy, że dopiero — jak dobrze pójdzie — gdzieś za pięć lat może się pokazać w księgarniach. Ale może być i szybciej.

We wspomnianym numerze „Warmii i Mazur" Zbigniew Nienacki wyjaśnia czytelnikowi czym jest las w jego powieści.

„*Przede wszystkim las w mojej powieści jest jak gdyby ogromnym żywiołem, który dokonuje swoistej selekcji wśród pracujących i żyjących w nim ludzi. Wydaje się być jakąś żywą i jednorodną istotą, zdolną wpływać na psychikę ludzką — jednym odbiera dusze, a drugim ją daje... Jest w mojej powieści upostaciowieniem zła i zarazem dobra, zależy jaki osobnik się w nim znajdzie. Wydaje się, że może kogoś kochać, a kogoś nienawidzieć, komuś wszystko udaje się w lesie, nawet suchy patyk wsadzony w ziemię pokrywa się zielonymi liśćmi, innemu zaś usychają młode sadzonki. Jak gdyby las żądał od ludzi jakiejś ofiary. Jakiej?*".

Redakcja „Warmii i Mazur" 15 numer reklamuje w nadtytule jako

„WYDANIE TYLKO DLA DOROSŁYCH"

Myliłby się wszakże ktoś, kto sądziłby, iż numer ten aż przelewa się do spraw drażliwych. Jest tam fragment powieści Dawida Herberta Lawrence'a „Kochanek Lady Chatterley", artykuł Jadwigi Lewczuk „Nie cudzołóż..." i to wszystko, bo wybrany fragment „Wielkiego lasu" mogą czytać nawet przedszkolaki. Resztę artykułów też.

Natomiast „PRZEGLĄD TYGODNIOWY" (nr 33 z 18 sierpnia 1985 r.) niczego nie reklamuje, ale daje malutki artykulik o samym życiu. Tytuł: „Kto zapłaci alimenty?" Jest to wybór listów i odpowiedzi Listów do Krakowskich Zakładów Przemysłu Gumowego „Stomil", które — jak wiadomo — produkują prezerwatywy i odpowiedzi dyrekcji tych zakładów, która tłumaczy się z wad i złej jakości. Wyroby krakowskiego „Stomilu" są badane elektronicznie, a przecież i tak trafiają się braki. Otóż fragmencik listu mgr inż. Huberta B., który właśnie trafił na taki felerny wyrób:

„... *uprzedzam, że w przypadku zajścia mojej żony w ciąże w dniu 6 czerwca br. w okolicznościach podanych wyżej wystąpię o odszkodowanie*".

Dyrekcja cierpliwie tłumaczy swoim klientom, że „*prezerwatywa traktowana jest przede wszystkim jako profilaktyka — zapobiegająca przenoszeniu chorób oraz środek antykoncepcyjny w wysokim, lecz nie 100 proc. stopniu pewności*".

Mogłoby się wydawać, że to drobnostka, mała sprawa coś rozrywkowego. A tymczasem...

Katarzyna K. pisze z małego miasteczka:

„*Na razie nie chcemy mieć dziecka, kupujemy więc prezerwatywy, bo do lekarza wstyd w takim małym miasteczku iść po inne środki antykoncepcyjne. Ostatnio 20 sztuk kolejno nadmuchaliśmy i były przebite. Teraz drżę przed ciążą...*".

Producent słusznie radzi „*zmianę miejsca zakupu*", gdyż „*przekłucia poprzez opakowanie*" nie mogły powstać w fabryce. Należy się domyślać, że robi to nieuczciwy sprzedawca w kiosku RUCH. Dla niego może to zabawa, może złośliwość, dla innych może to być nawet tragedia, ale wystarczy, że będzie tylko wielką komplikacją życia. Kto za to zapłaci?

Edward M. domaga się produkcji „*prezerwatyw atrakcyjnych*" które kiedyś obiecywano. Producent tłumaczy się, że owszem miał coś takiego w zamiarze, ale nie uzyskało to akceptacji służby zdrowia, która stanęła na stanowisku, że „*prezerwatywa ma służyć w naszym kraju celom profilaktyki i antykoncepcji*". Tacy bardziej purytanie są w tej służbie zdrowia, a opowiadają o nich zupełnie coś innego. Komu tu wierzyć. W każdym razie producent obiecuje iż dokona „*rozpoznania, czy w aktualnej sytuacji stanowisko służby zdrowia może ulec zmianie*".

Adam Rymont, który jest autorem wyboru listów do krakowskiego „Stomilu", kończy swoją publikację typowymi zwrotami dyrekcji „Stomilu" w Krakowie:

„*Uprzejmie informujemy... Wyrażamy ubolewanie... Przy niniejszym piśmie przesyłamy...*"

Drodzy panowie! Nie wysyłajcie wszakoż zepsutych prezerwatyw do Krakowa, bo tamtejszy „Stomil" zbankrutuje. A swoją drogą i w tej dziedzinie — a może w tej dziedzinie przede wszystkim — trzeba dbać o bardzo dobrą jakość!

Na zakończenie z kronikarskiego obowiązku odnotowuję spór Jerzego Turowicza z Zygmuntem Kałużyńskim. Po dość słynnym artykule Z. Kałużyńskiego w „Kulturze" pt. „Sprowadzanie z drogi" odpowiedział mu w „TYGODNIKU POWSZECHNYM" (nr 20 z 28 lipca 1985 r.) Jerzy Turowicz artykułem „Kałużyński teolog". J. Turowicz

ZARZUCIŁ AROGANCJĘ I IGNORANCJĘ

Z. Kałużyńskiemu, lekceważąc go i obrażając. W odpowiedzi Z. Kałużyński w artykule „Bóg Turowicza" w „KULTURZE" (nr 11 z 14 sierpnia 1985 r.) zarzucił J. Turowiczowi „*fałszerstwo Ewangelii*", „*fałszerstwo encykliki*" i „*fałszerstwo religii*". Wszystkich zainteresowanych argumentacją Z. Kałużyńskiego odsyłam do „Kultury". Jestem bardzo ciekaw czy spór ten będzie miał ciąg dalszy?

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

SPOTKANIA KONSULTACYJNE

już się rozpoczęły. Osoby wysunięte przez uprawnione do tego organizacje polityczne i społeczne stają przed swoimi przyszłymi wyborcami. Nie wszyscy którzy staną do tej trudnej konfrontacji znajdą się później na listach wyborczych. W tej pierwszej próbie osoby, które znalazły się w wykazach konwentów wyborczych muszą uzyskać społeczną akceptację, poparcie, zaprezentować program działania, który znajdzie uznanie ich przyszłych wyborców. Konkurencja jest duża. W łódzkim województwie miejskim na dwa okręgi wyborcze do konkurencji staje 75 osób, z których wyłoni się dopiero 26 kandydatów na 13 mandatów. Wyniki konsultacji poznamy dopiero 13 września 1985 roku.

POPRAWA POGODY

przyczyniła się do zwiększenia tempa prac żniwnych. Wszędzie tam, gdzie tylko to możliwe na pola wyjechały kombajny. Intensywne deszcze spowodowały, że na południu Polski wylały rzeki zalewając pola, domy wiejskie, pastwiska oraz niżej położone części miast, jak to było na przykład we Wrocławiu.

Rolników województwa elbląskiego odwiedził premier Wojciech Jaruzelski.

JAN PAWEŁ II PODRÓŻUJE PO AFRYCE

Jest to trzecia podróż papieża do Afryki, a 27 w ogóle. W czasie tej podróży Jan Paweł II ostro odniósł się do wydarzeń w RPA, potępiając „sytuacje niesprawiedliwości" i „krwawe starcia", co zostało dobrze przyjęte przez ludność tych krajów, w których papież przebywał.

Jan Paweł II spotkał się z grupą najwyższych kapłanów i czarowników religii animistycznych. Zapytany, dlaczego to uczynił, wyjaśnił, iż po to, aby „zrozumieli, że ich uczucia religijne są rzeczą dobrą, ponieważ, nie można nikogo nawrócić, mówiąc mu, iż uczucia religijne są czymś złym". Czarownicy i kapłani religii animistycznych „wezwali swego boga, aby prowadził i chronił papieża w jego wysiłkach zespalania ludzi".

Na Wybrzeżu Kości Słoniowej Jan Paweł II dokonał konsekracji katedry św. Pawła, która należy do największych w Afryce i do 10 największych kościołów w świecie. Jest to supernowoczesna konstrukcja z betonowych słupów i marmuru. W 1980 roku Jan Paweł II położył pod jej budowę kamień węgielny. Budowę jej ukończono na dwa dni przed przybyciem papieża. Katedra św. Pawła może pomieścić 6 tysięcy wiernych. Jej budowa kosztowała ok. 12 milionów dolarów. Fakt ten był ostro krytykowany w Afryce. Uważano, że w czasach, kiedy wiele narodów afrykańskich cierpi głód budowa takiej katedry jest niecelowa.

Katolicy afrykańscy oczekują od papieża, że wypowie się za zwołaniem synodu afrykańskiego, na którym rozstrzygnięto by stosunek do tradycji afrykańskiej. Wypowiedzi papieża są jednak bardzo ostrożne, nie wykiucza on możliwości zwołania takiego synodu, mówi o potrzebie przyswojenia afrykańskiej tradycji, ale podkreśla, że nie wszystko z tej tradycji da się przyjąć, na przykład poligamię.

NAKŁADEM „POLIZDATU"

ukazała się w ZSRR książka J. Konniłowa, W. Kuźniecowa i J. Nikołajewa pt. „Jak robi się spisek". Traktuje ona o wydarzeniach w Polsce w latach 1980—1981. Recenzję tej książki opublikowała „Sielskaja Żizń". Recenzent podkreśla, iż autorzy udowodnili, przytaczając liczne fakty, że wydarzenia w Polsce nie były spontaniczne, a były skoordynowane z planami imperialistycznych ośrodków sformułowanymi jeszcze w latach pięćdziesiątych, a mającymi na celu „nadszarpywanie i demontaż" socjalizmu na Węgrzech, w Czechosłowacji i w Polsce. Wykazują oni, że istniał cały system przedsięwzięć ze strony ośrodków imperialistycznych, które działały na długo przed samym kryzysem.

CHIŃSKI DZIENNIK „JINGJI RIBAO"

opublikował artykuł, w którym przyznaje się doniosłe znaczenie pomocy radzieckiej w walce Chin z Japonią w czasie drugiej wojny światowej oraz udziału Armii Czerwonej w rozgromieniu Japonii. W okresie od października 1937 do września 1939 ZSRR dostarczył Chinom 985 samolotów, 82 czołgi, przeszło 1300 dział, 1400 karabinów maszynowych i inny sprzęt wojskowy. W szkoleniu armii chińskiej brało udział 3665 ekspertów wojskowych, 100 radzieckich lotników walczyło z japońskim lotnictwem i poległo. Na cześć pamięci poległych radzieckich wojskowych w walce z Japonią w mieście Wuhan nad rzeką Jangcy postawiono pomnik. Gazeta wspomina też o walkach Armii Czerwonej z japońską armią kwantuńską, jej rozgromienie, jak też walki Armii Czerwonej w Korei, na Sachalinie i Wyspach Kurylskich.

„GWIAZDĄ DAWIDA" NAZWANO W „SZTANDARZE MŁODYCH"

(nr 157 z 14 sierpnia 1985, podpis pod zdjęciem na str. 3) pięcioramienną gwiazdę. Otóż warto wiedzieć, że „Gwiazda Dawida" ma sześć ramion i tworzą ją dwa równoboczne trójkąty. Początkowo nie miała ona nic wspólnego z judaizmem. Arabowie znak ten zwali „pieczęcią Salomona" i nadawali mu magiczne znaczenie. Żydzi w Pradze w XVII wieku zaczęli gwiazdą tą ozdabiać nagrobki. Od 1750 roku zaczęto wiązać znak ten z królem izraelskim Dawidem, który panował na przełomie XI i XII wieku p.n.e. był ojcem Salomona, królem Judy, zjednoczył plemiona izraelskie i zdobył Jerozolimę. Po Żydach z Pragi znak ten zaczęli używać Żydzi w innych krajach. W 1897 roku stał się on symbolem Światowej Organizacji Syjonistycznej. Został później włączony do flagi państwowej Izraela i jest odpowiednikiem Czerwonego Krzyża. Hitlerowcy uczynili z tego znaku symbol hańby i pogardy. Nie ma to jednak nic wspólnego z pięcioramienną gwiazdą, którą pokazano na zdjęciu w „SM".

NIEBYWAŁY PRZYKŁAD SAMOKRYTYCYZMU

wykazał Jerzy Panasewicz ostro i pryncypialnie, a jednocześnie bezpardonowo krytykując na łamach „Expressu Ilustrowanego" książkę „Śmierć higieniczna", której był współredaktorem. Podziwiamy, ale nikomu nie radzimy naśladować.

A. B. SEKATOR

ze str. 1

Łatwo jest bowiem każdemu „rządzić" na dole i wiele osób chętnie z takiej możliwości korzysta, mówiąc autorytatywnie, co powinien zrobić Jaruzelski, a co Reagan. Są to tylko słowa, nie wiąże się z nimi żadna odpowiedzialność. Gdy jednak stanie się po drugiej stronie biurka, gdy wiadomo już, czym się dysponuje, to można zrobić, a czego nie, gdy każda decyzja ważna jest nie tylko dla nas samych, ale i dla innych — wtedy już rządzić i decydować o wiele trudniej.

Nie sztuką jest podejmować uchwały — jest nią natomiast podejmowanie uchwał realnych. Mówiłem kiedyś o tym na zebraniu SD: podejmijmy uchwałę, że przeprowadzimy przejażdżkę staruszkę — ale przeprowadźmy ją. Nie potrzeba wielkich słów i deklaracji, jeśli nie znajdą one odbicia w widocznych efektach...

O PRACY

— Od czasu do czasu trafiają do mnie ludzie z propozycją podjęcia pracy w zakładzie. Na pytanie, co potrafią robić, odpowiadają, że mogą robić wszystko, pod warunkiem, że dobrze zarobią. Przeważnie są to ludzie młodzi — renciści. Nie zatrudniłem żadnego z nich.

Jeśli ktoś twierdzi, że umie wszystko, na ogół niczego nie umie dobrze. Poza tym — nie mam zaufania do ludzi, którym obojętne, co robią, aby tylko dobrze zarobili. Co to znaczy dobrze? 10 tysięcy, 30 tysięcy, jeszcze więcej?

Ludzie ci demonstrują niepokojące zjawisko — wyznawany przez część społeczeństwa kult pieniędzy. Tymczasem nam wszystkim potrzebny jest kult pracy. Tylko w ten sposób będziemy mogli pokonać gospodarcze trudności.

Nie ja to wymyśliłem — mówi się na ten temat wiele. Ale z samego mówienia nic nie wynika. Sądzę, że dopiero wtedy uda się osiągnąć cokolwiek w dziedzinie wykształcenia w całym społeczeństwie poszanowania pracy, gdy każdego nieroba będzie można w każdej chwili wyrzucić na zbity łeb. Z prywatnego zakładu i z państwowego.

Nasz ustrój zlikwidował na szczęście zjawisko przymierania głodem przez kogokolwiek. Także i taki człowiek musi mieć zagwarantowane pewne minimum socjalne. Ale niech to będzie tylko minimum, w postaci przysłowiowego talonu na zupę, a nie, jak obecnie, wszystkie świadczenia socjalne w takim samym a nieraz i większym zakresie, z jakich korzystają rzetelni pracownicy, nie ochronny parasol rozmaitych przepisów.

O PRZEPISACH

— Obok młodych, zdrowych rencistów, poszukujących pracy w rzemiośle niemało jest ludzi po studiach, porzucających dotychczasowe zajęcia i otwierających własne zakłady. Pół biedy gdy inżynier budowlany otwiera zakład branży budowlanej, ale jeśli prawnik zostaje dekarzem? Nie jest to oczywiście wstyd dla pana magistra, ale — z punktu widzenia interesów społecznych duża strata. Nie pochwalam takiego postępowania, ale z drugiej strony w pewnym stopniu usprawiedliwiam. Korzystają, po prostu, z możliwości, jaką stworzyły im złe przepisy, wydane bez rozważenia skutków ekonomicznych i społecznych jakie mogą spowodować.

Niestety, przepisy są u nas rzeczą niemal świętą. Jako rzemieślnik szczególnie często mam okazję przekonać się o tym. Załatwi się każdą bzdurę, przeczącą zdrowemu rozsądkowi, jeśli tylko uda się znaleźć odpowiednią „podkładkę". Natomiast żaden urzędnik nie podejmie decyzji w najprostszej nawet sprawie, jeśli nie znajdzie zarządzenia, mówiącego w sposób wyraźny, że tak właśnie ma postąpić. Powiadają wtedy: a co ja mogę, takie są przepisy. A gdzie zdrowy rozsądek? Przez taką postawę tracimy wiele, m.in. jest to jedna z przyczyn niewykorzystania dużego potencjału rzemiosła...

O PATRIOTYZMIE

— Temat niezmiernie ważny, najważniejszy. Zwłaszcza patriotyczne wychowanie młodzieży. Efekty ciągle jeszcze nie są, moim zdaniem takie, jakich byśmy chcieli.

Jest wśród nas wielu ludzi młodych, nie pamiętających innych czasów. Ja — pamiętam wojnę i potem ogromną radość z posiadania własnego państwa. Potem nie zawsze było najlepiej. Przez pewien czas, jako były członek AK, miałem rozmaite przykrości. Minęły, a pamięć o tej radości pozostała.

Obecnie, wydaje mi się, za mało mówimy o tym, jak ważne i cenne jest własne państwo, o jego roli i obowiązkach obywateli wobec państwa. Częściej słyszy się i czyta o roli partii, klasy, grupy. A przecież państwo jest czymś nadrzędnym, najważniejszym, obejmującym wszystkich, bez względu na ich przynależność i przekonania.

O DZIAŁALNOŚCI SPOŁECZNEJ

— W 1962 wstąpiłem do Stronnictwa Demokratycznego jako człowiek już w pełni dojrzały. Była to decyzja przemyślana. Byłem przekonany, że Stronnictwo ma do spełnienia doniosłą rolę. Na XII Kongresie uznaliśmy się spadkobiercami Konstytucji 3 Maja, której główne założenia nic przecież nie straciły na aktualności i w żaden sposób nie są sprzeczne z pryncypiami naszego socjalistycznego państwa.

Obecnie pełnię funkcję przewodniczącego Dzielnicowego Komitetu SD na Polesiu. Ponadto — od wielu lat działam na rzecz rozwoju spółdzielczości rzemieślniczej.

Myślę, że podstawowym obowiązkiem każdego z nas jest przede wszystkim dobra praca. Poza pracą można sprawować mo w przypadku rzemieślnika, jak i pracownika zakładu państwowego. Tyle że ten drugi nie odczuwa jej w sposób bezpośredni. Ale w skali społecznej wychodzi to przecież na jedno. To także powód, dla którego nie należy kolekcjonować funkcji...

O WOLNYM CZASIE

— Nie ma go zbyt wiele. Dawno, ponad 30 lat temu, u podstaw mojej decyzji o zajęciu się rzemiosłem leżało przekonanie, że tym sposobem będę bardziej niezależny niż pracując w zakładzie państwowym. Wkrótce przekonałem się, że nic bardziej błędnego. Aby zakład funkcjonował dobrze — muszę pracować co najmniej równie pilnie, jak moi pracownicy, poświęcać na pracę więcej czasu niż oni. W końcu ja przecież za to odpowiadam.

Nie wyobrażam sobie sytuacji, że ludzie pracują, a ja przez kilka miesięcy w roku przebywam na wczasach, albo oni przychodzą rano do pracy a ja jeszcze śpię.

Ponadto — trochę czasu zabiera mi działalność w organizacji rzemieślniczej, co bezpośrednio wiąże się z pracą, trochę w SD.

Pozazawodowo interesuję się historią, zwłaszcza pierwszą i drugą wojną światową i okresem międzywojennym, gromadzę książki z tej dziedziny, zbieram białą broń.

Zgromadzenie mojej kolekcji trwało latami. Zwłaszcza lubię wśród swoich eksponatów szablę legionisty. Legionistą był mój ojciec i taka sama szabla była u nas w domu. Zginęła w czasie wojny. Ta jest identyczna, czasem myślę — może to ta sama?

Jak wszyscy — znaczną część wolnego czasu poświęcam po prostu na życie rodzinne. Córka, uczennica liceum, jest zastępową w harcerstwie. Ja także byłem harcerzem. Lubię spotykać się z jej grupą, czasem chodzimy razem do różnych miejsc pamięci narodowej, zwłaszcza do tych, o których potrafię powiedzieć coś bliższego, z własnych wspomnień...

Notowała:
TERESA JERZYKOWSKA

Zaskoczyła mnie ta propozycja...

Foto: Grzegorz Gałasiński

Co i jak robić?

ze str. 1

Odpowiedź na żadne z tych pytań nie może sprowadzić się wyłącznie do prostego opisu, stwierdzenia np., że władza się wyalienowała ze społeczeństwa, więc ono utraciło do niej zaufanie. Musimy stawiać sobie pomocnicze, ale tu chyba najważniejsze pytanie: dlaczego?, dlaczego?, dlaczego? Badać więc trzeba i anatomię zjawiska (a może procesu?) alienacji i postawy, oceny, zachowania społeczeństwa wobec systemu władzy.

W konkluzji powinniśmy dowieść, czy i w jakim *stopniu* postawy te są reakcją, a więc skutkiem postępowania władzy? Można bowiem sobie wyobrazić, i nie będzie to sytuacja całkowicie zmyślona, że społeczeństwo, albo pewne jego kręgi będą odmawiały legitymacji i zaufania władzy z zupełnie innych powodów (zacietrzewienie, uzasadniona nawet doświadczeniami z przeszłości podejrzliwość umiejętnie pielęgnowana i podsycana itp.). Ten tok postępowania wyjaśniającego prowadzi do poznania rzeczywistych treści relacji między władzą a społeczeństwem i rzeczywistych ich uwarunkowań.

RÓŻNY STOSUNEK DO WŁADZY

Władza może być postrzegana przez społeczeństwo bądź pewne jego odłamy jako wyalienowana wręcz wroga, nie dlatego — w rzeczywistości — że taka jest, ale dlatego, że np. działa w oderwaniu od opinii społecznej, skrycie (choć dla dobra społeczeństwa), albo popełnia określone błędy, nie umie rozwiązywać skutecznie jakichś problemów. Może też wreszcie zdarzyć się, że władzy przychodzi borykać się ze sprawami mającymi taki wymiar, że ów przeciętny, szeregowy obywatel, a z takich przecież składa się w zasadzie społeczeństwo, zwyczajnie nie „chwyta" ani ich istoty, ani tego wymiaru. Ale oceniać władzę chcą wszyscy, a oceny te są na miarę wiedzy i wyobraźni oceniających.

Badać zatem należy zarówno akty władzy i stosowane przez nią metody, jak też zachowania społeczeństwa, jego systemy wartości, postawy, sposób reagowania na decyzje władzy. Dopiero w tym kontekście można podjąć poszukiwania związków między władzą a społeczeństwem, a więc ustalać, czy i które działania władzy są przyczyną określonych zachowań społeczeństwa będących *skutkiem*?

Władza z pewnością nie jest siłą sprawczą wszelkich zachowań społeczeństwa. Rację z pewnością mają ci, którzy twierdzą, że podmiotowym czynnikiem procesu społeczno-historycznego jest tak władza, jak i ci, co jej podlegają. Oddalają się natomiast od prawdy głoszący rozmaite teorie jednostronnie ujmujące przyczyny wydarzeń dziejowych, zjawisk czy faktów społecznych. Ani samej władzy nie można obarczać odpowiedzialnością za wszystko co dzieje się w życiu zbiorowym, ani społeczeństwa jako takiego.

Żadna władza nie jest wszechobecnym i omnipotentnym czynnikiem, który można byłoby traktować jako jedyną lub choćby najważniejszą przyczynę wszystkiego, co się wydarza w kraju. Tak samo wszelkie koncepcje „narodowych dewiacji", „charakteru narodowego" cechującego się anarchistycznymi skłonnościami, warcholstwem i innymi fatalistycznymi predylekcjami niewiele lub niczego nie wyjaśniają. Trudno też poważnie traktować odżywającą czasami w niektórych środowiskach pewną tezę historiozoficzną głoszącą, że w Polsce kolejne klasy panujące doprowadzały państwo do rozkładu i naród do upadku, a to z powodu swej niedojrzałości lub pychy.

KULTURA POLITYCZNA POLAKÓW

„Odcinając się od wszelkich jednostronnych ujęć, opartych na zawodnych lub wręcz fałszywych generalizacjach, chcę jednak stwierdzić, iż ów niestabilny, zmienny fenomen określany mianem kultury politycznej Polaków w najznaczniejszym stopniu dzisiaj kształtuje się — moim zdaniem — pod wpływem form, metod, stylu, instrumentów stosowanych przez tych, którzy na różnych poziomach życia zbiorowego organizują je i kierują nim. To w tym znaczeniu pytania ankiety o kulturę polityczną i o ewentualny kierunek jej zmian są, w moim przekonaniu pytaniami o skutki.

Nie sądzę też, aby oceny i stwierdzenia zaszyfrowane w tych pytaniach w pełni oddawały rzeczywistą kulturę polityczną Polaków. Są one oparte na bezpodstawnych uogólnieniach, podczas gdy Polacy są dzisiaj niesłychanie zróżnicowani z punktu widzenia poszczególnych składników konstytuujących kulturę polityczną. Są w naszym społeczeństwie znaczące siły, a przecież o nich przede wszystkim trzeba myśleć w obliczu konieczności przezwyciężania kryzysu, które w wysokim stopniu łączą swój udział w decydowaniu ze współodpowiedzialnością, a do tego są gotowe bądź faktycznie uczestniczą aktywnie w realizacji ustaleń. Siłami tymi są wszyscy uczciwie myślący i postępujący ludzie pracy, członkowie partii i stronnictw politycznych, zorganizowani i niezorganizowani, którzy widzą sens swego życia w pracy dla dobra kraju i własnej, nie tylko moralnej satysfakcji.

Zadania zawarte w programie utrwalania dotychczasowych osiągnięć i dalszych socjalistycznych przeobrażeń Polski są wszak zbieżne z interesami, celami i aspiracjami przeważającej części naszego społeczeństwa. Realizować je można przy niekoniecznie identycznych motywacjach ideologicznych. Bezpodstawne byłoby posądzanie większości Polaków, że tego nie rozumieją i że tak nie czują. Tylko szowinizm i zaściankowość doktrynalno-polityczna mogą dyktować oceny i stwierdzenia o rzekomym totalnym braku zgody Polaków na socjalizm.

W istocie więc problem polega na określeniu i zinwentaryzowaniu barier, czynników hamujących faktyczny, szeroki udział społeczeństwa w sterowaniu naszym życiem zbiorowym. Szansa jest więc w coraz większym zakresie wspólne rozwiązywanie naszych wspólnych spraw. Słuszne, jak sądzę, jest coraz pełniejsze dyskontowanie tych cech i umiejętności społeczeństwa, które nazywa się zdolnością do samosterowania. Taka jest, moja, najogólniejsza odpowiedź na pytanie o zmiany, jakim winien poddać się polski system polityczny oparty przecież w poważnym stopniu na instytucjach i zasadach sterowania społeczeństwem, organizowania prawie wszystkiego obywatelowi, niemal myślenia za niego. No i doszło do przesterowania! Społeczeństwo w ostrej formie upomniało się o swoje podmiotowe prawa. W tej sytuacji zaktywizowali się wszyscy od niechętnych, przez nawiedzonych do nienawidzących wszystkiego, co wyrasta z socjalistycznego pnia.

WIĘCEJ UWAGI DLA SAMORZĄDU

Zmiany naszego systemu politycznego powinny opierać się przede wszystkim na idei ludowładztwa, fundamentalnej wartości demokracji socjalistycznej. Oznacza to historyczną konieczność doskonalenia istniejących już i poszukiwania nowych, adekwatnych do warunków i potrzeb form bezpośredniego udziału coraz większych grup i środowisk w rozwiązywaniu własnych spraw i zaspokajaniu wielu potrzeb. Jest to także droga, na której najłatwiej chyba kształtować postawy i zachowania wyrażające chęć i potrzebę udziału w realizacji wspólnych zadań, jak i poczucie współodpowiedzialności za skutki decyzji. Mniej też będzie powodów do roszczeniowego traktowania państwa czy wręcz anarchistycznej nieodpowiedzialności.

Formy samorządowego udziału w życiu społeczno-politycznym i w kierowaniu gospodarką sprzyjają kształtowaniu się świadomości, że niewłaściwe wypełnianie zadań, zła praca, niefrasobliwość czy nadużywanie zasad samorządowych prędzej czy później zaowocuje negatywnie, a skutki te dotkną przede wszystkim samorządną grupę, środowisko, społeczność. Proces ten nie jest oczywiście prosty i łatwy, ani nie może dokonać się automatycznie niejako w wyniku przyjęcia najsłuszniejszej rzecz ujmujących ustaw.

W naszych obecnych warunkach zasadniczą barierą, na której w znacznym stopniu załamują się przyjmowane w ostatnich 2—3 latach rozwiązania samorządowe, jest bardzo niski stopień zainteresowania nimi i zaufania do nich. A przecież samorząd mieszkańców, samorząd pracowniczy czy inne formy samorządu nie mogą być wprowadzane administracyjnie, odgórnie, nakazowo. Niezbyt liczny, aktyw samorządowy, zgrupowany w organach samorządu, to jeszcze nie samorząd w pełnym znaczeniu. Tu otwiera się bardzo słabo dyskontowane pole działania rozmaitych organizacji i ruchów społecznych, które powielając zbiurokratyzowany model instytucjonalizacji, zamykają się w kręgu własnych problemów nie dostrzegając w szerszym wymiarze potrzeby współdziałania dla wspólnego dobra.

ALFRED LUTRZYKOWSKI

WYBORY ZDROWEGO ROZSĄDKU

Sejm jest jednością...

...bo jest organem władzy. A najwyższa władza w państwie należy do ludu pracującego miast i wsi. Jest jedna i niepodzielna. Przeto nikt w Sejmie, żaden z jego posłów, nie działa na własny rachunek, uczestnicząc w sprawowaniu władczych funkcji Sejmu, zwłaszcza w stanowieniu praw Rzeczypospolitej. Organem władzy prawodawczej jest Sejm — nie poseł. Nie oznacza to wszakże, iż dla sprawowania władzy to, kim jest poseł i kogo reprezentuje, jest okolicznością bez znaczenia.

Wprost przeciwnie. Wypowiadając się tydzień temu przeciw „statystycznej odpowiedniości" Sejmu wobec rzeczywistej pajęczyny powikłań struktury narodu, opowiedziałem się przeciw prymatowi tej zasady, przeciw temu, by przysłaniała ona wszystkie inne okoliczności towarzyszące wyłanianiu organu władzy. A przede wszystkim potrzebę wybierania najlepszych, a nie „odpowiednich"...

Posłowanie jest uczestniczeniem w sprawowaniu władzy. Przeto jest kwestią oczywistą, że winni tę funkcję wykonywać reprezentanci tych sił społecznych i politycznych, do których władza należy — reprezentanci będący jednocześnie członkami tychże sił, a nie wynajętymi przez nie fachowcami, zawodowymi deputowanymi.

Ukształtowany przez praktykę czterdziestolecia Polski Ludowej system sprawowania władzy znalazł swój wyraz prawny w Konstytucji, określającej miejsce i rolę partii oraz stronnictw politycznych w państwie. Nie znaczy to jednak, że system ten jest ostatecznie spetryfikowany. Kształt koalicyjnemu systemowi sprawowania władzy nadają potrzeby wynikające z procesu porozumienia narodowego; porozumienia pojmowanego jako narzędzie umacniania siły państwa i budowy społeczeństwa socjalistycznego, przy pełnym poszanowaniu wszelkich odrębności, byleby nie były one sprzeczne z obowiązującym porządkiem prawnym i wyrażonymi w Konstytucji zasadami ustroju.

Praktycznym objawem koalicyjnego sprawowania władzy przez siły polityczne ludu pracującego na płaszczyźnie Sejmu jako organu przedstawicielskiego, jest podział mandatów między partię i stronnictwa (w tym także liczba mandatów dla bezpartyjnych, m. in. członków organizacji katolickich). Podział ten nie następuje w wyniku wyborów, albowiem siły uczestniczące w koalicji nie walczą ze sobą; idą do wyborów ze wspólnym programem, owładnięte wspólnym celem, co do pryncypiów którego wcześniej się porozumiały. Istotą wyborów nie jest ukształtowanie parlamentarnych proporcji sił politycznych sprawujących władzę w państwie — tą istotą jest wybranie najlepszych spośród obywateli do praktycznego wykonywania tejże władzy.

Podział mandatów w przedstawicielskich organach władzy (nie tylko w Sejmie) nie jest wyrazem woli ani gestem sił politycznych — jest koniecznością, wynikającą z faktycznego, praktycznego udziału partii, stronnictw i innych organizacji w systemie demokracji socjalistycznej. Jakie są tedy jego konsekwencje dla Sejmu?

Posłowie mogą tworzyć (i tworzą...) kluby poselskie, oparte na zasadzie przynależności partyjnej. (Możliwe jest też powoływanie kół lub zespołów na innych zasadach niż partyjność.) Na przykład członkowie PZPR w Sejmie są — mocą postanowień statutu partii — zobowiązani do „dążenia do pełnego urzeczywistniania konstytucyjnej roli Sejmu oraz reprezentowania i popierania w Sejmie programu i polityki PZPR w kluczowych dla państwa i narodu sprawach". A klub poselski PZPR „zapewnia, zgodne z polityką partii i interesami socjalistycznej Polski współdziałanie członków klubu w pracach Sejmu i jego organów, pozostawiając im szerokie pole dla inicjatyw poselskich."

Zasadą działania klubu jest dyscyplina partyjna w głosowaniach i wspólnych wystąpieniach, co w niczym nie krępuje osobistej aktywności posłów w pracach komisji, w podejmowaniu interwencji, składaniu interpelacji czy wyrażaniu opinii podczas dyskusji w debatach plenarnych. Klubowa dyscyplina nie zwalnia też nikogo od odpowiedzialności...

Wszystko to odnosi się też do kół lub zespołów. Powstaje jednak kwestia, czy na terenie Sejmu posłowie bezpartyjni, nie należący do żadnej z wewnętrznych organizacji poselskich, nie są przypadkiem „uprzywilejowani" w sensie nieskrępowania regułami dyscypliny klubowej i wymogami wspólnego działania. Otóż — jak sądzę — nie jest to żaden przywilej: każdy poseł jest zobowiązany do działania na rzecz wszechstronnego społecznego i gospodarczego rozwoju kraju oraz coraz lepszego zaspokajania kulturalnych, socjalnych i materialnych potrzeb obywateli. Tak stanowi ustawa o obowiązkach i prawach posła. Taka jest istota zobowiązania i odpowiedzialności posła nie tylko wobec klubu, ale przede wszystkim wobec wyborców. Każdy zaś z posłów ma wystarczająco wiele możliwości wyrażania własnego zdania na temat generaliów i konkretów pracy Sejmu oraz wpływania na ostateczny kształt — i czynności, i ustawodawczego efektu pracy Sejmu. Dyscyplina nie ma tu nic do rzeczy... Zwłaszcza nie może mieć wpływu na stosunki posła z wyborcami, ale o tym za tydzień.

TOMASZ SAS

Z DZIEJÓW POLSKIEGO PARLAMENTARYZMU (3)

Czas demokracji i czas dyktatury

Uchwalając 17 marca 1921 roku konstytucję — Sejm Ustawodawczy powinien był formalnie rzecz biorąc zakończyć swoją kadencję. Podstawowe, postawione przed nim zadanie zostało wykonane i należało przeprowadzić nowe wybory, tym razem do sejmu i senatu.

Nie było to jednak takie proste z dwóch zresztą przyczyn. Po pierwsze — musiał upłynąć pewien czas potrzebny do wyłonienia, zgodnie z konstytucją marcową, nowych władz i tym się kierując, sejm 18 maja 1921 roku przedłużył kadencję swoją i naczelnika państwa.

Był jednak i drugi powód już nie z obiektywnych przesłanek wynikający. Dwa silne ugrupowania polityczne — endecja i „Piast" obawiały się, że w nowych wyborach mogą utracić część swych wpływów i wyraźnie grały na zwłokę, co przychodziło im o tyle łatwo że dysponowały znaczną przewagą w sejmie.

Tak więc dopiero jesienią 1922 roku rozpoczęła się kampania wyborcza, mająca zadecydować o przyszłym składzie sejmu i senatu. W warunkach demokracji parlamentarnej odbyć się miały wolne wybory, zgodnie z duchem konstytucji dające równe prawa wszystkim ugrupowaniom politycznym.

Okazało się jednak, że takie wolne i o równość oparte to one nie były.

Po pierwsze — występowała wyraźna nierówność posiadanych środków. Kampania wyborcza była bardzo kosztowna. Partie prawicy wspierał wielki kapitał, lewica musiała prowadzić akcję wyborczą — opierając się jedynie o własne skromne zasoby partyjne.

A i z wolnością — przez konstytucję gwarantowaną było różnie, czego najlepszy przykład stanowi sytuacja Komunistycznej Partii Robotniczej Polski.

Komuniści tym razem zdecydowali się brać udział w wyborach, jednakże KPRP jako partia nielegalna nie mogła wystawić własnej listy wyborczej. Utworzono więc dla celów wyborczych Związek Proletariatu Miast i Wsi, jednakże kandydaci komunistyczni byli reprezentowani, wielu aresztowano na czas kampanii wyborczej, a szereg list wyborczych unieważniono.

Powstały także problemy z udziałem w wyborach mniejszości narodowych. Ukraiński ruch nacjonalistyczny wezwał ludność Galicji Wschodniej do bojkotu wyborów, w rezultacie czego w takich województwach jak tarnopolskie czy stanisławowskie głosowało zaledwie ponad 30 proc. wyborców.

Zwycięstwo w wyborach, jak i w poprzednich, odniosła prawica. Na listę Chrześcijańskiej Jedności Narodowej oddało głosy 29,1 proc uczestniczących w wyborach. Stronnictwa centrowe uzyskały w wyborach 23,4 proc., lewicowe 24,8 proc. a mniejszości narodowe 21,6 proc. głosów.

Także w wyborach do senatu, zdobywając 39,1 proc głosów wyraźny sukces odniosła Chrześcijańska Jedność Narodowa.

WYBOISTE DROGI DEMOKRACJI

Zwycięstwo prawicy nie oznaczało, że uzyskała ona większość, a więc możność nieograniczonego sprawowania władzy. W takich warunkach pozostało praktycznie jedno wyjście — tworzenie koalicji stronnictw o najbardziej zbieżnych interesach i koalicja taka zaczęła stopniowo powstawać w układzie prawica — centrum.

Jednakże podstawowym zadaniem, jakie stało przed Zgromadzeniem Narodowym był wybór prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Tu już o współpracy nie mogło być mowy, tu każde z liczących się ugrupowań politycznych miało własnego kandydata, a jedyny człowiek — Józef Piłsudski, który mimo wielu zastrzeżeń, szczególnie ze strony prawicy, niewątpliwie uzyskałby w głosowaniu zdecydowaną większość, odmówił kandydowania.

„...Na mnie proszę nie głosować — stwierdził. — *Proszę wybrać człowieka, który by miał cięższy chód lecz lekką rękę. Z bagien i trzęsawisk trzeba się wydobywać. Człowiek o lekkim chodzie przechodzi je za szybko i nie pomaga przez to innym. Natomiast lekka ręka jest potrzebna do wprowadzania kompromisu..."*

Prawica przyjęła oświadczenie Piłsudskiego z dużym zadowoleniem, przekonana, że w tych warunkach największe szanse będzie miał jej kandydat, nawiasem mówiąc jeden z największych polskich obszarników Maurycy hr Zamoyski. Kiedy jednak w wyniku ostrej walki politycznej Prezydentem Rzeczypospolitej został wybrany związany z lewicą parlamentarną Gabriel Narutowicz, ugrupowania polityczne klas posiadających pokazały, jak wyobrażają sobie demokrację parlamentarną w Polsce. Grupa posłów Chrześcijańskiej Jedności Narodowej oświadczyła, że stronnictwa prawicowe *„...odmówią wszelkiego poparcia rządom powołanym przez narzuconego prezydenta..."* W dniu, w którym Gabriel Narutowicz miał zostać zaprzysiężony jako prezydent, dojście do gmachu sejmu blokowały bojówki endeckie. Przy całkowicie biernej postawie policji siłą zawracano lub przetrzymywano w bramach domów posłów i senatorów z parlamentarnej lewicy. Próbowano także zatrzymać powóz wiozący Gabriela Narutowicza, obrzucając go kamieniami i śniegiem. A wszystko to działo się pod hasłem "walki o narodowy charakter Państwa Polskiego", jako że na Narutowicza głosy swe oddały także mniejszości narodowe.

11 grudnia 1922 roku w udekorowanej barwami narodowymi sali obrad Zgromadzenia Narodowego Marszałek Rataj odbierał od Gabriela Narutowicza przysięgę następującej treści:

„...Przysięgam Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej jedynemu i ślubuję Tobie Narodzie Polski, na urzędzie prezydenta Rzeczypospolitej, który obejmuję, prawo Rzeczypospolitej, a przede wszystkim ustawy konstytucyjnej święcie przestrzegać i bronić, dobru powszechnemu Narodu ze wszystkich sił wiernie służyć, wszelkie niebezpieczeństwo i zło od Państwa czujnie odwracać, godności i sumienia polskiego strzec, niezachwianie, sprawiedliwość względem wszystkich bez różnic obywateli za pierwszą sobie mieć cnotę, obowiązkom urzędu i służby poświęcić się niepodzielnie — tak mi dopomóż Bóg i święta jego męka. Amen..."

Prawica nie rezygnowała. Podburzone przez endeckich posłów bojówki utrzymywały atmosferę napięcia na ulicach Warszawy. W takich to warunkach lewica parlamentarna wystąpiła w obronie zagrożonej demokracji.

12 grudnia 1922 roku w odezwie Polskiej Partii Socjalistycznej stwierdzono, iż *„...ulica przeszła pod władze motłochu, okłamanego cynicznie przez wodzów stronnictw reakcyjnych..."* Apelowano do robotników Warszawy: *„...dziś, we wtorek 12 grudnia przerwiecie wszyscy pracę. Niech jednodniowy strajk powszechny uprzedzi reakcję, że proletariat nie pozwoli podstępnie mordować Rzeczypospolitej..."*

Na posiedzeniu sejmu w dniu 14 grudnia posłowie Polskiej Partii Socjalistycznej i „Wyzwolenia" we wspólnie zgłoszonym wniosku domagali się wyciągnięcia przez sejm wniosków wobec administracji państwowej i posłów prawicowych, organizatorów zamieszek i niepokoju w stolicy.

„...Poleca się sadowi Marszałkowskiemu — pisano we wniosku — *by w przeciągu 8 dni rozpatrzył sprawę zachowania się posłów Sawickiego i Hallera i innych, którzy brali czynny udział w wywoływaniu rozruchów przeciw Zgromadzeniu Narodowemu, albo też wskazywali demonstrującym tłumom posłów i senatorów innych stronnictw zdążających do Zgromadzenia Narodowego..."*

A uzasadniając wniosek poseł Ignacy Daszyński stwierdził *„... Dyktatura mniejszości łamiąca demokrację spotka się z otwartą wojną z dołu... dziś kołyszcie się i uspokajajcie tym, że po waszej stronie są urzędy i sądy, że skorumpowana administracja nie ściga was, że włos wam z głowy nie spadnie, kiedy znieważacie prezydenta Republiki i hańbicie Zgromadzenie Narodowe... ale panowie, kto sieje wiatr zbiera burzę... Wasz faszyzm albo zginie w Polsce, rozbije głowę o demokrację, albo Polska zapłonie wojną domową..."*

14 grudnia naczelnik państwa Józef Piłsudski przekazał w Belwederze władzę prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej. Powiedział wtedy: *„...jako jedyny oficer polskiej służby czynnej, który dotąd nigdy na baczność przed nikim nie stał, staję oto na baczność przed Polską, którą Ty reprezentujesz..."*

16 grudnia 1922 roku strzały fanatycznego nacjonalisty przerwały życie pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej. Ten dramat był czymś więcej niż aktem politycznego terroru, ukazywał mianowicie czym w rozumieniu polskiej prawicy winna być parlamentarna demokracja. I trafnie napisano donosząc o tym wydarzeniu w moskiewskiej „Prawdzie" — *„...wystrzał do Narutowicza — to wystrzał do demokracji..."*

20 grudnia kolejnym prezydentem został także kandydat lewicy — Stanisław Wojciechowski. Kiedy w sejmie ogłoszono wyniki wyborów rozległo się na sali zawołanie pod adresem prawicy *„...kiedy go zabijecie?..."*

Przegrywając wybory prezydenckie prawica nie zamierzała zrezygnować z dążenia do pełnej władzy politycznej. W wyniku rozmów i przetargów doprowadzono do porozumienia z „Piastem", obalono pozaparlamentarny rząd generała Władysława Sikorskiego i utworzono rząd większości, „Chjeno-Piasta" z Wincentym Witosem na czele.

W warunkach stale pogarszającej się sytuacji gospodarczej kraju, przy galopującej wręcz inflacji i biernej postawie rządu, rozpoczęła się w sejmie ostra walka polityczna. Partia parlamentarnej lewicy wystąpiła z krytyką rządu zabezpieczającego interesy klas posiadających. *„...Dalsze wasze pozostawanie* — stwierdził poseł Niedziałkowski z PSS — *jest nieszczęściem dla Rzeczypospolitej..."*

W listopadzie 1923 roku doszło do tragicznych wydarzeń krakowskich w wyniku których zginęło kilkadziesiąt osób, a kilkaset zostało rannych. Presja opinii społecznej, a także rozłam w klubie „Piast" spowodowały iż w grudniu 1923 roku nastąpił koniec rządów prawicowo-centrowych.

Utworzony wkrótce po tym pozaparlamentarny rząd Władysława Grabskiego opanował wprawdzie sytuację gospodarczą, był to jednakże sukces nietrwały. Poza tym zajęty bez reszty sprawą naprawy skarbu państwa nie podejmował żadnych działań w zakresie realizacji reform społecznych. A i w sejmie prawica, korzystając z posiadanej większości przypuszczała ataki na zdobycze klasy robotniczej między innymi na 8-godzinny dzień pracy.

Nie ułatwiały także sprawy rozbieżności występujące w łonie parlamentarnej lewicy. Przykładem tego była sprawa ustawy o ubezpieczeniach od bezrobocia postulowanej przez PPS, a traktowanej z dużą rezerwą, z tendencjami do jej ograniczenia, przez stronnictwo chłopskie „Wyzwolenie".

A na skrajnej prawicy, reprezentowanej przez tajną organizację „Pogotowie Patriotów Polskich" uważano, że i ograniczone działania parlamentu, to o wiele za dużo. *„...Ojczyznę można uratować tylko drogą dyktatury..* — głoszono w odezwie — *dzisiejszy ustrój parlamentarny prowadzi Ojczyznę do zguby..."*

W takich to warunkach dokonywał się na forum parlamentu proces zbliżania interesów prawicy i centrum. Przywódca „Piasta", a zarazem były premier Wincenty Witos stwierdził w styczniu 1925 roku: *„...konstytucja nasza poszła za daleko w liberalizmie, jak w żadnym innym z państw europejskich. Ustawodawstwo socjalne nie umiało oznaczyć sobie należytych granic... W Polsce pracuje się jak najmniej..."*

Tego samego zdania był zresztą przebywający od 1923 roku w dobrowolnej izolacji w Sulejówku marszałek Józef Piłsudski. O nieco dziwnej sytuacji można więc mówić, jeżeli weźmie się pod uwagę, że to właśnie powrót Witosa na stanowisko premiera w maju 1926 roku stał się dla Piłsudskiego bezpośrednim powodem dokonania przewrotu. Piłsudski twierdził, iż chodziło mu o demonstrację zbrojną przeciw rządowi, która przerodziła się w próbę sił dla niego zwycięską.

Po kilku dniach walk prezydent Wojciechowski złożył na ręce marszałka Sejmu Rataja rezygnację ze stanowiska, w której stwierdzał: *„...Wobec wytworzonej sytuacji, uniemożliwiającej mnie sprawowanie urzędu prezydenta Rzeczypospolitej w zgodzie ze złożoną przeze mnie przysięgą, zrzekam się tego urzędu i zgodnie z art. 40 konstytucji przekazuje panu marszałkowi uprawnienia prezydenta Rzeczypospolitej..."*

Władza ta miała jednak charakter formalny, wręcz symboliczny, tym bardziej że Piłsudski od początku nie zostawiał żadnych złudzeń co do swego stosunku do parlamentu. Już 29 maja przemawiając do przedstawicieli stronnictw sejmowych stwierdzał: *„...Mogłem nie dopuścić was do sali Zgromadzenia Narodowego kpiąc z was wszystkich... ostrzegam, że sejm i senat są instytucjami najbardziej znienawidzonymi w społeczeństwie... nie będę bronił sejmu i senatu, gdy dojdzie do władzy ulica..."*

Zakpił sobie zresztą ze Zgromadzenia Narodowego wyrażając zgodę na kandydowanie, a po wyborze odmawiając przyjęcia urzędu prezydenta. Przed wyborem stwierdził *„... Z kandydaturą moją róbcie, co wam się podoba. Jest mi obojętne wiele głosów dostanę... nie robię żadnego nacisku co do wybierania mojej osoby..."*

Gdyby go jednak 31 maja 1926 roku wybrano głosami lewicy, centrum i części mniejszości narodowych, odmówił twierdząc, że konstytucja odsuwa prezydenta od bezpośredniej pracy. W argumentacji tej kryła się zapowiedź rychłego ataku na konstytucję marcową.

CZAS DYKTATURY

Istniejącego sejmu Piłsudski postanowił nie rozwiązywać. Był mu bowiem potrzebny dla przeprowadzenia planów zmiany konstytucji, a jak słusznie uważał zmiany polegające na ograniczeniu kompetencji sejmowych łatwiej zatwierdzi sejm kończący swą kadencję niż ją rozpoczynający. Tak więc dano było działać Sejmowi I kadencji aż do wiosny 1928 roku.

A zmiany w konstytucji określanej później mianem noweli sierpniowej były poważne i wzbudzały zdecydowany protest stronnictw lewicowych. Chodziło mianowicie o przyznanie prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej prawa do rozwiązania sejmu i senatu, a zlikwidowanie możności samorozwiązania. Prezydent miał otrzymać prawo wydawania dekretów z mocą ustawy. Także szereg innych postanowień ograniczało władzę parlamentu.

Lewica ostro protestowała. Przemawiając podczas dyskusji sejmowej poseł Ignacy Daszyński ostrzegał, iż *„...jak przewrót majowy wyrósł z poczucia, że nieprawości jest za dużo, tak późniejsze przewroty mogą wyrosnąć z poczucia, że bezprawia konstytucyjnego jest za dużo..."* Ostatecznie Rada Naczelna PPS w maju 1927 roku podjęła uchwałę o przejściu do opozycji wobec całego rządu.

Rząd tymczasem znalazł bardzo wygodny sposób na paraliżowanie pracy sejmu. Było to natychmiastowe zamykanie przez prezydenta sesji nadzwyczajnej, zwoływanej na żądanie posłów lub odraczanie sesji w momentach gdy obrady byłyby niewygodne dla rządu.

Do takiego konfliktu doszło w listopadzie 1926 roku, kiedy to rząd wydał dekret nakładający wysokie kary za przekroczenia prasowe. Sejm jednomyślnie podjął uchwałę o uchyleniu dekretu, ale rząd wydał wtedy nowy dekret, a sesję sejmową zamknięto, aby sejm nie zdążył się wypowiedzieć.

W kilka miesięcy później posłowie zażądali zwołania sesji nadzwyczajnej. Gdy sejm się zebrał prezydent odroczył sesję na 30 dni, a po upływie tego czasu, po zebraniu się sejmu natychmiast zamknął sesję.

Lewica parlamentarna protestowała, dekrety prasowe zmierzały bowiem do hamowania krytyki, do konfiskat prasy krytycznie nastawionej wobec poczynań rządu. Określał dekrety prasowe podczas sejmowej debaty poseł PSS Henryk Liebermann *„...jako dzieło myśli dyktatorskiej, jako groźbę dla zasadniczych praw całej ludzkości..."*, jednakże rząd kierowany przez Józefa Piłsudskiego nie liczył się z tego rodzaju głosami.

Nie udało się także sejmowi uchwalić ustawy samorządowej, gdyż sesje zwyczajną odraczano, aż do czasu zakończenia kadencji.

W takich warunkach pojawiły się i nasiliły nastroje niechęci wobec dyktatury, a jednocześnie rosła popularność stronnictw lewicowych. Te tendencje wyraźnie wystąpiły w czasie wyborów do samorządów miejskich, gdzie w wielu przypadkach socjaliści uzyskiwali czasem nadzdecydowaną większość.

Tymczasem sanacja zdecydowała się wreszcie na rozpisanie nowych wyborów. Miały one pokazać, czy i w jakim stopniu opinia publiczna akceptuje zmiany polityczne które dokonały się w Polsce.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

(1)

Stary człowiek z Banditenstadt

ROMAN KUBIAK

W samym środku miasta dwie kamienne postacie w mundurach wystawiają piersi pod ciosy niewidzialnego wroga. W ogromnych dłoniach dzierżą kamienne granaty i wiecznie gotowe do strzału karabiny. Zbratani w walce mają młodzieńcze twarze, też z kamienia; jasne, szlachetne z czynów oblicza. Tacy pozostaną.

Pod cokołem zbierają się z krwi i kości towarzysze broni. W żylastych, rozdygotanych dłoniach ściskają drewniane laski. Mają ciemne, przeorane zmarszczkami twarze, białe włosy, noszą za duże, zniszczone marynarki z kombatanckimi krzyżami w klapach.

Siadają przy betonowych stołach w parku, grają w warcaby z kapsli. Ci z AL i ci z AK nie siedzą przy jednym stole. Patrzą na siebie, wyszczerzają bezzębne dziąsła.

— Co nowego w Londynie? — pytają ci z AL.

— W porządku — odpowiadają ci z AK — mięso i cukier bez kartek.

— Za to nasze na wierzchu — cieszą się ci z AL. — Trzeba było walczyć, a nie stać z bronią u nogi.

— A kto kropnął esesmana Bergera — bronią się ci z AK.

— Kto rozwalił dworzec...

— Dobra, dobra, zuchy w lakierkach — śmieją się ci z AL. — Czekajcie wy swojego Andersa na białym koniu.

— Wyzwoleńcy, na ruskich czołgach — odpowiadają ci z AK.

Dzisiaj ci z AK wyżej trzymają g'owy. Bo ich kolega z partyzantki konspirował czterdzieści lat. Umarł, a broni nie oddał. To był orzeł!

MAŁY ARSENAŁ

4 lipca 1985 roku Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych w Radomsku został poinformowany, że w piwnicy bloku przy ulicy 16 Stycznia znajduje się skrzynia z dużą ilością broni i amunicji. Informacja potwierdza się.

W niewielkiej piwniczce, pośród sterty rupieci stoi czarna solidnie wykonana drewniana skrzynia z metalowymi okuciami. Starsi świadkowie oglądający niezwykłe znalezisko, nie mają żadnych wątpliwości: w takich pojemnikach spadały z nieba alianckie zrzuty dla partyzantów.

Skrzynia jest piekielnie ciężka. Wieko ustępuje ze zgrzytem dawno nie smarowanych zawiasów. Unosi się mdły zapach oliwy. We wnętrzu skrzyni leżą starannie poukładane zawiniątka: ciężkie przedmioty okręcone szmatami i wełnianymi po'ęczochami. Suchymi, ale z widocznymi tłustymi plamami. Dwa podłużne, największe pakunki kryją pistolety maszynowe. Pierwszy z nich, niem' cki MP-40 z drewnianą kolbą, nosi ślady intensywnego używania. Jego lufa była kiedyś przegrzana, na kolbie widać głębokie rysy. Drugi, angielski Sten z 1941 roku, nadal jest w doskonałym stanie: sprawny, z pełnym magazynkiem i pociskiem wprowadzonym do lufy. Pistolety tego typu w czasie okupacji docierały do Polski drogą lotniczą w spadochronowych zrzutach.

Środkową część skrzyni wypełniają cztery mniejsze, równie starannie opakowane przedmioty. Z pachnących oliwą szmat wyłania się malowana na czarno rękojeść — broń krótka. Niemiecki pistolet Walter, kaliber 7,65 mm, ma lekko zardzewiałą lufę. Źle zniósł długotrwałe przechowywanie. Amerykański Colt, rzadki u nas egzemplarz piekielnej 11-milimetrowej „armaty", ma w magazynku cztery sztuki opasłych pocisków zakończonych brunatnymi półkulami. Trzeci pistolet, to historyczny już choć używany w czasie ostatniej wojny bębenkowy nagan, prawdopodobnie francuskiej produkcji. Na lufie ma wyryty napis „St-Etienne 1891". Ostatni egzemplarz broni, polski Vis kaliber 9 mm jest szczególnie pieczołowicie zakonserwowany: dokładnie wyczyszczony, okręcony miękkimi kawałkami płótna z podartej koszuli, zawinięty w pożółkłą gazetę. Druk gazetowy jest czytelny: „Głos Narodowy, informacyjny dziennik Ziemi Częstochowskiej, Częstochowa, sobota 24 lutego 1945 roku". Na pierwszej stronie duży czerwony tytuł: „NOWY ETAP HISTORII POLSKI".

Na dnie skrzyni leży kilkaset sztuk amunicji rozmaitego kalibru, zapasowe magazynki do pistoletów maszynowych, skórzane kabury do broni krótkiej. Niektóre pociski są opakowane w oryginalne firmowe kartoniki z grubej tektury. Amunicja waży kilka kilogramów.

Czarna skrzynia wraz z zawartością zostaje przewieziona do RUSW w Radomsku, stamtąd do Warszawy. Bo chociaż na pierwszy rzut oka wydaje się, że broń dawno nie była w użyciu, jednak ekspertyza musi te przypuszczenia potwierdzić dokładnie ustalić kiedy ostatni raz ze znalezionych w piwnicy karabinów i pistoletów strzelano, czy nie użyto ich do działań przestępczych w okresie powojennym.

Wykrycie w Radomsku lub okolicach małego arsenału jeszcze kilkanaście lat temu nie było żadną sensacją. Ziemia radomszczańska zajmuje bowiem szczególne miejsce na okupacyjnej mapie Polski. Jest upstrzona dziesiątkami punktów oznaczających miejsca walk, małych potyczek i regularnych bitew, jakie staczały partyzanckie oddziały z hitlerowskim wojskiem. W tutejszych lasach działały zbrojne grupy, rekrutujące się głównie spośród mieszkańców Radomska, mające w tym mieście zaplecze i poparcie. Niemcy nigdy nie czuli się w Radomsku bezpiecznie. Nazywali to miasto „Banditenstadt".

Po wyzwoleniu nie wszystkie leśne oddziały złożyły broń, nie wszyscy ujawniający się konspiratorzy grzecznie położyli karabiny u stóp nowej władzy. Część bojowego ekwipunku „leśnych" została ukryta w wiejskich zagrodach, część przechowywana jest w mieście. Z upływem lat tajne, często zapomniane już skrytki, odsłaniają swoje tajemnice. Zdarza się, że synowie byłych partyzantów dopiero po śmierci ojców przekazują w ręce milicji rodzinne „pamiątki": karabiny, pistolety, granaty. Ale odkrycie małego arsenału, do tego w bloku zbudowanym po wojnie, ma trochę inny wymiar.

Piwnica, w której znaleziono czarną skrzynię, należy do osiemdziesięciodwuletniej kobiety. Kiedy milicja prowadzi czynności wyjaśniające, staruszka nie potrafi już kojarzyć faktów, zawodzi ją pamięć. Kilka dni później zostaje odwieziona do szpitala w Warcie. Stwierdza jedynie, że dostępu do piwnicy zawsze strzegł jej mąż. Niestety, stary człowiek zmarł niespełna rok temu. Nazywał się Czesław Oszczepalski.

W tej sytuacji czynności dochodzeniowe zostają przerwane. Milicja uznaje, że Oszczepalski zabrał tajemnicę do grobu.

NERWOWY EMERYT

Blok, w którym mieszkali Oszczepalscy, zbudowano w 1961 roku. Prawdopodobnie wtedy czarna skrzynia została tu przewieziona razem z meblami wprowadzającej się rodziny. Sąsiedzi pamiętają, że przed kilkoma laty Oszczepalscy przeprowadzali się z mieszkania na parterze pierwszej klatki bloku do mieszkania na piętrze drugiej klatki. Wówczas to pomagali Czesławowi ową czarną skrzynię przenieść do nowej komórki w piwnicy. Oszczepalski milczeniem zbywał pytania o zawartość ciężkiej skrzyni. Bacznie pilnował, by nikt do niej nie zaglądał.

Przeprowadzka starszego małżeństwa miała podłoże w konfliktach z sąsiadami. Oszczepalski był nerwowy, drażniły go hałasy, głośniejsze rozmowy. Mieszkając na parterze był narażony na wysłuchiwanie zgiełku bawiącej się pod oknami dzieciarni, ujadanie psów, warkot samochodów. Reagował gwałtownie, denerwował się, krzyczał. Bywało, że ktoś zażartował: — Ech Czesław, gdybyś tak miał pistolet, to...

W takich razach Oszczepalskiemu nawet nie drgnęła powieka.

Pracował jako elektromonter w miejscowych zakładach. Był sumiennym, rzetelnym fachowcem. Znał się na robotach ślusarskich i hydraulicznych. Często proszono go o sąsiedzką przysługę: naprawienie zepsutego kranu, zamka w drzwiach, roweru. Nie odmawiał.

Oszczepalscy uchodzili za małżeństwo zgodne. Pobrali się w latach pięćdziesiątych, dzieci nie mieli, dalsza rodzina odwiedzała ich bardzo rzadko. On, przykładnie troskliwy mąż, zaradny, energiczny. Ona, starsza o kilka lat, prowadziła dom. Nie zabiegali o towarzystwo innych. Z sąsiadami bliższych kontaktów nie utrzymywali. Ot, pogadać chwilę, wymienić ukłony.

Z upływem lat Oszczepalski stawał się coraz bardziej nerwowy. Przebył dwa zawały, nie rozstawał się z nasercowymi lekami. Po przejściu na emeryturę miał kłopoty ze słuchem.

Nigdy nie mówił o swojej przeszłości, nie wspominał lat okupacji, czasów powojennych. Słuchał kiedy opowiadali inni. Raz tylko, zapytany czemu ma tak strasznie pokrzywione palce, odparł: — Ubecy mi połamali.

Ostatnią fotografię zrobiono Oszczepalskiemu dwa lata przed jego śmiercią. Stary człowiek siedzi na ławeczce przed blokiem, nie patrzy w obiektyw. Przez grube szkła okularów spogląda na owalny przedmiot leżący na kolanach. W prawej ręce trzyma młotek. Wyraźnie widać nienaturalnie ułożone palce dłoni.

Czesław Oszczepalski umiera 10 września 1984 roku. Umiera nagle. Wraca ze spaceru, czuje złowieszcze ukłucia w okolicy serca, kładzie się na tapczanie. Pół godziny później nie daje znaku życia. Miał 73 lata.

Po jego śmierci żona niszczy znaczną część latami przechowywanych dokumentów: listów, rękopisów, fotografii. Nie chce zdradzić, dlaczego tak postąpiła.

Niespełna dziesięć miesięcy później jeden z sąsiadów pilnie potrzebuje zestawu narzędzi, które Oszczepalski pożyczył od niego i nie zdążył oddać. Wdowa mająca coraz większe trudności z poruszaniem się, wręcza sąsiadowi klucz do piwnicy, gdzie zmarły mąż przechowywał narzędzia. Pobieżne przeszukanie komórki nie daje rezultatu. Narzędzi nie ma. Może więc są w tej wielkiej czarnej skrzyni, której róg wystaje spod cegieł i rupieci? Sąsiad odgrzebuje skrzynię, podnosi wieko i...

PLUTONOWY „KOMAR"

Oszczepalscy mieszkali skromnie w niewielkim pokoju zastawionym ciężkimi meblami z lat pięćdziesiątych: okrągły stół, masywna szafa, gięte krzesła, tapczan, serwety. Na szafie dwie wielkie tekturowe walizy zapinane na pasek. W tej bardziej zniszczonej leży kolekcja portretów Piłsudskiego. Marszałek na koniu, w samochodzie, ze sztandarem... W szafie drewniana szkatułka z resztkami rodzinnych pamiątek, dokumentów: zdjęcia ślubne, carskie paszporty, ordery z pierwszej wojny. Dokumentów wystawionych na nazwisko Czesław Oszczepalski jest niewiele: legitymacja Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, Ligi Morskiej i Kolonialnej, ausweis, podniszczona książeczka wojskowa. Jej właściciel odbywał służbę wojskową w latach 1932—34. Ukończył też z wynikiem bardzo dobrym szkołę podoficerską 82 pułku piechoty w Brześciu nad Bugiem. Zachowało się niebieskie zaświadczenie mobilizacyjne, które na wypadek wojny i powołania do służby wojskowej należało oddać w jednostce. Zaświadczenie to nie zostało oddane. Ostatni zapis w książeczce pochodzi z roku 1938.

We wrześniu 1939 roku Oszczepalski ma 28 lat, jest dobrze wyszkolonym podoficerem. Jednostka, do której winien się stawić po ogłoszeniu mobilizacji leży poza zasięgiem działań wojennych, podobnie jak Radomsko — aż do 3 września. Jednak udziału w kampanii Oszczepalski nie bierze. Dlaczego?

Trzy szczególnej wagi dokumenty Oszczepalski traktował inaczej, zadbał, by nie dostały się w przypadkowe ręce. Pewnie dlatego ocalały przed spaleniem. Są to: zaświadczenie o zwolnieniu z więzienia w Łodzi, wystawione 19 maja 1947 roku Potwierdzenie działalności w ruchu oporu od 1 lutego 1940 roku do 15 stycznia 1945 roku oraz mała biała legitymacja stwierdzająca, że plutonowy Czesław Oszczepalski, pseudonim „Komar", był żołnierzem Armii Krajowej Okręgu Radomsko-Kieleckiego, co potwierdza szef sztabu Okręgu, ppłk dypl. Wojciech Borzobohaty (pseud. „Wojan").

BIAŁE PLAMY W ŻYCIORYSIE

Oszczepalski podaje różne wersje swojego życiorysu. W roku 1947 pisze: „Do szkoły zacząłem chodzić od siedmiu lat i skończyłem 3 oddziały szkoły powszechnej. Po skończeniu szkoły poszedłem do pracy w Radomsku, w banku mieszczańsko-rolnym, gdzie pracowałem w charakterze gońca. Gdy miałem 14 lat poszedłem w praktykę za elektromontera i tam pracowałem przez 5 lat w firmie Antena. Później byłem szoferem do roku 1932, tj. do chwili powołania mnie do wojska. W wojsku służyłem od 32 do 34 roku czyli dwa lata. Po odbyciu służby wojskowej pracowałem jako elektromonter w firmie Jan Tyc w Radomsku. W 1944 roku Niemcy aresztowali mnie i wywieźli do pracy w Kamińsku, lecz po 9-dniowym pobycie tam uciekłem do Radomska i byłem ścigany, więc byłem zmuszony iść do lasu, do PPS, gdzie byłem do chwili wyzwolenia".

W życiorysie tym Oszczepalski pomija wydarzenia z lat 1940—1944, czyli działalność w ruchu oporu. Oszczepalski czyni to świadomie. Świadomie zataja konspiracyjną przeszłość, kreując się na spokojnego obywatela z desperacji, dopiero w ostatniej dniach wojny, uciekającego do lasu. Jest bowiem rok 1947, „Komar" doskonale wie, że ujawnienie działalności w Armii Krajowej pogłębi podejrzenia władz co do jego przeszłości i teraźniejszości. Grożą mu represje. Życiorys ów przedstawia na żądanie Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie jest podejrzewany o kontakty z nielegalną organizacją zbrojną. Z tego też zapewne powodu Oszczepalski próbuje delikatnie uwypuklić swą przynależność do Polskiej Partii Socjalistycznej, mniemając, iż fakt ten ustawi go w korzystniejszym dla władz świetle.

Istotnie, w okresie międzywojennym Oszczepalski należał do PPS. Zapamiętano go jako aktywnego działacza krewkiego ideowca, który z racji niezgodności poglądów politycznych mocno poturbował komunistę.

Nigdy potem, aż do roku 1961, plutonowy „Komar" nie ujawnia swojej okupacyjnej przeszłości. Konsekwentnie przemilcza wszelkie z nią związane fakty. Nie lubi wspominać, nie próbuje nawiązywać kontaktów z dawnymi kolegami. Nie dopuszcza do pytań o lata powojenne. „Nikt nie wie co Oszczepalski robił od stycznia 1945 roku do stycznia 1947 roku. Na ten temat „Komar" milczy jak grób.

W 1961 roku Czesław Oszczepalski uchyla rąbka tajemnicy. Czyni to w konkretnym celu. Cierpi na chorobę serca, stara się o rentę inwalidzką. Starania te może mu ułatwić członkostwo Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Korzysta z tej szansy. W deklaracji członkowskiej pisze: „Do PPS należałem przed wojną i w czasie wojny. W lutym 1940 roku zacząłem działać w PPS przeciwko Niemcom. W lipcu 1944 roku poszedłem do lasu i walczyłem w oddziałach leśnych „Kruka", „Wyrwicza" i „Boruty". Brałem udział we wszystkich akcjach bojowych. W Gomunicach uwolniliśmy jeńców radzieckich, którzy przeszli do majora „Góry". W lesie byłem do 15 stycznia 1945 roku".

Deklaracja wypełniona ręką Oszczepalskiego jest bardzo oszczędna w treści, zbyt ogólnikowa — na co wówczas nie zwrócono uwagi. „Komar" stara się jedynie zadość uczynić formalnościom, bez zagłębiania się w szczegóły. Później okaże się, że fakty przedstawione przez Oszczepalskiego nie do końca odpowiadają prawdzie są nieprecyzyjne. Czyżby celowo?

Oświadczenie zawarte w deklaracji Oszczepalskiego potwierdzają dwaj wskazani przez niego świadkowie. Potwierdzają dosłownie. Nikt z członków komisji kwalifikacyjnej ZBoWiD w 1961 r. nie zauważa, iż obaj świadkowie zwyczajnie przepisują fragment deklaracji „Komara", nie trudząc się podawaniem nowych faktów mogących podkreślić wiarygodność oświadczenia. Rodzi to kolejne pytania.

Dwadzieścia cztery lata później, w 1985 roku, wyjaśnienie tej sprawy jest praktycznie niemożliwe. Daje się tylko ustalić, że pierwszy świadek życiorysu Oszczepalskiego nie mieszka i nigdy nie zamieszkiwał pod wskazanym w dokumencie adresem. Są poważne wątpliwości, czy taki człowiek w ogóle istniał...

Drugi, nieżyjący już świadek, to postać w Radomsku dobrze znana. Ale nie z działalności w ruchu oporu. Człowiek ów był malarzem pokojowym. O jego konspiracyjnej przeszłości kombatanci wyrażają się z powątpiewaniem. Ciekawe, że on sam, powszechnie znany malarz pokojowy, twierdził — i tak zapisane jest w dokumentach ZBoWiD — iż działał oraz ukrywał się przed Niemcami pod pseudonimem... „Matejko".

Mimo tak jaskrawych przeoczeń, Czesław Oszczepalski zostaje przyjęty w poczet członków ZBoWiD, uzyskując tym samym prawo do świadczeń kombatanckich.

To całkowicie satysfakcjonuje „Komara". Nadal nie przejawia on zapału do spotkań kombatanckich, nie bierze udziału w pracach macierzystego koła ZBoWiD. Tak mija siedemnaście następnych lat.

We wrześniu 1977 roku do komisji weryfikacyjnej Zarządu Wojewódzkiego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Piotrkowie Trybunalskim wpływa pismo następującej treści: „Zarząd Koła Miejskiego w Radomsku informuje, że otrzymaliśmy wiadomość, iż członek naczego Związku, Czesław Oszczepalski był po wyzwoleniu karany 5 lat i dlatego prosimy nie wydawać karty kombatanckiej".

„Komar", jeśli nadal zależy mu na członkostwie ZBoWiD, musi teraz złożyć wyjaśnienie, które być może odsłoni kolejny nieznany fragment jego życiorysu.

Do akt włączono wyjaśnienie Oszczepalskiego napisane 7 września 1977 roku. „W odpowiedzi na pismo z dnia 6.09. 1977 r. uprzejmie informuję, że obecnie nie jestem w stanie dostarczyć odpisu wyroku skazującego z 1947 r., gdyż takiego absolutnie nie otrzymałem. Uwolniony zostałem z aresztu prewencyjnego w wyniku obowiązującej w tym czasie Ustawy Sejmowej o amnestii dla więźniów politycznych. Pomijając fakt tendencyjności wyroku, nie starałem się od 1956 r. o jego anulowanie, zajęty pracą w ciągłej delegacji służbowej i w przekonaniu o całkowitym zatarciu kary po upływie 10 lat. W tym duchu wypełniłem deklarację w 1961 r. do Związku, jak również moi świadkowie, poinformowani w ten sposób przez funkcjonariuszy Powiatowego Zarządu ZBoWiD w Radomsku. W tym stanie rzeczy proszę o uznanie mojego wyjaśnienia za uzasadnione oraz o przekazanie informacji w sprawie ewentualnej konieczności starania się o odpis wyroku z 1947 r. Dla informacji podaję, że mam 66 lat i w ostatnich siedmiu latach przebyłem dwa zawały serca, pozostając od tego czasu na rencie inwalidzkiej, a obecnie na emeryturze. Oczekując na odpowiedź pozostaję z szacunkiem: Czesław Oszczepalski."

Wyjaśnienie to nie jest pisane ręką Oszczepalskiego. Na pewno nie jest to charakter pisma człowieka, który wypełniał deklarację członkowską, podpisywał się pod dokumentami. Nie jest to ani ten styl, ani słownictwo, które „Komar" prezentował we wcześniejszych rękopisach. Wiadomo przy tym, że w 1977 roku Czesław Oszczepalski nie miał najmniejszych kłopotów z redagowaniem i własnoręcznym pisaniem listów...

Z treści wyjaśnień wynika, że „Komarowi" lub komuś z jego otoczenia ciągle zależy na zachowaniu w tajemnicy wydarzeń z lat 1945—1947.

Spróbujmy je odtworzyć.

C.D.N.

O Wandzie, co chciała Niemca...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Obaj są wyraźnie niezdecydowani. Baranim nieco wzrokiem wpatrują się w tabliczkę informującą, iż przy ulicy Andrzeja Struga 19 mieści się klub „Fafik". Przestępują z nogi na nogę, rozglądając się niepewnie. Ten wyższy wreszcie podejmuje męską decyzję:

– No, Jasiu idziemy, jak się nie uda to najwyżej „umoczymy" z żałości w „Tivoli"...

— E, tego wiesz, a może spróbujemy za tydzień? – blondyn w jasnej marynarce ma pewne oblekcje — „połówkę" i tak ja stawiam...

— Daj spokój, trzeci raz już się przymierzamy — wysoki z determinacją sięga do kieszeni po papierosy — jazda, „po całym" na odwagę i walimy. Bywają tu podobno całkiem fajne dupy...

Po chwili wwiercają pety w chodnik i poprawiając nerwowo krawaty — ruszają. Dobiegająca zza otwartych drzwi hałaśliwa muzyka wyciąga już po nich swe macki. Tylko niższy rzuca w tył ostatnie tęskne spojrzenie i — już. Niczym na maturze legitymują się dowodami uśmiechniętej blondynce w średnim wieku i znikają w czeluściach rozgrzanego łomotem perkusji klubu.

— A pan? Również do nas? Zapraszamy, jeśli pan pozwoli zerknę tylko w dowodzik? — ten tekst i uśmiech zza biurka blokującego wejście skierowany jest do mnie. Domyślam się, że jeden drobny wpis może mi być dziś niezbyt pomocny. Nie będziemy więc działać incognito — sięgam po służbową legitymację.

— Ojej, prasa, a to mnie pan zaskoczył! — blondynka zrywa się z miejsca automatycznie zerkając w lustro i dyskretnie poprawia fryzurę. — Chce pan coś o nas napisać — O moim biurze, naprawdę? — Cieszę się, mam masę ślicznych dziewczyn, zaraz pokażę zdjęcia — szczebioce — a pan, przepraszam, że pytam: kawaler.?..

I tak poznałem panią Halinę, szefową firmy matrymonialnej lub, jak kto woli, biura pośrednictwa przy zawieraniu małżeństw „Halina" (90-955 Łódź 8, skrytka pocztowa 65, Polska).

„42-letnia, 163/60, wolna, niezależna, towarzyska, pozna pana interesującego, o przyjemnej aparycji, do lat 50. Stan majątkowy obojętny. Fotooferty nr..."

Droczymy się przez chwilę czy będzie to krytyczny reportaż czy lekki, wesoły felieton. Zerkam w głąb długiej sali. Przypatrują mi się uważnie dziesiątki oczu płci obojga, taksują. Bardzo dziwny rodzaj spojrzenia: dla panów jestem wszak potencjalnym konkurentem, a dla pań?...

Odprowadzani wzrokiem niemal wszystkich obecnych sadowimy się z panią Haliną przy jednym ze stolików na uboczu. Popatruję z ciekawością po sali; praktycznie miejsc wolnych brak, z tym że atmosfera jakaś inna, wcale nie kawiarniana. Gdy przy niektórych stolikach siedzą pary w dobrej, widzę, komitywie, znajomi bynajmniej nie jednego wieczoru, przy innych — smętnie, sztywno, zdawkowa wymiana uprzejmości. Jeszcze się nie znają, być może kogoś dosadzono „na siłę", być może inaczej miał wyglądać wymarzony książę z bajki, a brzydkie kacząteko jakby nie zamierzało przeistoczyć się w księżniczkę...

— Początki zawsze są trudne — tłumaczy szefowa firmy, lustrując swoich podopiecznych — Wielu z nich to chodzący kłębek kompleksów, niemal wszyscy są szalenie nieśmiali i to jest główną przyczyną ich samotności.

— Chyba nie sami starzy kawalerowie i panny dziś dopisały? — wpadam w słowo.

— No, nie, choć w myśl podstawowej zasady — wszyscy muszą być stanu wolnego.— Ale często po pierwszym, nieudanym związku człowiek jeszcze bardziej zamyka się w sobie, gryzie, dziwaczeje. Naprawdę trudno znaleźć wówczas partnera na resztę życia. — Sekundę, zaraz się panem zajmę — pani Halina przeprasza łysiejącego mężczyznę, który wyraźnie przerażony przycupnął przy stoliku obok.

— Widzi pan, są często jak dzieci. — Mają tyle smutnych doświadczeń, często wiele niesympatycznych prób za sobą, że trzeba prowadzić niemal za rękę, tłumaczyć, przekonywać, ba, umawiać wręcz na randki. A poza tym...

Huknęło gdzieś z tyłu. Najpierw perkusja, potem chyba gitara basowa — łomot z niewyraźnym głosem męskim w tle w sekundę zagłuszył wszystko. Bez znajomości języka migowego i sygnałów Morse'a niewiele mogłem zdziałać. Pani Halina przeprosiła, krzycząc mi w ucho, że za chwilę wraca, tylko dosadzi gdzieś przerażonego łysola.

A w tany ruszyły właśnie pierwsze pary. Niektórzy blisko, bliziutko, ucho w ucho, inni — sztywno, na odległość z widocznym w oczach przerażeniem i jedną myślą, by nie podeptać partnerki. Ale jednym i drugim przeraźliwy łomot nie przeszkadzał bynajmniej, wielu był nawet na rękę, gdyż uniemożliwiał jakąkolwiek konwersację. Na parkiecie zrobiło się wyraźnie tłoczno. Przy jednym ze stolików ostro wymalowana pani w różowym sweterku wyczekująco zerkała na młodszego o, powiedzmy, kilka lat młodzieńca. Ten jednak całą uwagę skupiał na przypalaniu papierosa i puszczaniu precyzyjnych kółeczek...

„Uczciwa, podobno ładna, starsza pani, optymistka, całkowicie samotna, niezależna, pozna opiekuńczego, odpowiedzialnego, chętnie nauczyciela i nie tylko do lat 70. Oferty nr..."

Wróciła szefowa matrymonialnego biznesu, bezskutecznie usiłując przekrzyczeć wszechobecny huk kolumn głośnikowych.

— Zawsze tak ładnie grają? — ryknąłem co sił w płucach i znów wszystkie oczy zwróciły się na nas, bowiem właśnie w tym momencie muzyczka zamarła.

— Zawsze — syknęła lekko skonfundowana — ale nie mogę nic zdziałać, to zespół COBR, przypisany do tego klubu. Czynię co prawda wysiłki by nieco uatrakcyjnić propozycje muzyczne, nawet rozmawiałam niedawno z sympatyczną kapelą cygańską, byłby z pewnością lepszy nastrój, ale cóż, nie zjawili się.

— Wróćmy na chwilę do przeszłości. — Skąd pomysł pani Halino, dawno poczuła pani powołanie? — rzuciłem się do pracy, w każdej chwili oczekując następnej dawki decybeli.

— To już ponad trzy lata od momentu uzyskania koncesji na prowadzenie tego typu działalności. Wie pan, i mnie kiedyś los nie oszczędził, zostałam sama, z małym dzieckiem. Może dlatego rozumiem co znaczy samotność, co to znaczy brnąć przez życie bez kogoś bliskiego. I chyba wybrałam właściwie, bowiem ponad 800 osób dzięki mnie zawarło związek małżeński albo przynajmniej odnalazło właśnie tę bratnią duszę.

— Umiejętność kojarzenia ludzi wystarcza do założenia takiego biznesu? Biura matrymonialne wszelkiej maści i specjalności mnożą się jak grzyby po deszczu. Wszelkie „Halszki", „Wiosenki", „Basie", „Syrenki", „We Dwoje" kuszą czym mogą; jedni rekordową ilością ofert, inni tabunami spragnionych szczęścia cudzoziemców, jeszcze inni obok szklanej kuli, wróżenia z gwiazd włączają do akcji komputery. Nie zabraknie czasem klientów?

— Myślę, że nie zabraknie, ale po kolei. Rzeczywiście, oprócz predyspozycji psychicznych wystarczy posiadać średnie wykształcenie i jakiś lokal z przeznaczeniem na biuro, najczęściej — własne mieszkanie. Cóż, firm kojarzących samotników jest faktycznie sporo, chyba doliczylibyśmy się około 100 w kraju. Różnie różne prosperują i różnych używają argumentów. Klient może zresztą należeć do kilku firm. Ja też zaczynałam od kilkudziesięciu zgłoszeń, wówczas była to zresztą forma wyłącznie korespondencyjna. Przez te trzy lata z okładem interweniowałam — tak to określmy — w ponad 2400 przypadkach, a jak mówiłam 800 osób udało mi się skojarzyć.

— Były reklamacje?

— Ani jednej. I myślę, że nie będzie.

— A ilu szczęśliwców zaprosiło panią z wdzięczności na własny ślub?

— Szczęście jest ulotne i wdzięczność także. Takie zaproszenie otrzymałam bodaj w dwóch czy trzech przypadkach, ale nie mam pretensji, naprawdę, ważne by byli szczęśliwi.

„Miły, bez nałogów, spokojny, pozna panią samotną, bezdzietną, z mieszkaniem, solidną bez nałogów, korpulentną, tęgą, do lat 55. Oferty nr...".

— Jak do pani trafiają, czy tylko z ogłoszeń w prasie? — I co im pani może zaoferować? — znów narzuciłem ostre tempo w rozmowie, bowiem coś z tyłu ostrzegawczo brzęknęło. Ale nie, jeszcze nie grali, pewnie któryś potknął się o gitarkę...

— Jak trafiają? Większość chyba z ogłoszeń, wielu dowiedziało się o mojej firmie od znajomych, którzy, dzięki mnie, nie muszą już brnąć przez życie samotnie. Ja sama muszę też dbać o różne formy reklamy i czasem „rozsiewam" w zakładzie, gdzie większość załogi stanowią mężczyźni, swoje reklamówki. Ot, choćby w siedzibie NOT...

— Czy to znaczy, że u pani większość kobiet poluje?...

— Tu nie ma żadnych polowań, ale rzeczywiście ponad 60 procent moich klientów stanowią panie,..

— ...które gdy przebrną już przez sito eliminacyjne?

— Jest to zwykle pierwsza, najtrudniejsza zresztą rozmowa w cztery oczy, w czasie której klient musi mi się odkryć, szczerze wyznać swoje słabostki i zalety, swoje upodobania i... prawdziwe zamiary. Muszę wiedzieć, jaka osoba go czy ją interesuje.

— Z tymi zamiarami to, myślę, że nie zawsze mówią prawdę, ale powiedzmy, że się szczerze wyspowiadają. I cóż im pani proponuje później?

— Specjalnie drukowane dla nich biuletyny, z wyszczególnieniem interesujących daną osobę ofert, które otrzymują raz w miesiącu.

— Bezpłatnie zapewne...

— No, bez przesady. Raz na kwartał każda osoba oczekująca płaci 800 złotych, a z tego co się orientuję jest to jedna z niższych stawek w kraju.

— No i nagle na liście, z tych skąpych danych, wynurza się twarz tej jednej jedynej...

— Wówczas można poprosić o zdjęcie i adres wybranej osoby.

— Gratis?

— Prawie, za jedyne 35 złotych.

— To już kres pośrednictwa?

— Ależ skąd! Gdy korespondencja się przedłuża — umawiam ich na spotkania, zapraszam na nasze wieczorki, które organizuję od prawie pół roku. Tak jak mówiłam, często muszę prowadzić moich klientów dosłownie za rękę...

— Przecież — niech się jeszcze raz rozejrzę — to są dorośli ludzie, czy rzeczywiście trzeba im mówić kiedy i na którym boku mają się kłaść spać. Że nie wspomnę — z kim?!

— Niech pan nie spłyca problemu, naprawdę. To są w przeważającej większości ludzie szalenie nieśmiali, zamknięci, nie umiejący przebojem iść przez życie, pełni kompleksów...

— Taaak, a ta ładna, ruda dziewczyna, której zresztą zdjęcia pokazywała mi pani już przy wejściu — też jest taka nieśmiała, zamknięta? Czy można by z nią porozmawiać, bo widzę, że się doskonale bawi w towarzystwie dwóch panów. Czy też nie może znaleźć swojego jedynego księcia?

— Pani Wanda? Na pewno chętnie z panem porozmawia, spróbuję ją tu popro...

Reszta słów utonęła w jazgocie, który zerwał się znów z niebywałą siłą, zapraszając wszystkich nieśmiałych, przerażonych i zakompleksiałych do wspólnej balangi. Jakoś pokrywali te cechy, w marynarkach chyba i torebkach, bo zabawa rozkręciła się na dobre. Choć alkoholu na stoliku żadnym nie zauważyłem, ponoć bufet był akurat nieczynny. Panie, które tym razem pozostały na swych miejscach, nadawały się rzeczywiście — jak to określili dwaj młodzieńcy po sąsiedzku — wyłącznie „do odstrzału". Zresztą kilku nielicznych przedstawicieli płci brzydszej, samotnie kurzących papierochy, też, niestety, nie grzeszyło urodą i chyba nie mogli dziś liczyć nawet na najbardziej wyuzdane białe tango. Być może dysponowali innymi walorami, ale panie były „ponad to". Kapela różnęła coś pośredniego między bluesem a sambą, w każdym bądź razie tańczącym rytm wyraźnie wchodził w krew, o czym świadczyły coraz bardziej wyrafinowane podrygi z potrójnymi „radebergerami" włącznie.

„Dostatnie życie, dużo ciepła i radości zapewni Ci młodo wyglądający Niemiec (RFN), 43, o pogodnym usposobieniu. Każdą poważną fotoofertę kierować..."

Wróciła pani Halina, bez rudej piękności, natomiast w towarzystwie jednego z panów. Prezentacji dokonano w uroczystym nastroju — krzycząc sobie nawzajem w ucho. Młody człowiek, jak się okazało, jest prawą ręką szefowej w kontaktach z... cudzoziemcami. Występuje jako tłumacz, co i dzisiaj mu się zdarzyło, bowiem drugim mężczyzną był tokujący Niemiec, nie rozumiejący po polsku „ni w ząb", a pani Wanda pragnęła naprawdę nieco więcej dowiedzieć się o swym potencjalnym partnerze niż mogła to osiągnąć przy użyciu powszechnie znanych i u nas słów typu „achtung", „Hände hoch" i „wasserwaga".

Musiałem mieć triumfującą minę, bo pani Halina zaczęła się jakby tłumaczyć, a raczej swoją klientkę.

— To bardzo poważna dziewczyna, z dobrego domu, spokojna i zrównoważona. — Poszli zapewne na spacer i jeszcze się tu zjawią...

Nie wiedzieć czemu, jak na komendę ryknęliśmy obaj z tłumaczem gromkim śmiechem. Prawie zagłuszając orkiestrę, która kończyła coś na kształt mazura sympatycznym „cha, cha, cha". Znów mi dawali szansę, uruchomiłem więc kolejny zestaw pytań, tym razem dotyczących współpracy z zagranicznymi biurami matrymonialnymi.

— Od niedawna, od kilku miesięcy, mam kontakt z biurami z RFN, Szwecji i częściowo — ze Stanów Zjednoczonych. To bardzo specyficzna sytuacja — ich interesują wyłącznie oferty pań. Ja z kolei uczciwie dziewczynom mówię, że nie wszystkie mają szansę. To konieczne, bowiem często brak im tej odrobiny samokrytycyzmu. Oprócz urody liczy się przecież znajomość języków, pani taka musi legitymować się wykonywaniem poszukiwanego przez cudzoziemca zawodu, a to zwykle powinna być profesja lekarza, inżyniera, któraś z branż rzemieślniczych. No i trzeba być naprawdę atrakcyjną kobietą. Dlatego preferuję wymianę ilościową — na przykład dziesięć naszych ofert za dziesięć niemieckich.

— A jeśli perswazje nie pomogą?

— Zwykle pomagają, powiem szczerze, że na dzień dzisiejszy takich reprezentacyjnych dziewczyn z mojej strony mogę zasugerować pięć, sześć najwyżej.

— No dobrze, ale ona jest uparta, chce koniecznie „za Niemca"...

— Pozostaje droga indywidualna. Wiele zachodnich biur sugeruje nadsyłanie ofert za dewizy. Każą sobie płacić kwartalnie 25—40 dolarów. I ślą dziewczyny swe fotki z opisem pragnień i własnych walorów. Wiele katalogów zachodnich jest wprost zadrukowanych propozycjami z Polski.

— Smutne to, że te panie nie wiążą swej przyszłości z krajanami, a Niemcy czy Szwedzi mogą przebierać jak w przysłowiowych ulęgałkach. Niektórzy jak widzę nawet fatygują się do nas, by przebrać na miejscu... — Pani Halino zdecydowanie proszę o jakieś weselsze wiadomości, może jakiś ciekawy, niecodzienny związek udało się pani stworzyć albo spotkać klienta legitymującego się rzadko spotykanym zawodem?

— No cóż, udało mi się kiedyś doprowadzić do ołtarza panią i pana, którzy dwa lata wcześniej... wzięli ze sobą rozwód. A nietypowe zawody? Właściwie każdy jest reprezentowany. Lekarze, reżyserzy, są i dziennikarze.

— O, a któryż to z szanownych kolegów u pani „poluje"?

— Przykro mi, ale tego nie mogę zdradzić, zapewniam mym klientom absolutną dyskrecję.

„Pannę bez zobowiązań, spod znaku Raka oraz z wykształceniem średnim — poznam. Oferty numer..."

— Pani Halino, po tych paru latach działalności biura, może pani chyba nakreślić Czytelnikom najbardziej poszukiwany typ mężczyzny?

— Mogę, bowiem pewne cechy w większości przypadków się powtarzają. No, więc powinien być to pan o urodzie południowca — Greka, Włocha, wzrost powyżej 176 centymetrów, szczupły, męski, rzemieślnik, najlepiej z samochodem, abstynent, elegancki, opiekuńczy, może mieć jedno dziecko.

— W tej kolejności, rozumiem, kładą panie nacisk na poszczególne, nazwijmy to — atrybuty?

— Raczej tak, z tym że o ile jedno dziecko w przypadku każdej ze stron nie stanowi żadnej przeszkody, o tyle bardzo rzadko udaje mi się znaleźć partnera dla osoby mającej już dwoje dzieci na utrzymaniu.

— No a teraz bardzo proszę: typ najbardziej poszukiwanej pani...

— Przede wszystkim — uroda. Następnie temperament, tak, tak; powinna być ponadto gospodarna i elegancka, wzrost zwykle w granicach 155—160 centymetrów, inteligentna, mile widziany jest któryś z zawodów rzemieślniczych, mieszkanie, rzadziej samochód.

— A wiek? A znaki Zodiaku?

— Cóż, wiek każdy dopasowuje do swoich możliwości, choć znam panów pod sześćdziesiątkę namiętnie szukających dwudziestolatek. Ale prawdę powiedziawszy są raczej bez szans. Odwrotne sytuacje czasem się zdarzają, ale różnica wieku nie może być jednak tak duża. Znakami Zodiaku rzeczywiście dość często się moi klienci sugerują, był choćby i Niemiec przysłany przez biuro polonijne, który od razu zaznaczył co go interesuje, mówiąc, że „Polki-Skorpiony są gut..."

To był naprawdę miły wieczor. Poznałem jeszcze sporo ciekawych ludzi. Choćby pana Janusza, marynarza, który cały świat opłynął, swej wybranki (stałej) nie znalazł i przyżeglował wreszcie do Łodzi, do pani Basi. Dzięki koledze, po fachu, który za pośrednictwem biura „Halina" już 17 lat przebywa w małżeńskich okowach. Oboje trzymali się cały czas za ręce, niczym papużki-nierozłączki, patrzyli sobie w oczy, niewiele w sumie na mnie i resztę zwracając uwagi. O ślubie co prawda jeszcze nie myślą, dobrze jest jak jest, oby tylko nie wymieniać nazwisk ani bliższych szczegółów, bo ludziska niesympatyczne, śmiać się będą na wieść, że fajtłapy, z biura matrymonialnego musieli korzystać.

Był i pan Roman, sympatyczny choć bez tej powalającej na kolana urody, który lekko sepleniąc kilkakrotnie pytał dlaczego żadna nie chce z nim tańczyć. Że jest w wytartym swetrze? Że się nie golił od dwóch dni? Rzeczywiście, dziwne to co najmniej, tym bardziej, że jak opowiadał, jest częstym gościem w „Kaskadzie", „Irenie". I bez skutku. Dziewczyny, co wy robicie!? Każda czeka wyłącznie na swego Marlona Brando?! A lata jak woda...

Podsumował temat żylasty młodzieniec w kraciastej koszuli, rozgrzany tańcem, choć nawet imienia nie chciał zdradzić.

— Tyle panu powiem, że to bardzo dobre imprezy, zawsze coś miłego się trafi, popatrz pan ile panienek, tylko rwać! Ślub? Panie ja mam dopiero „trzy dychy" i wystarczy mi piana zamiast browar kupować. Tak, tak, jak będę chodził o lasce i ząbki trzymał w szklance, to pomyślimy o tym. No, kochany, lecę, mają zagrać to z Opola, „Daj mi tę noc"... I rączo pogalopował do dwóch wiercących się niecierpliwie przy stoliku pań. W wieku, no, też po trzydziestce.

Kapela wykonała przygrywkę, ale zdążyłem jeszcze wyskoczyć na zewnątrz. Bo głuchego to by pewnie i moja ślubna nie chciała...

Tratwa — baza ludzi upadłych

W poprzedniej butelce wysłałam ci narecz pretensji takich „w ogóle" Czas byłby najwyższy opisać własnymi słowami to, co się działo na FAMIE.

Nie wiem, jak ty, ale ja zawsze uważałam, że najważniejszym miejscem każdej wielkiej imprezy, jest to — najmniej oficjalne. Albo takie, gdzie spotyka się ludzi całkiem prywatnie, na przykład, pijąc z nimi wódkę. Na FAMIE, jak nakazywała tradycja, był klub festiwalowy. Kiedyś był tzw. „oflag", czyli miejsce, gdzie się spało, jadło, piło, grało. Zdarzały się tam pomysły nie z tej ziemi, przeradzające się w happeningi albo zgoła spektakle o sporej wartości. Jeśli nawet nie do końca artystycznej, to przynajmniej zabawne. Teraz też było takie miejsce. A przed jego wejściem, wypisano wielkimi literami:

Do uczestników FAMY! Klub „TRATWA-BAZA LUDZI UPARTYCH" jest klubem FAMY! i Famowiczów. Każda propozycja i pomysł artystyczny może znaleźć w nim swoje miejsce realizacji. Nie mamy zamiaru tworzyć sztuki w imieniu twórców, estrady zamiast Domów Kultury, ani baru w zastępstwie restauracji. Klub powinien być miejscem integracji uczestników FAMY i kształt jego programu zależy od nich samych. Podobnie, jak integracja wynikać może jedynie z ich własnych potrzeb. Jesteśmy klubem zamkniętym i dlatego jesteśmy otwarci. Reszta niech się zdarzy. Rada Programowa Klubu.

Życie pokazało, że ów manifest stał się — uważasz — czymś na kształt corpus delicti, a może raczej signum temporis. Dla kultury studenckiej i kultury środowiska studenckiego, ale nie tylko. Przede wszystkim nie było paru rzeczy. Na przykład Rady Programowej Klubu. To znaczy może i była (w dokumentach jako odpowiedzialni widnieli działacze i siły artystyczne warszawskiego klubu „HYBRYDY") tyle że w żaden sposób nie dało się wyśledzić śladów jej działalności. Wyłączywszy oczywiście tajemnicza aktywność na zapleczu, o czym już ci wspominałam. Wyjaśniam dodatkowo, że nie uważam generalnie picia wódki za czyn sam w sobie potępiony. Chodzi tylko o to, czy pije się pod wielkie dyskursa, albo z czystej przyjaźni do świata, czy zamiast. Zamiast jakiegokolwiek wysiłku umysłowego. Na FAMIE wódkę pito zawsze. I dobrze. Bywało, że ciężko skacowani artyści urządzali zbiorowy striptiz i w takim stanie zaczynali niezwykły jam-session pamiętany potem latami. Nie powiem, zdarzały się wydarzenia i incydenty

Teraz — wódki był ocean, ale nie działo się nic. Totalnie nic No, może z wyjątkiem jednego gościa. Ulubieńca zresztą „HYBRYD" niejakiego Lucusia Wesołowskiego, który niczym odrąbywane i nazad odrastające łby Hydry wypełniał sobą wszystko. Czy trzeba, czy wręcz przeciwnie. Bóg z nim. Gorzej, że resztę dałoby się skomentować jednym zdaniem. Brud, wóda, żadnej myśli, pustka i jedna wielka malaria. Aha! I był jeszcze żałośnie śmieszny szpan. Na bycie „tyłem do całego świata" (ale boże broń — nie pod prąd) na zażyłość z ludźmi z „BRANŻY"!! Z dużych liter i z jeszcze większego szmalcu. Radość? Naturalność? Uczestnictwo, fantazja, szaleństwo? Ale gdzie tam!!! Do tego trzeba jednak trochę inteligencji. Jako żywo przypominała się myśl Andrzeja Ibisa-Wróblewskiego sprzed lat. Że FAMA — to lekcja współczesności. Prorocze słowa!

Wyobraź sobie teraz, że w środku nocy w klubie, rzucasz w zbity gęsto tłum propozycję, albo zaczątek wielkiej rozmowy. O nas, o tutaj i teraz, o jutrze? Już słyszę ten gromki śmiech litościwej pogardy. Do kogo ta mowa? I o czym? O pokoleniu bez perspektyw, o modelu zgrzebnej nędzy dwadzieścia lat za Trzecim Światem? No, rozumiesz idiotyzm takiego pomysłu... Aż się prosi, żeby zapytać:

LUDZIE! COŚCIE TACY SMUTNI

przecież jesteśta studentami? Jacy studenci, proszę ja kogo? Taż najmniejszą grupę wśród uczestników FAMY stanowili właśnie studenci. Przeważała młódź licealna, trochę punków, paru abnegatów i zażywni panowie po trzydziestce.

A najśmieszniejsze — na artystycznym festiwalu studenckim — omal wcale nie było studentów uczelni artystycznych. Podejrzewam, że oni mają w nosie Fame, jak i większość studenctwa. Chociaż, byłabym niesprawiedliwa, gdybym zapomniała o OAZIE. OAZA — czyli Ogólnopolskie Akademickie Zgrupowanie Artystyczne, miało w sobie zalążek nowego. Nowego pomysłu na FAMĘ przede wszystkim. Była to gromada studenterii z kilkunastu uczelni, która z własnej i nieprzymuszonej woli chciała się uczyć od starych Famowiczów, we wszystkich dziedzinach działań artystycznych. Słowem narybek studentów—twórców. Jeszcze toto było bardzo niewyklute, nieklarowne i raczej kiepskie. Jedno było ważne. Że ci ludzie chcą. I daj boże, że przestaną, jako generacja, litować się nad sobą, a zaczną robić użytek z własnych mózgów. W sam raz pasowałoby do OAZY motto (i program jednocześnie na przyszłość): CZŁONEK NIE UŻYWANY ZANIKA! TALENT NIE WYKRYTY — RÓWNIEŻ!.

Gdyby ci chodziło o najkrótsza synteze FAMY, to powiem SMUTNO! Straszliwie smutno. Nawet nie dlatego, że nie dostawało umiejętności warsztatowych. Nie to jest przecież najważniejsze dla studentów twórczych. I także nie dlatego, że niedobra jest generalna koncepcja organizacji. Chodzi mi po prostu o to, że na wielkiej studenckiej imprezie rozpaczliwie brakowało śmiechu. Śmiech to sprawa bardzo poważna i, co tu dużo mówić, wymagająca inteligencji. No i brakowało jak powietrza, satyry, ironii, prześmiewczej pointy dla rzeczywistości. Ano, bo satyra żywi się rzeczywistością, zmusza do przenikliwej obserwacji, do słuchu na sprawy małe i wielkie dziejące się naokoło. A FAMA ma w nosie rzeczywistość. Odwraca się do niej plecami. To nailatwiej. Bo już bycie „contra" wymaga jakiegoś do tej rzeczywistości stosunku. Satyra jest straszliwą bronią w rękach fachowca. Śmiechem można zabić. Niejedną głupotę, niejedną fikcję i dety banał.

Na dowód, powiem ci, że przez wiele lat główną imprezą na FAMACH był Kabareton. Tu zaczynała kiedyś ELITA. TEY, SALON NIEZALEŻNYCH. Tu można było zobaczyć cuda wyprawiane przez Materne Krzysztofa do spółki z Gołębiowskim Markiem, pod rękę z Kaczmarkiem i innymi. Śmiać to zawsze się było u nas z czego, nie powiem. Nawet jeśli w przerwach nie było nam do śmiechu. Ale jeśli jeszcze wszyscy nie pojechaliśmy do czubków, to dlatego, że bronił nas śmiech. Tymczasem w tym roku wyraźna przewaga mieli teoretycy głoszący, że jest już takie dno, że co najwyżej można być ponad i wzgardliwie trwać w wieży z kości słoniowej.

Przewaga tragików nad komikami przyniosła w efekcie najbardziej kompromitującą wpadkę na całej FAMIE. Właśnie tegoroczny Kabareton. Utrefiony co gorsza na „I Ogólnoświatowy Turniej Ludzi Dowcipnych". Miała to być wielka artystyczna prowokacja... Ani wielka, ani tym bardziej artystyczna, za to, i owszem, prowokacja. Śliczności! Lepiej spuścić na to zasłonę miłosierdzia, ale... po pierwsze za duży był w tym szmal, żeby milczeć, a poza tym — żeby dobić gada w jego własnym gnieździe, przytocze ci werdykt jury: „Jury z zażenowaniem obserwowało występy Marcina Dańca, Jarosława Janowskiego, Marka Majewskiego oraz kabaretu „Takich dwóch, a każdy z jedną", którzy to wykonawcy, nadużywając estrady proponowali treści i formę sprzeniewierzające się zarówno tradycji studenckiego ruchu kulturalnego, jak i elementarnym zasadom przyzwoitości estradowej". Starczy ci?

Niestety rozrywka, jaka zaprezentowano, nie tylko w branży wesołków, miała wszelkie znamiona rozrywki przy pomocy granatu odłamkowego. A najśmieszniejsze było to, że ludności okropnie się to podobało... Szymon Kobyliński powiedział kiedyś, że satyra bez odbiorców usycha...

Masz już pewnie po dziurki w nosie tych tragicznych doniesień. Ja też. Wobec czego komunikuje ci rzecz zdumiewającą. Mianowicie — były na FAMIE wydarzenia dobrej jakości. Były znakomite, a było i jedno absolutnie wybitne. Wyłącznie — tak się okazało, moim zdaniem, ale co tam.

Najprzód — zdarzyło się kilka nieźlych happeningów ulicznych. Na przykład „Psychodeliczna Kraina doktora Frankensteina", Nocny spektakl, happening, widowisko grozy; autorstwa Jerzego Sitarza i Andrzeja Sadowskiego. Wielka i świetna oprawa muzyczna, rakiety świetlne, dymy i inne utensylia. Rzecz poświęcona grozie świata stworzonego przez zachłanność ludzką. Była „Batrachomachia, czyli Opera na Trzy Szafy" w reż. Zbigniewa Cholewińskiego, happening na plaży.

Zdarzył się też absolutnie genialny koncert muzyczny w reżyserii i z głównym udziałem Ireneusza Dudka. Częściowo

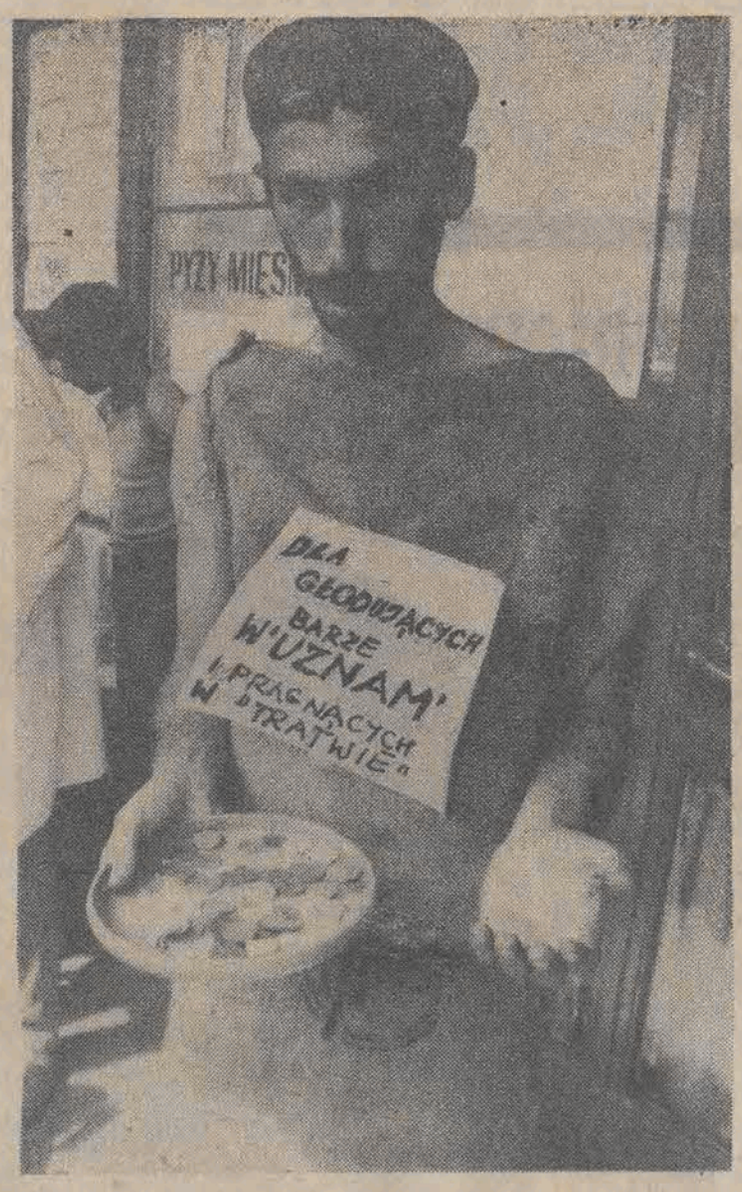

Foto.: Robert Sobociński

także powtórzony w Koncercie Finałowym. Ja nic nie mówię (bo zrobili to lepsi fachowcy ode mnie), ale ten facet jest klasą światową. Poza wspominkowym koncertem jazzowym, klapa debiutantów piosenki studenckiej, FAMA muzycznie była głucha. A co by się stało, gdyby na promenadzie grali studenci—symfonicy albo choć kameraliści? Kiedyś przyjeżdżała Agnieszka Duczmal, ze swym ansamblem. Nie mogliby to po ulicach maszerować faceci z trąbami w charakterze orkiestry jazzowej? Albo może chociaż paru bluesmanów na rogach, z gitarą i harmonijką? Ogłuchli studenci, czy co? Koncert rockowy odwołano. Mówią, że ze strachu przed najazdem punków.

No to jak się nie zdumiewać, że jeszcze uchowało się trochę ludzi umiejących sztuka przemawiać do świata? Taki na przykład „Sąd Ostateczny" Pomysł, zdawałoby się prosty. Na ekranie slajdy z obrazu Hansa Memlinga „Sąd Ostateczny". Panorama i zbliżenia. Przejmująca wizja średniowiecznego artysty. A na sali panuje niezwykła, poruszająca do głębi muzyka. Fantastyczny świat stworzony przez starych, pierwszorzędnych fachowców Janusza Grzywacza i Marka Stryszowskiego, czyli DUO — LABORATORIUM.

Zdarzył się też drobiazg ginący w tłumie szumnych i wielkich widowisk. Trwający kwadrans zaledwie, monodram stworzony przez dziewczynę ze Szczecina, Terese Ciborską. Zrobiła cacko, na podstawie tekstu Samuela Becketta, pt.: „NIE JA". Jeśli wiesz, jak bardzo wymagający jest Beckett dla słowa, to wiedz i to, że Ciborska włada nim znakomicie.

Aż żal było patrzeć, jak dużej wartości rzecz tonie w mrowiu chłamu. Znamienny był nawet nietakt organizatorów, którzy nie dość, że nie kiwnęli palcem, by przygotować dla Ciborskiej to minimum sceniczne, jakiego wymagała, ale nawet nie zdobyli się na to, by godzinę rozpoczęcia przesunąć o kwadrans. Tyle starczyłoby, dla uniknięcia kolizji z innym spektaklem (co przy notorycznych spóźnieniach wszystkiego, było doprawdy drobiazgiem)

Udał się też kameralny i taktownie zrobiony koncert poświęcony pamięci niedawno zmarłego Wojciecha Bellona. Postaci wielce znaczącej dla samej FAMY i dla całej kultury studenckiej. Jego wiersze i piosenki śpiewane przez tylu wykonawców, są największym hołdem dla pamięci człowieka

Całkiem udatnie pokazał się na własnym recitalu także Wiesław Tupaczewski, którego pełno było wszędzie na całej FAMIE Zdolny student elektroniki z Warszawy, śpiewający, piszący teksty i grający na gitarze. Jeśli nie sprasuje go walec „szoł-biznesu", może zajmie miejsce w gronie wielkich śpiewających studentów i byłych studentów.

Poza tym, koniecznie muszę ci wspomnieć o wydarzeniu, mającym rangę słusznego protestu. Na miejscu, na FAMIE, ad hoc zorganizowanymi siłami, doszło do gorącej demonstracji przeciwko gastronomii. A wszystko dlatego, że większość uczestników rzucona została na pastwę kurortowych zakładów żywienia zbiorowego. No więc lud się zbuntował i ze sztandarami i wojowniczymi hasłami pomaszerował pod twierdzę ciemiężcy, w tym wypadku, padło na powszechnie ulubiony bar „UZNAM". Głównym motywem masowych wystąpień, było twierdzenie, iż

BYWAJĄ BARY, W KTÓRYCH BIGOS

jest niebezpieczniejszy od szybownictwa! Personel placówki zabarykadował się za kotłami z cienką zupką. Przed barem zaś postponowano jego imię przy pomocy słownictwa i uczynków. Do linczu nie doszło tylko dlatego, że nadeszła ekspedycja ratunkowa (dla smakoszy rzecz jasna) w postaci regularnego wojska. Wojsko wydelegowało ciężarówkę z obsługą umundurowaną oraz wielką wojskową kuchnią polową. W garach chlupała regulaminowa grochówka z kiełbasą. Każdy wygłodzony w „UZNAMIE" na żywieniowych kartkach FAMY każdy walet bez grosza, mógł darmo fasować miche z dna kotła. Z dokładką. Państwowa gastronomia w szponach aientów miała dość. Dlatego też reprezentanci środków masowego przekazu akredytowani na FAMIE uznali za konieczne poprzeć słuszny protest.

Honorową Nagrodę Dziennikarzy, wyobrażoną w postaci kryształowego pucharu, otrzymał Krzysztof Gogol za pomysł i organizację happeningu pod barem „UZNAM". Bojkot wzmiankowanego baru uznany został za najlepszą imprezę integrującą artystycznie i towarzysko uczestników FAMY. Nadto doceniono pomysł wychodzący naprzeciw zapotrzebowaniu społecznemu. Ponadto żurnaliści uznali za konieczne udzielenie nagany Krzysztofowi Gogolowi — szefowi Biura Prasowego FAMY, za notoryczna nieobecność w miejscu pracy. Tak prywatnie ci dodam, że moja własna, całkiem indywidualna nagroda w postaci Sztandaru Młodych I Klasy z Gwiazdą przyznałam dyrektorowi FAMY, a w cywilu Szefowi Komisji Kultury przy ZG ZSP i szefowi ALMA-ARTU, w trójcy jedynemu Marianowi Redwanowi. Za „złożony optymizm".

Rozglądam się po horyzoncie, przejaśnia się umiarkowanie, bałwany morskie pchają tratwę w stronę brzegu, czas więc dryfować ku końcowi. Zresztą buty już zjedzone, co miało być wypite, wypite zostało...

Opowiem ci jeszcze tylko o największej, moim zdaniem pomyłce, jaka się przytrafiła dostojnemu Jury, oceniającemu całość FAMY. Jury było reprezentatywne i trudno powiedzieć, że niekompetentne, ale najlepszym się zdarza zagapić.

Otóż, oceniając wszystkie prezentacje, postanowiono nie przyznawać głównej Nagrody FAMY — Trójzębu Neptuna — za najciekawsze wydarzenie artystyczne Festiwalu. Nie przyznano także Nagrody im. Maksymiliana Szoca, Malarza Flamandzkiego Polskiego Pochodzenia — za najwybitniejsze działania happeningowe Zato Nagrodę Specjalną otrzymało DUO LABORATORIUM (J. Grzywacz M. Stryszowski) za wybitne walory artystyczne, twórczy wkład w integrację uczestników oraz kontynuowanie najlepszych tradycji duchowo-artystycznych FAMY Byłam za Wyróżnienie otrzymało SUPER DUO (Cezary Rey, Piotr Soszyński) fenomenalny duet gitar klasycznych.

Stypendia FAMY otrzymali: Jerzy Słoma-Słomiński Stefan Błaszczyński (pierwszorzędny flecista) Teatr „MANDALA", Teatr KTO... Prywatną nagrodę ufundował Zbigniew Holdys dla Zespołu Pantomimy Szczecińskiej za spektakl „Epizod".

Generalnie podzielam poglądy jury, choć z wyjątkami A zwłaszcza z jednym. Oto w uzasadnieniu jurorzy napisali: że „...przedwczesna rutyna bierność i banał budzą sprzeciw, co stało się powodem nieprzyznania „TRÓJZĘBU NEPTUNA".

I to jest właśnie ta wielka pomyłka. Bo choć rzeczywiście było marnie, to w tej szarości, zdarzyła się sprawa niezwykła. Wśród prezentacji w amfiteatrze, miało także miejsce WITKACOWIDOWISKO" według pomysłu i reżyserii Bogdana Mizerskiego z Sosnowca.

Nie uważam, że powinno się pamiętać moje słowa jak ewangelie, ale może pamiętasz co pisałam w marcu, po Krakowskich Reminiscencjach Teatralnych. Tam właśnie Mizerski pokazał zalążek tego, co swój pełny wyraz sceniczny znalazło w Świnoujściu. Wtedy, był to zaledwie półgodzinny monodram. W ciemnej sali, artysta z kontrabasem i różnymi stukadłami perkusyjnymi, przedstawił teksty Witkacego. Byłam oczarowana biegłością instrumentalisty, który potrafił z pudła kontrabasu dobyć dźwięk i nastrój. Chwaliłam jego wyczucie tekstu i umiejętność podkreślenia go właściwym kontrapunktem muzycznym. Była basetla góralskiej kapeli i wiersze Witkacego z nurtu „ludycznego" Był subtelny filozof i szyderca, prześmiewca naszej narodowej małości. Był Witkacy szalony i gorzki. Zadumany i rechoczący w rubasznych śpiewkach. I Mizerski potrafił olśnić Witkacym.

Teraz, mogliśmy zobaczyć, co z tamtego zalążkowego pomysłu scenicznego potrafi zrobić wrażliwy artysta. Ogromna forma dwugodzinnego widowiska zapierała dech. Jeśli kiedykolwiek tak wiernie ktoś oddał dusze Witkacego ruchem, muzyką, tekstem, nastrojem, wszystkim — to właśnie Mizerski i wielka grupa artystów wspomagających jego pomysł.

Witkacy ożył i, mój boże, słów mi brakuje. To było WIELKIE! Witkacy otrzymał hołd największy.

WITKACOWIDOWISKO miało te rangę artyzmu, że... umknęło uwadze jurorów ogłuszonych dokładnie tandetą i pustką. Trochę trudno im się dziwić, choć może jest w tym jakaś smutna ironia. Gdy bowiem zdarzyła się rzecz wielka; znacznie przerastająca FAMĘ, a i wiele scenicznych prezentacji Witkacego polskiego teatru powojennego — wówczas oceniający nie dostali poziomem do prezentu, jaki otrzymali, widzowie. Ale, jak powiedziałam, to jest moja prywatna ocena i nie ma przepisu, żeby się z nią zgadzać.

W ogóle, to bardzo dobrze, że nie jestem studentem, ani tym bardziej kulturalnym działaczem studenckim, więc nie moją to broszką martwić się o poziom studenckiej kultury.

Co wcale nie znaczy, że nie pojadę w przyszłym roku na FAMĘ. Owszem, pojadę, mam już zaprawę w pływaniu licha tratwa, a w końcu co komu szkodzi mój masochizm?

Na teraz masz chyba dosyć, więc zakręcam butelkę z zapiskami i... płyń po morzach i oceanach na chwałę Pułkownika Karola Charlesa Kilwatera.

FAMA'85 się skończyła i dobrze jej tak.

JOLANTA WROŃSKA

Mirosław Pisarkiewicz

Bezsenność

Spać mi się nie chce
po co spać
gdy można wiele drzwi otworzyć
za którymś progiem zobaczyć sen
kolejny

po cóż spać
nie bój się nocy
czerń to dobra rzecz
wśród znaków wskazujących
kierunek drogi do nieba
można się zagubić

czerń to dobra rzecz

rzuć zegarkiem o ścianę
powiedz sobie — to jest słońce
powiedz — jestem głodny dnia
plecami naprzyj na zimny mur

— jaki ciepły (zdziw się)

zaśpiewaj głośno
o sile witalnej białych myszy
(gwar jest miły)

dobrze gdy jest ciemno
i wszystkie kwiaty uschły
w glinianych donicach
nie podlane łodygi

kalecy nocą zdają się kwitnąć
(w)
sny sny sny...

Rachunek

Nie potrafię się upomnieć
o zawartość mojej duszy
trwonię wolność
niszczę życie
chwile płyną bezpowrotnie

kiedy myślę o tym wszystkim
myślę ja to egzystencja

prysnął czar
już nie jestem
tym watażką zbuntowanym
i nie zbawię tego świata
ani nawet swego cienia

jestem z sobą
tylko jestem

będę z sobą
tylko tylko

nie
nie przejdę siódmej góry
siódmej rzeki nie przepłynę
tu zostanę

moje myśli

sploty marzeń nieśmiertelnych

razem ze mną

później cisza

Czesław Kuśmierek

Improwizacja

doopisał Cię wieczór
kąśliwą muzyką
beznadziejnych pieśni
w rozpaczliwym geście
oszalałych cieni
doczekać spełnienia

na miarę wszechrzeczy
ujadał saksofon

nie był aplauzu
tylko wieczna zazdrość
Nie mogę być w środku
utrudzonej struny

Barbarze

strudził się twój anioł
tym wiecznym czuwaniem

uciął sobie drzemkę

ktoś mu aureolę
utoczył na obręcz

Fotografia

Twój modry witraż twarzy
bolesny krzyk zniewoleń
nie odrzucony z serca kamień
na rozgwar dni gruzowisk

Młody śpiewak na głębokiej wodzie

Krzysztof Jakubowski, absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi, wydział wokalno-aktorski w klasie doc. Władysława Malczewskiego. Jest zdobywcą II nagrody w Konkursie Arii i Pieśni im. Jana Kiepury w Krynicy w 1982 roku oraz wyróżnienia na III Ogólnopolskim Konkursie Wokalistyki Operowej im. Adama Didura w Bytomiu w 1984 roku.

Od 1982 roku jest solistą Teatru Muzycznego w Łodzi. Odtwórca głównych partii tenorowych: Su-Changa w „Krainie Uśmiechu", Sinobrodego w „Rycerzu Sinobrodym", Koltaya w „Wiktorii i jej Huzarze", Jonela w „Cygańskiej Miłości", Hrabiego w „Wieżeńskiej Krwi" itd. Oprócz tego śpiewa gościnnie w Operetce Śląskiej w Gliwicach, w Teatrze Muzycznym w Szczecinie.

— Obaj z bratem rozumiemy się doskonale. Nie ma między nami odrobiny zazdrości czy zawiści, a w naszej jedności jest nasza siła. Brat z tej racji, że jest starszy, jest lepszy.

— Na ostatnim roku studiów założył pan rodzinę, został ojcem córeczki. Jak pan godzi pracę w teatrze z życiem rodzinnym? Przecież prawie każde przedpołudnie jak i wieczór spędza pan na scenie?

— Mam na szczęście wspaniałą i wyrozumiałą żonę Netę, która znakomicie rozumie ducha osoby pracującej w teatrze. A że córka Marcelinka widzi mnie przeważnie tylko rano, takie już jest niestety życie śpiewaka.

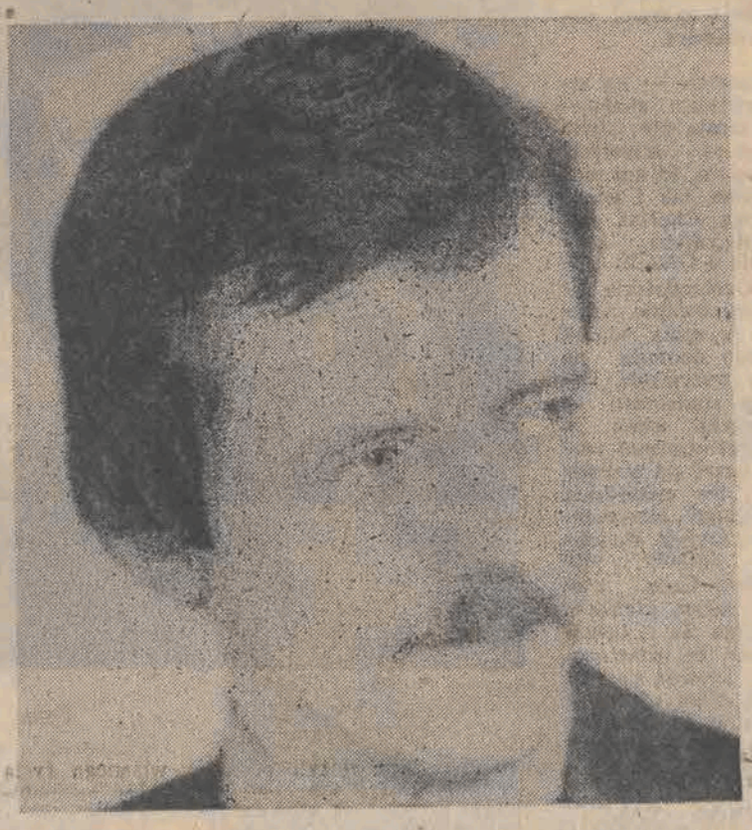

— Jest pan bardzo młodym wokalistą, lecz w ciągu krótkiego czasu stał się pan jednym z czołowych solistów Teatru Muzycznego w Łodzi. Główne partie tenorowe prawie w każdej pozycji...

Jak się to robi, panie Krzysztofie, talent, dobry warsztat, a może jeszcze jakieś inne „atuty"?

— W Polsce jest w ogóle niewielu tenorów. Nie wiem, czy jestem dobry, czy nie; może to właśnie sprawa tej znikomej ilości tego rodzaju głosów sprawia, że śpiewam tyle i takie, a nie inne partie. Myślę zresztą, że otrzymałem od mojego pedagoga Władysława Malczewskiego znakomite podstawy wokalne. Bazuję na nich i nadal je wzbogacam, a sprawa znikomej ilości tenorów dopełnia reszty.

— Gdy kończył pan studia na pewno miał pan mnóstwo planów na przyszłość, jest pan człowiekiem bardzo ambitnym. Co z pańskich zamierzeń zostało po zetknięciu z twardą rzeczywistością?

— Nigdy nie chciałem śpiewać w „La Scali", chociaż ta myśl na pewno gdzieś kiełkowała, ale po prostu chciałem być dobrym w swoim fachu. Zetknięcie z rzeczywistością jest dla wielu młodych śpiewaków bardzo brutalne. Pryskają marzenia i złudzenia, ale jeżeli ktoś znajdzie „swoje miejsce", wydaje mi się, że na pewno swoje marzenia zrewiduje.

— Wśród ludzi, którzy interesują się śpiewem i teatrem muzycznym krąży stwierdzenie, że tenor ma łatwiejszy start zawodowy, niż wokaliści dysponujący innym rodzajem głosu. Jakie jest pańskie zdanie? Czy doświadczył pan tego na sobie?

— Tenorzy na pewno mają łatwiejszy start i łatwiejsze życie w teatrze. Sądzę tak po licznych obserwacjach różnych teatrów. Czy doświadczyłem tego na sobie? — nie wiem...

— Ale ja wiem. W jakim stopniu 6-letnie studia na wydziale wokalno-aktorskim przygotowały pana do pracy w teatrze. Czy, jak mówią złośliwi, stał się pan „skończonym" artystą, czy też pracuje pan dalej nad swoim wokalnym warsztatem?

— 6 lat dla wokalisty to stanowczo za mało. Śpiewak-aktor powinien nad sobą pracować całe życie. Mnie na przykład ogromnie dużo daje fakt, że w Akademii Muzycznej jestem asystentem w klasie doc. Tadeusza Kopackiego. Podglądanie jego metod pracy daje mi — tenorowi — olbrzymie korzyści, a złośliwym odpowiem słowami jednego z moich pedagogów — „Artystą bywa się od czasu do czasu", dodam od siebie, że nie każdy i nie zawsze.

— Pański starszy brat Ireneusz jest pracownikiem naukowym na Uniwersytecie Łódzkim, oprócz tego śpiewa w Teatrze Muzycznym również główne, tenorowe partie, z bardzo dobrym skutkiem. Czy ta konkurencja wprowadza zamęt w życie rodzinne, czy też działa wprost przeciwnie — mobilizująco i budująco? Faktem jest, że obaj śpiewacie tenorami...

— Aby młody wokalista znalazł pracę w wybranym teatrze, musi zdać egzamin przed komisją. Najczęściej śpiewa trzy utwory (przeważnie arie). Czy mogę wiedzieć, ile egzaminów i do jakich teatrów pan śpiewał?

— Owszem, będąc na IV roku studiów śpiewałem przesłuchanie do Teatru Wielkiego w Łodzi, z którym następnie przez półtora roku współpracowałem. W Operze Śląskiej w Bytomiu śpiewałem gościnnie Damazego w „Strasznym Dworze", po którym dostałem propozycję pracy. Natomiast po zdobyciu II nagrody w Krynicy w 1982 roku otrzymałem propozycję od dyrektora Rajmunda Ambroziaka i tak znalazłem się w Teatrze Muzycznym w Łodzi.

— Jak przyjął pana zespół, czy starsi koledzy pomagali, czy też traktowali konkurencyjnie?

— Zespół Teatru Muzycznego jest zespołem bardzo młodym. Większość osób to moi koledzy ze studiów. Natomiast starsi są tak mili i sympatyczni, że przyjmują każdego nowego kolegę w sposób bardzo serdeczny i nikt nie powinien mieć problemów z zaadaptowaniem się w nowym środowisku.

— Jakie są bolączki młodego artysty?

— Młodzi śpiewacy mają wiele problemów, jak zresztą wszyscy młodzi ludzie. Są to sprawy mieszkaniowe, czego doświadczam na własnej skórze, sprawy materialne itp. Bardzo często młodzi artyści są nieodpowiednio przygotowani do wyjścia na scenę, bo 6 lat studiów wokalnych, 3 lata zajęć aktorskich i 3 lata ruchu scenicznego, to naprawdę za mało. Bardzo często młody śpiewak zostaje rzucony na głęboką wodę, a wtedy — „ratuj się, kto może". Jedni wypływają dzięki temu, a drudzy giną wśród tłumu.

— Jak pan uważa, od czego uzależniona jest pańska kariera, dalszy rozwój?

— Kariera jest słowem zdewaluowanym. Wobec dzisiejszej rzeczywistości i dzisiejszych uwarunkowań trudno jest myśleć o karierze. Ale jeśli ktoś ma dość siły i szczęścia, to kto wie?

A co do mnie, to myślę o tym, by dużo i dobrze śpiewać oraz mieć odrobinę szczęścia.

— Jakie cechy, według pana, powinien posiadać aktor-śpiewak, aby jego sceniczne poczynania znalazły aprobatę u publiczności oraz kolegów z zespołu?

— Publiczności albo ktoś się podoba, albo nie, różne są gusta. Myślę, że nie ma na to żadnej recepty, a z kolegami trzeba się po prostu na scenie i poza nią rozumieć. Publiczność łódzka jest bardzo specyficzna i wymagająca i jeżeli ktoś już się jej podoba, to bardzo wiele.

— Wielu dyrektorów teatrów operowych i operetkowych narzeka na zbyt dużą rotację solistów. Inni twierdzą, że to zupełnie zrozumiałe. Co pan sądzi na ten temat?

— Myślę, że dla rozwoju śpiewaka potrzebna jest częsta zmiana środowiska, praca w różnych zespołach, z różnymi dyrygentami i reżyserami, to bardzo rozwija. Młody śpiewak powinien dużo jeździć po Polsce i śpiewać, to bardzo uczy. Z drugiej strony trudno dziwić się dyrektorom, że patrzą na rotację solistów „krzywym okiem". Każdy z nich chciałby mieć stabilny zespół, robić z tym zespołem, sprawdzonym już, jak najlepsze pozycje, jak najlepszy teatr.

— Na III Ogólnopolskim Konkursie Wokalistyki Operowej im. A. Didura w Bytomiu zdobył pan wyróżnienie. Co to oznacza dla dalszej pana pracy artystycznej?

— Rzeczywiście, wyróżnienie to może spowodować bardzo wiele. Poziom konkursu był bardzo wysoki i wyrównany. Tym bardziej cieszy mnie owo wyróżnienie. A namacalnie oznacza to kilka bardzo interesujących propozycji z różnych teatrów, propozycje nagrań radiowych, już w najbliższym czasie.

— O czym marzy pan najbardziej?

— Najbardziej marzę, o tym, by otrzymać wreszcie klucze do własnego mieszkania. Mamy z żoną i córką dość skomplikowaną sytuację mieszkaniową i praktycznie mieszkamy oddzielnie, a nie chciałbym wyjeżdżać z Łodzi, z miasta, z którym jestem związany od początku życia, w którym ukończyłem studia, w którym śpiewam w bardzo fajnym teatrze. Po prostu nie wyobrażam sobie życia gdzie indziej.

Rozmawiał:
JERZY MAREK BOROWIK

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

MAKABRESKI Z DAWNYCH CZASÓW

W czasopiśmie „Zbiór Różnego Rodzaju Wiadomości", wydawanym w 1770 r. przez „Jana Augusta Posera, księgarza warszawskiego, na Senatorskiej ulicy" czyt. my, co następuje:

— *Thomas Morus, sławny kanclerz angielski, dla statecznego trwania w wierze katolickiej skazany na śmierć, gdy go na miejsce ścięcia wyprowadzono, spostrzegłszy, że mu broda w więzieniu tak wielka urosła, że by mu ją nieomylnie wraz z głową ucięto, obróciwszy się do kata, prosił, aby mu ją w pukiel zawinął. Kat zaczął się z niego badać, dlaczego by był troskliwy o brodę, gdy mu wkrótce ma głowę uciąć. — „Prawda — odpowie Morus — mało mi na tym zawisło, ale twój jest w tym interes, aby można było mówić o sobie, że umiesz dobrze swoje rzemiosło; w dekrecie zaś stoi, żebyś mi uciął głowę ale nie brodę".*

— *Jedna z żon sułtana była skazana na śmierć za podejrzenie, które cesarz miał o jej braku sobie wierności. Niewolnica, którą do usług trzymała, zaczęła rzewliwie płakać i nie można ją było uspokoić w żalu, w którym z okazji nieszczęścia swej pani była zanurzona. — „Uspokój się — rzecze sułtanowa — nie o wielką rzecz idzie, tylko o postradanie życia".*

MIŁUJCIE NIEPRZYJACIOŁY SWOJE

Pouczał raz ksiądz kmiotka: „Wódka — to twój wróg,
Zaprzestań pić nareszcie i dobrze się prowadź!"
Odparł kmiotek, schyliwszy się księdzu do nóg:
„Przecie dobrodziej kazał nam wrogów miłować".

Julian Ejsmond (1930)

HEJ, STRZELCY, WRAZI...

Kończy się sierpień 1914 r., mija pierwszy miesiąc wojny, której już wkrótce miano nadać nazwę wielkiej wojny białych ludzi. Od kilku dni stacjonują w Kielcach oddziały świeżo sformowanych Legionów. Komisarz wojsk polskich w Kielcach Michał Sokolnicki apeluje do mieszkańców: „*Wzywam całą miejską ludność do zapisywania się w szeregi polskich żołnierzy!*" Reporter „Dziennika Urzędowego Komisariatu Wojsk Polskich w Kielcach" Ajaks (Marian Albiński) notuje:

„*W cukierni w Kielcach witają się dwaj strzelcy. Jeden mały, niezwykle ruchliwy, drugi brunet ze śmiejącymi się, iskrzącymi oczyma.*

— *Wśród innych okoliczności się widzimy — i wy tutaj?*

— *Ha! miło mi was tu widzieć, lepsze to chwile niż dawniej i milsze, i weselsze, i wznioślejsze.*

Strzelcy ci, to znany artysta dramatyczny Adwentowicz, drugi zaś Wacław Sieroszewski. Spotkali się po kilku tygodniach niewidzenia. Przedtem w przybytku sztuki w „cywilu", dziś w wojsku, w wojsku polskim."

Jeden z nich, ten „*mały, niezwykle ruchliwy*", to Wacław Sieroszewski (1859—1945), z dumą noszący później ogromne czako ułańskie, drugi — Karol Adwentowicz (1871—1958), który niebawem zresztą uległ kontuzji po upadku z konia i w 1915 r. został zwolniony z wojska.

DEFINICJA NAUKI

Kazimierz Bartoszewicz w taki oto sposób określał naukę w kolejnym haśle swego „Słownika diabelskiego":

Nauka — rzecz przeszkadzająca w życiowej karierze. Rzadko chyba profesor uniwersytetu zajdzie wysoko jeżeli ma naukę. Wyjątek stanowi nauka tańca, która potrzebna jest każdemu: kto dobrze umie tańczyć, może zostać profesorem historii sztuki, posłem do parlamentu itp., a kto umie tańczyć jak mu zagrają, dla tego każdy szczebel kariery jest dostępny. Z nauk kobiecych najpożyteczniejsza nauka kroju i gotowania. Akademia Nauk jest to starsza osoba w poważnym stanie, z tego powodu wstydzi się i mało daje znać o sobie, a potomstwo swe ukrywa starannie przed okiem ludzkim.

ANEGDOTY O WYSPIAŃSKIM

W czasie, gdy Wyspiański był profesorem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, wśród „Młodej Polski" malarskiej w podwawelskim grodzie rej wodził Feliks Jasieński. Wyspiański nie lubił Jasieńskiego, którego entuzjastą był natomiast Wyczółkowski. Wyczółkowski namalował portret Jasieńskiego, grającego na organach. Ponad Jasieńskim na obrazie namalowany był Chrystus na krzyżu. Gdy Wyspiańskiego zapytano, jak mu się podoba ten portret, odpowiedział:

— *Portret doskonały, tylko uplasowanie złe. Ja bym Chrystusa posadził przy organach, a Jasieńskiego umieścił na krzyżu. Takie uplasowanie byłoby właściwsze.*

Gdy do Wyspiańskiego zwrócono się z prośbą o zaprojektowanie mebli do sali odczytowej w krakowskim Domu Lekarskim, wymyślił fotele z wysokimi i niewygodnymi poręczami. Zapytany, dlaczego takie właśnie poręcze zaprojektował, odpowiedział:

— *Ludzie na odczytach przeważnie drzemią, a w tej sali będą tylko wykłady i odczyty, nie będę więc im ułatwiał drzemki.*

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Jestem w Łodzi ciągle obecny...

Marian Piechal, jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów polskich starszej generacji, zarazem świetny satyryk, tłumacz i eseista — obchodzi w tym roku szczególny jubileusz: 80-lecie urodzin i 60-lecie pracy literackiej.

Poeta urodził się 24 VIII 1905 r. w Łodzi. Debiutował w r. 1925 wierszem zamieszczonym w warszawskiej „*Biesiadzie Literackiej*", która redagował Edward Słoński. W r. 1929 wydał zbiór wierszy „*Krzyk z miasta*", a następnie zbiory: „*Elegie całopalne*", „*Garść popiołu*", „*Srebrna waga*". Był współtwórcą grupy poetyckiej „Meteor", następnie związał się z „Kwadrygą". Uczestniczył w kampanii 1939 r., przebywał w niewoli, potem brał udział w tajnym nauczaniu i pracy konspiracyjnej.

Pasje społeczne i kulturalne Piechala zdecydowały o tym, że już w okresie międzywojennym należał do najaktywniejszych uczestników i organizatorów życia literackiego w Łodzi. Po wojnie współredagował „Kronikę" i „Osnowę", był wieloletnim prezesem oddziału łódzkiego Związku Literatów Polskich. Za jego kadencji oddział ten odgrywał ważną rolę w życiu literackim miasta. Opiekun i przyjaciel młodych poetów, inicjator Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi. Laureat nagrody m. Łodzi i nagrody państwowej za całokształt twórczości. Autor wielu wydanych w ostatnim czterdziestoleciu tomów poezji (m. in. „*Nowa wiosna*", „*Oanie*", „*Miasto nadziei*", „*Miara ostateczna*", „*Punkt oparcia*"), satyr i esejów. Poczynając od „*Krzyku z miasta*" do poematu „*Ogień i popiół*" (1976) Marian Piechal związał ściśle swoją twórczość poetycką z naszym miastem. Do chwili obecnej jest aktywny twórczo, o czym świadczą m. in. jego znakomite poematy historiozoficzne pisane w ostatnim czasie.

Od r. 1968 poeta mieszka w Warszawie. Poniżej przytaczam rozmowę, jaką nagrałem z Marianem Piechalem w kilka lat po jego wyjeździe do stolicy.

— *Panie Marianie, jesteśmy tu u pana w związku z zamierzoną audycją poświęconą pańskiej twórczości. A ma to być audycja z cyklu „Rodowody poetyckie".*

— No cóż, mój rodowód jest bardzo prosty i jasny: urodziłem się w Łodzi, jestem łodzianinem, to oczywiście wpłynęło na moje wewnętrzne ukształtowanie jako człowieka i także, co jest nierozerwalnie z tym złączone, na charakter mój jako pisarza. Łódź w kontekście innych miast polskich wyróżnia się tym, że jest, tak mówią o niej słusznie, miastem stężonej pracy. O tej pracy się mówi, ona jest widoczna. Dzisiaj uświadamiam sobie, że ten właśnie czynnik wpłynął na pierwsze moje utwory i dalsze, że praca była tematem jakby naczelnym, jakby najbardziej ważnym. Z tym łączy się oczywiście i tradycja rewolucyjna Łodzi.

— *Czy zauważyło to także na pańskiej późniejszej twórczości?*

— W moich następnych utworach i zbiorach ta tematyka łódzka, ten wyróżnik jest bardziej zakamuflowany, wpleciony w szerszy kontekst polski, czy nawet, to nie będzie nieskromnością z mojej strony, w kontekst ogólnoludzki.

— *Pozwoli pan, że w tym miejscu przytoczę pańską notatkę z książki „Poezja i coś więcej" traktującą o genezie poematu „Garść popiołu":*

„20. XII. 1967. Dziś upływa właśnie 40 lat od głośnego pożaru zamku w Dzikowie. Spośród ratujących przed ogniem skarby kultury konserwowane w zamku spłonęło żywcem dziewięć osób, a kilkanaście zostało poparzonych i rannych. Przeważała wśród nich młodzież. Od początku wstrząsający ten i bez precedensu w naszej historii społecznej fakt nurtował we mnie jako temat utworu. Ale nie mogłem sobie z nim poradzić. Początkowo miała to być elegia, której wzorem mógłby być wiersz Norwida „Na zgon ś.p. Jana Gajewskiego". Jak podaje w komentarzu do tego wiersza J. W. Gomulicki: „W Manchester, 2.VII.1858 r. ...niespodziewany wybuch kotła zabił ośmiu pracowników, przeważnie prostych robotników, wśród których było paru Polaków, pięciu zaś ciężko poranił. Sam Gajewski, straszliwie poparzony ukropem, umarł w tydzień po katastrofie".

Była więc analogia uderzająca między przypadkiem pożaru w Dzikowie a przypadkiem wcześniejszym o lat 70 katastrofy w Manchesterze. Ale była także i znaczna różnica. Tam w Manchesterze przypadkiem była nie tylko sama katastrofa, ale i śmierć ofiar — tu w Dzikowie tylko pożar był przypadkowy, ofiary zaś świadomie z narażeniem życia szły do płonącego zamku, aby ratować zawarte w nim skarby kultury. Śmierć ich nie była więc tylko kwestią przypadku. Można i trzeba było tutaj mówić o bohaterstwie, podczas gdy Gajewski, jak to zaznaczył lojalnie Norwid, „zginął od kotła... nie jako bohater".

— Ale trzeba było wydobyć i wyeksponować artystycznie symboliczną wymowę pożaru dzikowskiego — do tego zobowiązywał wzorzec Norwida — i to w charakterze socjalno-historiozoficznym, jak tam w przełomowej epoce „wyzwisku i pary" tak tu w przełomowej epoce „kryzysu i postępu". Ofiary pożaru dzikowskiego, przedstawiciele okolicznej biedoty chłopskiej i robotniczej, dowiodły gdzie, w jakiej warstwie społecznej kryją się siły zdolne uratować nie tylko zagrożoną przez totalizm kulturę, ale i zapewnić jej dalszy rozwój.

Tematu takiego — takiego właśnie — nie można było zbyć jednym wierszem. Zaś poemat to trudny problem, jeśli nie ma być zwykłą wiązanką wierszy. Biedziłem się z tym problemem przez 4 lata, przeszło cztery, aż wreszcie w czerwcu 1932 w Zakopanem, w pokoju, w którym przedtem, zanim nabył dom na Harendzie, mieszkał Jan Kasprowicz, napisałem „Garść popiołu" w ciągu czterech dni.

Krytyka odczytała dobrze ten poemat, podkreślając w nim trafnie walor symbolu proweniencji Norwidowskiej. W miarę lat zyskiwał nawet na popularności. Wydaje mi się, że przyczyna tego były ówczesne wydarzenia polityczne, które go niosły na swojej fali prawem kontrastu. Kiedy w Niemczech (a i nie tylko tam) palono na stosach książki — w Polsce w ich obronie ludzie oddawali życie ginąc w ogniu. Poemat niedwuznacznie ukazywał społeczne, rzekłbym nawet: klasowe, źródła nadziei — nadziei ocalenia przed barbarzyństwem, w którego zamiarach leżało zamienić nie tylko poszczególnych ludzi, ale cały naród — „w jedną gigantyczną garść popiołu".

— *Wróćmy jeszcze na teren łódzki i powiedzmy coś o poetyckich inspiracjach.*

— Łódź, jako temat zajmuje bardzo poważne miejsce w mojej poezji, mogę powiedzieć, że jądrem każdego mojego utworu jest właśnie ta cecha łódzkości. Ale przecież żaden pisarz, skądkolwiek pochodzi nie jest przywiązany wyłącznie do miejsca swego urodzenia i wychowania. Przełamuje te granice, mimo to jednak nie może się wyzwolić od tego pierwszego zafascynowania tym terytorium, w którym wyrastał: i jako człowiek, i jako pisarz.

Jeśli ktoś mnie nazwie „pisarzem łódzkim", jestem z tego dumny. Ale to nie znaczy, że jestem ograniczony ta łódzkością; przeciwnie, łódzkość to dla mnie, powiedziałbym, to rymuje się przypadkowo: ludzkość, jak najszersze patrzenie na świat, na życie, na siebie samego.

— *Od kilku lat mieszka pan w Warszawie. Jak widzi pan Łódź z oddalenia, co mógłby pan powiedzieć — z odległości czasu i przestrzeni — o swym spojrzeniu na rodzinne miasto?*

— No, chciałbym się tutaj z panem nie zgodzić. Oczywiście, mieszkam teraz poza Łodzią. Ale gdziekolwiek pisarz mieszka, nie tylko tak jak ja — o sto kilkadziesiąt kilometrów od swego rodzinnego gniazda, ale nawet za morzem czy za oceanem — to jednak zawsze jest psychicznie, duchowo związany, chce czy nie chce, z tym miejscem, które go ukształtowało, które mu nadało pewną godność, w którym osiągnął świadomość swego sensu życia i tego, co robi. Łódź jest właśnie dla mnie takim miejscem, gdzie ja j e s t e m, mimo że fizycznie mnie tam nie ma.

Dlatego nie uważam, że jestem poza Łodzią i nie mógłbym powiedzieć, jak widzę Łódź z dystansu, z pozycji mego obecnego miejsca zamieszkania. Ja jestem w Łodzi ciągle obecny, tak to czuję i nie jest to żadna zarozumiałość ale po prostu moje wewnętrzne poczucie obecności.

Takim bezpośrednim potwierdzeniem tego faktu jest oczywiście twórczość, pewne utwory. W ciągu moich „warszawskich lat" powstało kilka wierszy związanych pośrednio z Łodzią: przez temat pracy, przez temat rewolucyjny. Ostatnio jednak napisałem poemat, który dotyczy bezpośrednio Łodzi, to znaczy lat mojej młodości, ale także moich wszystkich przeżyć w trzech okresach: w okresie sprzed pierwszej wojny, bo, niestety, w tak zamierzchłej przeszłości się urodziłem, byłem poddanym cara Mikołaja II, potem w okresie dwudziestolecia, i wreszcie — w okresie ostatnich lat trzydziestu (mowa o poemacie „Ogień i popiół" — przypisek T. G.). Nie zamierzałem specjalnie pisać o Łodzi, wyszło to mimo woli, bo te moje przeżycia są związane z tym miastem. Miastem, nie wstydzę się tego powiedzieć, mi najbliższym, które dało mi wszystko, czym, że tak powiem, trącę jako pisarz.

Jest to miasto trudne, co nie przeszkadza, że obdarzane przeze mnie miłością, bo jak to inaczej nazwać? Miasto często denerwujące, nie kryje tego, że czasem miałem go serdecznie dość. A jednocześnie miasto niesłychanie nęcące, trudno mi znaleźć słowa, które by wyraziły ten bardzo złożony, sklebiony stosunek do tego gniazda rodzinnego.

Rozmawiał:
TADEUSZ GICGIER

50 lat poezji Mariana Piechala

Kropelkami liter spływa w dzieje

„Tu mój początek
tu płuc i serca
ruch najwcześniejszy
tu krzyk z kolebki
i jak wystrzału
pogłos wiersz pierwszy"

Aby dokonać biograficznej egzegezy tej strofy, zaczerpniętej z wydanego niespełna dziesięć lat temu poematu „*Ogień i popiół*", trzeba się cofnąć wiele dalej, aż do pamiętnego dla Łodzi roku 1905, ponieważ los dość nieprzypadkowo, jak się później okazało, wpisał weń datę urodzin „*najwierniejszego barda*" tego miasta. Tutaj także młody Piechal stawiał z powodzeniem pierwsze, gimnazjalne kroki na literackiej drodze. Po czterech latach prób, uwieńczonych zwycięstwem w szkolnym konkursie poetyckim, odważył się na debiut prasowy, publikując w 1924 roku na łamach „Biesiady" wiersz „*Przed pomnikiem Mickiewicza*".

Niebawem nazwisko twórcy zaczęto łączyć z przedwojennymi grupami literackimi: „Meteorem" i „Kwadrygą", i to bynajmniej nie w sposób podrzędny. Autor „*Krzyku z miasta*" rychło stał się ich filarem, brylując adekwatnością swoich poczynań do założeń programowych. Z tego etapu aktywności Mariana Piechala, okresu kształtowania się i krzepnięcia osobowości artystycznej, pozostało kilka znaczących pozycji: cztery tomiki poezji i parę książek o charakterze eseistyczno-publicystycznym.

Tę niezbyt pokaźną objętościowo, ale za to imponującą ze względu na rozmach programowo-ideowy, galerię otwiera zbiór wierszy z 1929 roku, opatrzony tytułem „*Krzyk z miasta*". Poeta przemówił w nim z jednej strony do anonimowego adresata: „*człowieka bez twarzy*", z drugiej zaś do wirtualnego odbiorcy, którego najniższej kondycji społecznej nie zawahał się ujawnić. Większość utworów nasycił głęboko humanistycznym współczuciem, nawet takie, jak „*Wenus fabryczna*", antycypujące pewne rysy egzystencjalizmu, zostały pozbawione chłodnego tonu kontemplacji ludzkiej nędzy i poniżenia. Z taktyką konsekwentnego opisywania zjawisk immanentnie tkwiących w życiu warstw najuboższych znakomicie korespondują wiersze podejmujące motywy „*Narożno-uliczne*"; misterna konstrukcja metaforyczna „*Wschód prostytutek*" oraz spuentowany z iście Baudelaire'owską adoracją kontrowersyjnego obiektu deskrypcji „*Grzech*".

Przedwojenna krytyka, nazbyt chyba obligatoryjnie, okrzyknęła Władysława Broniewskiego ideowym patronem całego zbioru. Zdeterminował ten pogląd zapewne kompleks utworów profetyczno-rewolucyjnych utrzymanych w nastroju kontestacji hierarchii społecznej drabiny. Wartość poezji Mariana Piechala polegała jednak nie na kontynuacji linii programowej autora „*Dymów nad miastem*" lecz na wprowadzeniu i usamodzielnieniu bohatera nowego typu: człowieka na wskroś urbanistycznego, łaknącego zarazem odwzajemnienia najprostszych naturalnych uczuć. W retorycznych pytaniach „*Fragmentu*", o rzeczy piękniejsze od miasta i wznioślejsze od człowieka, dał wiarę w powodzenie szalonego mariażu ludzkiego serca i organizmu miejskiego.

Wiele nowych jakości pojawiło się w literaturze międzywojennej wraz z debiutanckim tomikiem wierszy Mariana Piechala, jakości nierzadko obcych zupełnie jego kręgom. Dlatego niemałym zaskoczeniem stał się drugi zbiorek: „*Elegie całopalne*", (1931), powiązany z poprzednim tylko cienką nitką poetyckiego „image". O ile nie można mówić o generalnej zmianie optyki lirycznej, o tyle elementem wyczuwalnym był stale obecny autorski dystans, wyraz tendencji do maksymalnej obiektywizacji opisu. Zaszło też poważne przesunięcie w świadomości poetyckiej. Kategoria „socjo" wraz z wyciszeniem klasowego tonu ustąpiła miejsca kategorii „nacjo" i nucie obywatelskiej, obrazującej wewnętrzne rozdarcie i rozterkę („*Żeromski*", „*Trzeci Most*", „*Trembowla*"), wynikłą z bolesnego nieprzystawania rzeczywistości pozaliterackiej do marzeń i nadziei.

Poezja z „*Elegii całopalnych*" jest niewspółmiernie trudniejsza od przejrzystych struktur „*Krzyku z miasta*", ale równocześnie bardziej pociąga swym tajemniczym klimatem, rzędem niedopowiedzeń oraz życiem podskórnym, bogato tętniącym między wierszami. Przyjmuje też swoją pesymistyczną wymowę, mrocznym czarem pól semantycznych śmierci i ognia. Czy po to autor wywołał w „*Pożegnaniu Norwida*", „*Itace Conrada*", „*Powrocie Ariela*" romantyczne cienie, by się w tym zmaganiu z przeszłością przeciwstawić przemijaniu? A może, aby przez jej pryzmat lepiej ogarnąć teraźniejszość zdefiniować ją i dogłębnie poznać? Oba kryteria, ontologiczne i epistemologiczne zdają się być jednakowo uprzywilejowane, oba też rodzą skomplikowaną sytuację, bowiem zarówno byt jak i poznanie składają się z elementów abstrakcyjnych, konstytuują je imponderabilia:

„Ocal, ocal od grzebania co dzień
w tej bibliotece zdarzeń nieuchwytnych dla rąk".
(„*Litania strzelista*")

„To są pomniki słowem wznoszone ludziom szlachetnym i odważnym" — tak pisał J. Kawalec w przedmowie do drugiego wydania „*Garści popiołu*", a było to w roku 1971, czyli blisko czterdzieści lat po pierwszej edycji poematu (1932). Trzynaście utworów stanowi jednorodny koncepcyjnie hermetyczny cykl o ustalonym porządku. Poetę zainspirował pożar zamku dzikowskiego w 1927 roku, który zamienił w popiół wiele cennych dzieł, a przede wszystkim pochłonął dziewięciu bohaterskich ratowników, jacy złożyli ofiarę z własnego życia w imię ocalenia dóbr kultury narodowej, mimo że od pełnego uczestnictwa w niej izolował ich dotychczas proletariacki status. Piechal świadomie zrezygnował z dystansu, obiektywizm zastąpił elementami autokreacji podmiotu mówiącego i z ekspresją, choć nie bez pewnej powściągliwości, nakreślił szereg onirycznych portretów albo, jak chce Kawalec, pomników, postawionych czarnoleską i sopocką strofą tym:

„...którzy tak pięknie i gorzko umarli
za coś — lepsze od życia, mocniejsze nad śmierć."
(„*Zejście z gór*")

„*Srebrna waga*" z 1936 roku powiodła czytelników w stronę suwerennej refleksji nad kulturą, wolnej, z pewnymi wyjątkami, od determinacji społecznych. Horyzont poetycki został w tym tomiku rozszerzony o spojrzenie autotematyczne. Nurt profetyczny pogłębiły wątki o kasandrycznym nasyceniu pesymizmem. Obrachunkowość tej poezji, ducha alienacji i niewiary egzemplifikuje także paradoksalnie wykorzystany motyw orficki:

„O, Eurydyko! Odgarnij chmurę,
choć wiem, że wtedy odejdę już stąd,
i życie moje, lira na której
grać nie umiałem, wypadnie mi z rąk."
(„*Eurydyka*")

Publikacji kolejnego tomu: „*Godziny nieśmiertelne*" stanął na drodze wybuch wojny. Faktyczna reorientacja w sposobie myślenia już się jednak dokonała, historię na pewien czas zastąpiła mitologia:

„I gdzież teraz historia? Są tylko gromady
na kształt ptaków na polu rozpierzchniętych liter"
(„*Mitologia*")

„*Inter arma silent Musae*" — tak, ale tylko w sensie edytorskim. Dowodem tego są wiersze Piechala tuż sprzed i z okresu samej wojny, pomieszczone w powojennym wyborze poezji z 1952 roku. Zostały one w nim ułożone w spójne ze względu na okoliczności powstawania cykle: „*Przed burzą*" — obrazujący jaskółczy niepokój przedwojenny, „*Listy do syna*" — przepełnione tonem moralnej edukacji, w której poezja odgrywa rolę „*miary ostatecznej*", wreszcie „*Epilog wrześniowy*" i cykl „*Z rozgromu*" — ukazujący przejmujący ból z powodu przewidzianej klęski, kojony apostrofami do Boga („*Psalm pokorny*", „*Akt*") albo rozdrażniany wierszami niemal bluźnierczymi:

„Czego chcesz od nas Panie, za Twe hojne dary,
czego za głód, kalectwo, mordy i pożary?"
(„*Inwalidzi*")

Nie da się jednak określić poezji pożogi wojennej oraz ciemnych lat 1949—56 mianem nieskrępowanej. Mimo że powyższe determinacje miały diametralnie różny charakter, bowiem profil tej pierwszej wyznaczał patriotyczny obowiązek, natomiast drugiej konieczność, w dodatku nie zawsze akceptowana. Należy wszak wymienić prócz wspomnianego wcześniej wyboru (1952), jeszcze jeden (1955) oraz tomik „*Nowa wiosna*", opublikowany w 1954 r. Aliści już rok po przełomowym październiku ukazał się zbiorek, rejestrujący subtelnie przemycone sygnały dezaprobaty i rozgoryczenie z powodu kształtu powojennej przeszłości, docierające zza podwójnej gardy liryki roli. Obok tego z kart „*Ognia*" emanuje troska o los świata, dążącego do katastrofalnej autotrofii, ponurego widma wieku „E = mc²".

Następna pozycja literacka Mariana Piechala, „*Wiersze*" z 1958 roku, stała pod znakiem swoistego eskapizmu w świat przeżyć estetycznych. Była to niewątpliwie forma samoobrony, lecz i tak zaowocowała kilkoma pięknymi strofami, trawestującymi znane motywy ludowe, jak „*Moja piosenka*" czy też poezję Goethego i Paula Eluarda, zadawnionych i długo nie eksplikowanych fascynacji autora.

Jeżeli można mówić o ciągłości w poezji Mariana Piechala to na pewno nie w sensie linearnym. Fakt, że „*Miasto nadziei*" z 1964 r. było odległym następstwem „*Krzyku z miasta*" i niekwestionowaną awangardą utworu, którego pięciozgłoskowe wersy otworzyły niniejszy szkic, nie ulega wątpliwości w świetle lektury „*Herbu Łodzi*" tudzież „*Łodzi czasoprzestrzennej*" wierszy tożsamych sylabicznie i pokrewnych stroficznie. Również redukcja ornamentacji zapowiadała zwrot ku poetyce surowej, a w efekcie ascetycznej, jaką zaowocowały karty „*Ognia i popiołu*". To jednak tylko jedno oblicze „*Miasta nadziei*", albowiem obok utworów oszczędnych pojawiły się także obdarzone w potężny ładunek liryzmu, rozsadzającego skąpą materię poetycką sporą dozą emocji i osobistego zaangażowania autora.

Pod tym względem wydana w 1965 roku „*Miara ostateczna*" była dość podobna, choć szerszy kontekst literacki, obecność i adoracja antenatów oraz inspiratorów kontrastowała wyraźnie z solipsystycznym wymiarem przemyśleń z poprzedniego tomu. Cykl „*Stygmaty*" wywołał ducha poezji Jana Lechonia, ale refleksja historyczna Piechala miała charakter polemizujący, pozycyjny w stosunku do propozycji percepcji przeszłości autora „*Karmazynowego poematu*". W „*Engramach*" nazwisko Lechonia pojawiło się już wprost obok Norwida, Czechowicza, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, co prawda w formie deliberacji „*Lechoń? Norwid?*", jednak waga tej alternatywy uwierzytelniła podpis tragicznie zmarłego Skamandryty pod „*Legitymacją poetycką*" młodszego o sześć lat Mariana Piechala.

Lata sześćdziesiąte przyniosły jeszcze dwa tomiki: „*Punkt oparcia*" 1965) i „*Być*" (1969), prezentujące podobną wizję poetycką świata. W szczególnie jaskrawej sprzeczności z sobą zaistniały w nich dwa nurty-dążności do definiowania i systematyzowania oraz do konstatacji relatywizujących tę klasyfikację. Na pierwszej szali można położyć wymienione już przez J. Rogozińskiego utwory: „*Znaki szczególne*", „*Carte d'identité*", „*Dowód*", a na drugiej umieścić cytaty:

„Piszę na kartkach z powietrza
piórem z oddechu"
(„*Notatka*")

„...piszę wiecznym ogniem
na karcie ze śniegu"
(„*Pióro albo uwiecznienie*")

Wiersze tytułowe nie zawsze potrafią udźwignąć ciężar sztandarowej wymowy. „*Moje imperium*" z tomu pod tym samym tytułem spełnia swoje zadanie znakomicie. Cały zbiór opublikowany w 1975 roku stanowił rodzaj wezwania do humanizacji życia, opartej na ufności w siłę wewnętrznych wartości integralnych człowieka i norm zinterioryzowanych w nim przez kulturę. Na kartach tej książki oddał też Marian Piechal hołd swoim wielkim literackim patronom: Norwidowi, w wierszu „*Dom narodzin Norwida*" oraz Brzozowskiemu, w utworze o identycznym tytule („*Brzozowski*").

Na temat poematu „*Ogień i popiół*" (1976) padło już wiele słów przy okazji informacji biograficznych i omówienia „*urbanistycznych*" tomów Mariana Piechala, warto jednak nadmienić, że dzieło to stanowi nie tylko sumę przemyśleń, efekt gruntownego samozaparcia i ogniskową „*miejskiej poezji*" autora, ale pod względem artystycznym ilustruje nienaganne rzemiosło i dyscyplinę twórczą.

Dwa lata później ukaże się jeszcze jeden poemat — „*Wiatr od Wisły*" związany z nazwiskiem Stefana Żeromskiego nie tylko parafrazą tytułu, lecz również starym, sięgającym pierwszych wierszy, długiem poetyckiej inspiracji, a w 1981 roku tomik „*Góra ocalenia*", zbiór poezji, a właściwie miniaturowych poematów, ułożonych w serie: „*Niepokój pokoju*" i „*Tetralogi historyczne*". Część środkowa, „*Cykl karastański*", stała się mimowolną cezurą i jednocześnie odskocznią od wymagającej skupienia historycznej refleksji Mariana Piechala.

Te dwa fakty literackie przestrzegają przed pochopnym klasyfikowaniem jego twórczości, bowiem ten świetny poeta, satyryk, dramaturg, eseista, publicysta, translator, edytor i redaktor nieprzerwanie „*kropelkami liter spływa w dzieje*".

PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ

Kiedy nie udały się kilkakrotne pertraktacje PAGARTU z impresariem **SHIRLEY BASSEY** na temat jej występu z recitalem na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie zwątpiłem w możliwość obejrzenia i wysłuchania na żywo jednego z najwspanialszych i najpotężniejszych głosów w historii światowego piosenkarstwa.

Wiadomości wstępne na temat przyjazdu Bassey na tegoroczny festiwal do Sopotu przyjmowałem z niedowierzaniem, choć jednocześnie z nadzieją, że może jednak... I oto PAGART przewodniczący Rady Artystycznej MFP „Sopot — 85" Dariusz Michalski i dyrektor naczelny Bałtyckiej Agencji Artystycznej Andrzej Kowalik, potwierdzili udział legendarnej Shirley Bassey w sopockim festiwalu. Wystąpi ze swoim recitalem w drugim dniu festiwalu tj. 22 sierpnia br., w Operze Leśnej.

Przed nami unikalna okazja do spotkania z jedną z nielicznych już pieśniarek należących do znikającej już ekstraklasy wielkich indywidualności piosenkarskich, do największych gwiazd światowej piosenki, które oprócz tego, że są gwiazdami bywają również artystkami z prawdziwego zdarzenia.

Shirley Bassey będzie supergwiazdą tegorocznego MFP „Sopot '85". Wystąpi ze swoim recitalem 22 sierpnia w Operze Leśnej w Sopocie.

Gwiazda gwiazd w Sopocie

BOHDAN GADOMSKI

SHIRLEY BASSEY urodziła się 48 lat temu w stoczniowym okręgu Tiger Bay w Cardiff jako najmłodsza z siedmiorga rodzeństwa. Rodzina pochodziła z Jamajki. Nie wiem — czy to ojciec, czy matka było białe, ale faktem jest, że ta najbielsza z Mulatek pozyskała dzięki nim czekoladową karnację swojej raczej białej skóry, egzotyczną urodę i... głos o ciemnym zabarwieniu i niespotykanej u białych sile brzmienia i gatunku. W sumie narodziło się zjawisko biało-czarne nie mające podobnego wśród śpiewających Angielek.

Początkowo miała zamiar zostać właścicielką sklepu odzieżowego, modelką albo pielęgniarką. Ostatnią dziedziną, o której mogłaby pomyśleć, była rozrywka. Jej pierwszą posadą było stanowisko.. pakowaczki w emaliernii.

Kiedy była małą dziewczynką podśpiewywała sobie cichutko i na nic zdawały się prośby krewnych i przyjaciół, żeby coś głośno zaśpiewała. Z natury Shirley była bardzo nieśmiała.

Kiedy trochę podrosła, zaczęła śpiewać w duecie z bratem, naśladując Billy Eckstine i Sarah Vaughan. Jako nastolatka była pod wielkim wpływem amerykańskiej Edith Piaf czyli Judy Garland (matki Lizy Minnelli), nie tyle głosu, co ekspresji i ta fascynacja jest zauważalna do dziś w sposobie śpiewania Shirley Bassey.

Gdy zaczęła przezwyciężać nieśmiałość, często śpiewała na uroczystościach rodzinnych. Zarobkowo zaczęła śpiewać mając 16 lat, występując w objazdowej grupie. Śpiewu uczyła się sama, słuchając radia i starych płyt. W tym czasie wzięła cykl lekcji śpiewu i emisji u znanych pedagogów, którzy postawili jej głos wyjątkowo szczodrze obdarzony przez naturę. Ten fascynujący później cały świat głos, zachwycił jednakowo publiczność i najbardziej wybrednych krytyków muzycznych.

Po pracy w grupach objazdowych występowała w nocnych małych klubach, aż do momentu, kiedy w 1955 roku zobaczył i usłyszał ją słynny w latach 50-tych brytyjski impresario Jack Hylton. Miało to miejsce w Astor Club, po przesłuchaniu, które wypadło znakomicie, Shirley została zaangażowana na występy do West Endu w Londynie do show „Such Is Life" („Takie jest życie"), na motywach komedii Ala Reada.

Ale pierwszy znaczący występ Shirley Bassey miał miejsce na starym londyńskim hippodromie w 1957 roku. Po nim przyszły nagrania w wytwórni płyt Philipsa, pierwsze single: „Who's Going To" („Kto zamierza") i „The Wayward Win" („Karpyśny wiatr") i pierwsze longplaye, wśród nich: „Banana Boat Song" („Pieśń bananowej łodzi"), który dał początek wielkiej karriery na wszystkich najbardziej liczących się scenach świata.

Międzynarodową karierę ułatwiła Shirley popularność piosenki ze znanej telewizyjnej serii o Jamesie Bondzie „Goldfinger" („Złoty palec"), a przypieczętował przebój George Harrisona „Something" („Coś"), który w świecie rozsławiła właśnie Shirley Bassey a nie „The Beatles".

Bassey śpiewała w pierwszym okresie kariery zupełnie inaczej niż obecnie, bardziej jazzowo niż balladowo. Człowiekiem, który zmienił jej osobowość artystyczną był Norman Newell — kompozytor, aranżer, ale przede wszystkim producent płyt. To dzięki niemu Bassey stała się znakomitą interpretatorką dramatycznych ballad.

A było to w 1962 roku podczas 10 dużego objazdu z koncertami wokół Wielkiej Brytanii, gdy pewnego dnia narodził się pomysł powstania płyty z nowymi piosenkami i nowym sposobem ich śpiewania. Pieśniarce towarzyszyła orkiestra Nelsona Riddla. Producentem został Norman Newell. Na początku pomysł wydawał się niemożliwy do zrealizowania, nie tylko z powodu okoliczności, ale dlatego, że Nelson Riddl związany był kontraktem z inną firmą. Producent Norman Newell odniósł się do tego wręcz entuzjastycznie i szybko zabrał do aranżacji nowych piosenek Shirley Bassey. Płyta została nagrana. Jej tytuł „What now my love". Posiadam ją wraz z 13 innymi dużymi płytami nagranymi przez Bassey i na ich przykładzie wyraźnie widać jaką drogę wokalną przebyła ta wokalistka do swojego wizerunku — 85.

Bassey dopisało zawodowe szczęście, bo spotkała tak wybitnych muzyków jak Riddl i Newell, których nazywano geniuszami muzyki rozrywkowej.

Po zdobyciu popularności w Wielkiej Brytanii, artystka zaczęła zdobywać sławę w USA, początkowo w rewii, później w ekskluzywnym Hotelu Plaza w Nowym Jorku — najbardziej snobistycznej scenie Stanów Zjednoczonych.

Z serią koncertów występowała w słynnej Carnegie Hall w 1972 roku, 1973 i 1974. Śpiewała przed prezydentem Johnem Kennedym w Białym Domu.

Nagrywała płytę za płytą, w sumie ponad 45 longplayów, mnóstwo małych płyt i kaset. Otrzymała 25 złotych, platynowych i 14 srebrnych płyt w Wielkiej Brytanii, Holandii i Francji. Płyty były nagrywane dla tak renomowanych wytwórni jak: Philipsa Columbia, United Artists, Epic, MGM, Mercury Sureset World Record i innych. W 1977 roku otrzymała nagrodę Britannia dla najlepszej wokalistki ostatniego 50-lecia. Wystąpiła w 4 Show Royal Variety i odbyła wiele triumfalnych tournée po Europie Zachodniej.

Z tego co zdobyła, a jej osiągnięcia są oszałamiające niezbyt wiele, a już na pewno nie w proporcji do talentu i pozycji w światowej muzyce rozrywkowej, przedostaje się do Polski. Ale... 28 sierpnia 1981 roku TVP zaprezentowała 40-minutowy program rozrywkowy produkcji brytyjskiej, którego bohaterką była Shirley Bassey. Ten sam program był już emitowany u nas pół roku wcześniej w II programie TV. Godziny emisji późnowieczorne, ale ci wszyscy którzy zdecydowali się pozostać przy telewizorach wspominają do dziś ten znakomity show połączony z fragmentami koncertu na żywo (Bassey wjeżdżała na widownię, w białym mercedesie, podczas gdy widz telewizyjny śledził również jej podróż samolotem na koncert oraz filmowe nagrania m. in. superprzeboju „Coś". Bassey nie tylko śpiewała, ale tańczyła, żartowała, prowadziła swój program.

Od tego czasu nie widzieliśmy nowych programów telewizyjnych z Bassey, a nagrała ich wiele, np. obecnie nie schodzi z ekranów telewizyjnych w Wielkiej Brytanii z okazji wydania najnowszego albumu „Jestem taka, jaka jestem" z towarzyszeniem London Symphony Orchestra pod dyrekcją Carla Davisa (nagranego w lipcu i sierpniu 1984 roku) zawierającego jej wszystkie najpopularniejsze piosenki na nowo zaaranżowane przez Michaela Alexandra, Davida Cullena i Derecka Wadswortha. Jednocześnie ukazał się jej nowy singiel z piosenkami „Natalia" i „Ponieważ cię kocham". W 1981 roku polska firma „Wifon" wydała kasetę „The Shirley Bassey singles album" z jej 14 wielkimi przebojami, które ukazywały się na singlach („Something", „Make The World a little younger", „For all we know", „Never, never, never", „When you smile", „Diamonds are ferever", „Ad i love you so", „Does everybody miss me", „Love story", „The fool on the hill", „It you go away", „Big spender"). W tym czasie te same nagrania ukazały się na dużej płycie bułgarskiej firmy „Balkanton" z której polska kaseta prawdopodobnie została zrobiona (dewizy).

Skoro już mowa o płytach Bassey, których nagrywaniem przede wszystkim się teraz zajmuje, to warto odnotować trzy ostatnie longplaye poprzedzające najnowszy album obecnie lansowany w Wielkiej Brytanii.

„Though I ring you" („A jednak dzwonię do Ciebie") to płyta nagrana w duecie ze słynnym gwiazdorem kina francuskiego Alainem Delonem. Płyta była sensacją na rynku, a stanowiła rozmowę telefoniczną dwojga zakochanych luźzi, którzy nigdy się nie widzieli. Wykonawcy również nie znali się osobiście. Bassey śpiewała po angielsku, Delon odpowiadał jej po francusku. Każde z nich nagrywało swoją część płyty w innym studio. Spotkali się dopiero podczas końcowych prac nad zgrywaniem płyty. Oboje stworzyli wspaniały duet, szczególnie z uwagi na dwa niskie, szalenie frapujące głosy, z których jeden śpiewał, a drugi parlanował.

Polskie Radio, a właściwie red. Michał Rybczyński spopularyzował jedną z piosenek na naszej antenie, można ją znaleźć czasami w tegorocznych wydaniach „Lata z radiem".

Głos Shirley Bassey rozsławiło u nas radio, na którego antenie gościła często, można jej piosenek posłuchać i dziś (np. w jednym z niedawnych wydań „Muzyki nocą").

Płyta „The Magic Is You" („Magia jest Tobą") wydana w 1978 roku przez United Artists and Records Group INC., we Francji prezentuje zupełnie inną Bassey, nowy image wizualny (spirala karbowanych kruczych włosów, inny niż zwykle makijaż, czerń i biel zamiast złota i purpury) i nowy sposób śpiewania. Lecz chowanie wspaniałego głosu i pokazywanie go zaledwie w 50 procentach, nawet przy tak udanych utworach jak: „This is My life", „Nie czekaj mnie w Argentynie", „The Magic is You", „Night Moves", a przez to próba bardziej nowoczesnego śpiewania (elementy disco) nie wyszły na dobre tej, która zabija wszystkie piosenkarki swym potężnym, nie znającym trudności, których mógłby nie pokonać — głosem.

Płyta „All By Myself" nagrana w 1982 roku w Applause Records Inc. prezentuje dawną Shirley Bassey, której głos nabrał nowych niższych, pełniejszych brzmień. Repertuar wspaniały: „Maskarada" Bensona, „New York" Minnelli, „Soliteire" Sedaki. Z pewnością taką Bassey zobaczymy na sopockiej estradzie.

Album „Im in the mood for love" zawierający 24 przeboje to retrospekcja jej nagrań z 1961, 62, 64, 65, 68 roku, wśród nich „People", który rozsławił Barbrę Streisand, „Tonight", „Moon River" czy „No Regrets" (Piaf).

Nie szukajmy więc u Bassey najnowszych trendów w sposobie podawania piosenki i supernowocześnie zaaranżowanych piosenek, zostawmy to wciąż pojawiającym się i znikającym gwiazdkom piosenki. Shirley Bassey jest skończoną doskonałością i niech pozostanie taką mimo zmieniających się w muzyce rozrywkowej mód i stylów.

W życiorysie artystycznym i osobistym Shirley Bassey trudno znaleźć coś sensacyjnego, ale z ciekawostek, które wydobyłem, podam trzy. Bassey miała swego czasu nagrywać przeboj Urszuli Sipińskiej „Nadejdą jasne dni", żałować należy że ostatecznie tej piosenki nie nagrała, a szkoda, bo mogłaby z niej uczynić wielki przebój także dla siebie. Nie udało się też Jackowi Bromskiemu, współtwórcy filmu muzycznego „Alicja" zaprosić Bassey do udziału w tym filmie, powierzając jej rolę Królowej Kier Przyczyną odmowy było zbyt małe rozbudowanie postaci Królowej Kier i dlatego Bassey jej nie przyjęła. I słusznie! Od paru lat jest żoną czeskiego managera, co w pewien sposób wiąże ją z nami, ale na ten temat niewiele się mówi i pisze.

Występy Shirley Bassey bez względu na to w jakich salach i w jakich krajach się odbywają, kończą się zwykle nie kończącymi owacjami i powstaniem publiczności z miejsc.

Podobno owacje przydarzają się tylko największym artystom. Roman Waschko w artykule „Trzymać rękę na pulsie" tak pisał: *„Słuchanie i obserwowanie Shirley Bassey w czasie jej występów jest najlepszą szkołą dla tych, którzy pragną zrobić karierę piosenkarską... to co prezentuje ona na estradzie jest szkołą profesjonalizmu i talentu najwyższej rangi".*

Obok Barbry Streisand, Lizy Minnelli jest trzecią wielką artystką światowej sztuki piosenkarskiej. Szkoda, że w Polsce mnie znana do tej pory od swoich koleżanek (występujących także jako aktorki filmowe), ale za to teraz będzie bliższa i bardziej podziwiana niż te i inne znakomite piosenkarki.

Shirley Bassey zdobyła wszystkie nagrody o jakich marzy każda piosenkarka.

A oto i ona na swoim jubileuszowym koncercie w Rotterdamie. Ogromna sala koncertowa „De Dollen" wypełniona po brzegi, ludzie stoją pod ścianami. Na estradzie bohaterka wieczoru. Fryzura afro, długa opięta suknia na cienkich ramiączkach z czarnej lamy, obszyta czarnym futrem i srebrna peleryna również ozdobiona futrem. Śpiewa z ogromną swobodą karkołomny wokalnie repertuar, którego tak jak ona nie zaśpiewa nikt inny. Jest oryginalna i niepowtarzalna. Na pytanie z widowni: — co robić, aby zostać gwiazdą? — odpowiedziała: „Komu pisane jest tą gwiazdą zostać — zostanie nią. O tym decydują nie tylko głos, talent i menager, ale — i przede wszystkim — publiczność. Dzięki niej mogę dziś śpiewać, a czynię to z ogromną przyjemnością. Będę zaś śpiewać tak długo, jak długo będzie mnie akceptowała publiczność, przychodząc na moje koncerty, kupując moje płyty".

Lata 80 są w karierze Shirley Bassey nie mniej ciekawe i znaczące jak lata 60 czy 70. Na początku lat 80 podpisała 5-letni kontrakt z firmą płytową Towerbell Records. Na pierwszym singlu nagranym w tej firmie znalazła się wokalna wersja tematu z filmu „Champions". Jesienią 1984 roku Shirley Bassey odbyła wielkie światowe tournée. Występowała m. in. w londyńskiej Royal Albert Hall, wzmacniając swoją pozycję pierwszej brytyjskiej gwiazdy piosenki.

I oto, po raz pierwszy w Polsce, owiana legendą i nimbem największej ze współczesnych wielkości piosenkarskich światowego firmamentu. Były w Sopocie różne gwiazdy ale artystki tego formatu nie mieliśmy. Nie ukrywam, że dla Bassey jadę w tym roku do Sopotu jako sprawozdawca festiwalowy „Odgłosów".

Polecając Czytelnikom „Odgłosów" recital Shirley Bassey w Sopocie, obawiam się, że po jego wysłuchaniu nikt nie będzie chciał słuchać tego, co po nim.

Ale póki co, przed Państwem — **SHIRLEY BASSEY z WIELKIEJ BRYTANII, GWIAZDA GWIAZD** w Sopocie. Na żywo.

Podróż do grodu św. Marka

(2)

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Sporo swego czasu pisano, a już szczególnie wiele mówiono w telewizji o rzekomo masowych przypadkach pozostawania polskich turystów na Zachodzie. Nie znam dokładnych danych, zresztą w tym miejscu nie jest to najważniejsze, bowiem propaganda nie posiłkuje się statystyką, a jeśli już to w szczególny sposób. Śmiem jednak mniemać, że w całej tej sprawie nieco przesadzono. Przekonałem się co do tego podczas mojego pobytu we Włoszech. Nikomu z zapoznanych na kempingu nawet przez myśl nie przeszedł pomysł, aby „wybrać wolność". Można sądzić, że przypadek jednostkowy, ale jak się orientuję wcale nie tak znów rzadki, a raczej przeciwnie — częsty, więc chyba godny statystycznego ujęcia.

Rozmyślałem o tym

PŁYNĄC DO WENECJI

Powie ktoś: temat nie na tę okoliczność. Być może. Dajmy więc tym sprawom spokój.

Stateczek z Fusine do Wenecji odpływa co pół godziny szlakiem wytkniętym przez grube, spięte żelazną obręczą po trzy, po cztery, drewniane pale. Niektóre z nich są już mocno podgryzione przez morze. Wpływając do kanału della Giudecca mijamy po prawej stronie współczesną, nową Wenecję. Przy samym morzu, wzdłuż fondamenta Beata, Eufemia, Piccolo, stoją kolorowe bloki — kamieniczki o spadzistych dachach, kryte czerwoną dachówką, podobnie jak domy w całej Wenecji. Nie wiem skąd i dlaczego bulwar na La Giudecca przypomina mi gdańskie zaułki Długiego Pobrzeża nad Starą Motławą.

Kończymy kilkunastominutową podróż na przystani Zattere. Idąc w kierunku Ponte Accademia szeroką, jak na weneckie warunki uliczką Terra M. Foscarini, wchodzimy nagle i niepostrzeżenie w nastrój i atmosferę miasta-fenomenu. Uliczki wąskie, głębokie niczym górskie kaniony, pełne upragnionego cienia. Domy dwu, trzypiętrowe, kolorowe, choć gdzieniegdzie oblatuje tynk, wyziera cegła, a kamieniczki stojące tuż przy kanałach szpecą liszaje wilgoci i brudne krechy po najwyższym poziomie wody. W kamieniczkach stojących tuż przy Rio, tzn. przy kanałach, na parterze, czasami nawet na pierwszym piętrze nikt nie mieszka. Ludzie tu jak ptaki — mają swoje gniazda jedynie na najwyższych piętrach. Trochę szokują zamknięte przez dzień okiennice, zasłonięte przed słońcem okna. Nawet z daleka od kanałów czuć wodę, wilgoć i co tu dużo mówić: odrobinę stęchlizny. Czas i morze robią w Wenecji swoje...

W słońcu, w blasku pięknego dnia nawet takie zaułki jak Rio Pesaro, gdzie nad wąskim kanałem, że ledwo mogą się minąć dwie łodzie, stoją obdarte z tynku kamieniczki, mogą zachwycić, zauroczyć. Ileż tu kolorów: w wodzie odbija się jasny błękit nieba, na balkonach pomarańczowo kwitną kwiaty, resztki tynku i cegły układają się w unikalną mozaikę, oczodoły okien zdobią czerwone, zielone, niebieskie okiennice. Do tego niepowtarzalnego pejzażu dodać trzeba biel pościeli schnącej na sznurach przerzuconych przez kanał. Syn co chwila podnosi do oka „Zenitha", choć może bardziej przystałoby mieć płótno i sztalugi.

Takich zaułków jak Rio Pesaro czy Rio San Toma, del Lovo jest w Wenecji tak wiele, że w kilka dni nie sposób do wszystkich z nich dotrzeć. My tymczasem zdążamy dość pospiesznie, niecierpliwie na słynną Piazzę. Trochę ze zmęczenia upałem, trochę oszołomieni pięknem, które wciąż jeszcze wydaje się być nieprawdopodobne, trochę jak kolorowy sen, przystajemy raz po raz w cieniu weneckich placów i całkiem maleńkich placyków. Jeden niepodobny do drugiego, choć ich tu tak wiele. Każdy z nich potrafi zachwycić urokiem, zwabić atmosferą, zauroczyć architekturą kamienic, kościołów, mostów.

Na Larga 22 Marzo partery wszystkich domów zajęte są pod sklepy, sklepiki i rzemieślnicze kantory. Jest tu wszystko: od pamiątek, biżuterii po krzyk mody elektronicznej. Ceny niewiarygodnie wysokie, stąd też w sklepach nie ma tego samego tłoku, co przy wystawach. Oglądają wszyscy: Niemcy, Japończycy, których w Wenecji widzi się bardzo wielu, Francuzi czy Amerykanie, no i oczywiście Polacy, kupują — bardzo nieliczni. Najwięcej klientów z tego wielorasowego tłumu zdobywają snack-bary i pizzerie, a i tu każdy liczy się z lirem czy dolarem.

Po drodze, nad Rio d. S. Moise, przy placyku o tej samej nazwie jest przystań gondoli, jedna z licznych w Wenecji. Podobnie jak wszędzie, tak i tu więcej łodzi niż chętnych. Gondolierzy raz po raz nawołują śpiewnie w kierunku turystów. Gondola! Gondola! Niewielu daje się skusić, przynajmniej takich jak my, na tę niebywale atrakcyjną przejażdżkę. Idziemy dalej pieszo. Do Placu S. Marko już tylko kilka kroków.

PIAZZA

Atmosfera Rynku św. Marka przypomina trochę tę z krakowskiego rynku, a arkady ze sklepami w Prokuracjach, stanowiących trzy ściany tego osobliwego placu, to jakby nasze Sukiennice. No i gołębie, chmary gołębi, które w Wenecji zawsze chroniono. Jeden z nich, u samego wejścia na Piazzę, narobił mi był na rękaw koszuli. Nie wiem czy to przypadek czy też znak jaki...

Kiedy człowiek wejdzie na Piazza to najpierw się zachwyci, a potem zamyśli w niedowierzaniu. Trzeba trochę czasu, aby uwierzyć, że to nie sen...

Na Piazza ruch i gwar wielki. To jest właśnie owa Wieża Babel. Mowa ludzka z rozmaitych stron świata przeplata się z gruchaniem gołębi, szumem ich skrzydeł, kiedy tylko wzbiją się całą chmarą ponad plac oraz z dźwiękami muzyki, dobiegającej z pobliskich kawiarni. Po jednej stronie rynku „Quadri" i „Lavena", a po drugiej „Florian". Przed nimi ogródki z dziesiątkami stolików i krzeseł. My usiedliśmy na schodach, pod arkadami tego skrzydła, które łączy Stare i Nowe Prokuracje. Kazał je postawić Napoleon na miejscu starego kościółka. Kiedy jedna z orkiestr kończy swoją wiązankę walców, po krótkiej pauzie druga rozpoczyna serią jakże znanych melodii Beatlesów: Yesterday, yesterday — nie tylko my nucimy pod nosem. Tłum kołysze się w takt melodii, fotografuje, karmi gołębie, podziwia, a co niektórzy w cieniu pod arkadami drzemią zmęczeni wrażeniami i upałem.

Na Piazza zawsze było tłoczno i gwarno. Dawniej odbywały się tu coroczne jarmarki, widowiska i rozmaite uroczystości. Z XII w. od czasów panowania doży Lorenzo Tiepolo pochodził zwyczaj, że po wyborze doży, marynarze obnosili go na krześle po rynku. Doża Tomasz Mocenigo, bojąc się ludzi mu niechętnych, kazał między ludem rozsypywać pieniądze. Okazało się to na tyle skutecznym zabiegiem, że następni dożowie dla bezpieczeństwa zwyczaj ten zachowali. Jednakże przy schyłku Rzeczypospolitej Weneckiej, kiedy postanowiono, aby pozostałe na miednicy pieniądze szły do kieszeni marynarzy, tak prędko dożę obnoszono, że cała uroczystość trwała ledwie kilka minut.

O Placu św. Marka, który na każdym wywiera olbrzymie wrażenie, powiedział kiedyś Napoleon: „wygląda jak ogromny i najpiękniejszy w świecie salon. I tylko włoskie niebo godne jest być mu sklepieniem..." Trudno temu zaprzeczyć, choć nie zawsze Piazza była, tak jak dziś, wyłożona kosztownym marmurem. Niegdyś rosła tu trawa. Potem poziom placu podniesiono, ale i tak nie uchroniono przed zalewaniem go przez morze. Od tych potopów marmurowa „posadzka salonu" bardzo dziś pofalowana. Bywa więc, że po Piazza pływa się gondolami i łodziami.

Naprzeciw nas, na końcu Piazzy złoci się w słońcu bazylika S. Marco. Kościół ten zbudowany jest na wzór świątyni św. Zofii w Konstantynopolu. Każda z kolumn bazyliki ma swoją oddzielną historię. Kościół ten budował się po znacznej części z łupów zdobytych przez Wenecjan na Wschodzie. Na frontonie, nad głównym wejściem do bazyliki nie było słynnych brązowych koni Lisippusa. Stoją we wnętrzu. Rumaki owe w I w.n.e. zdobiły łuk triumfalny Nerona, a następnie Trajana w Rzymie, potem wędrowały po całym świecie, po raz pierwszy trafiając do Wenecji w 1205 r. skąd zabrał je Buonaparte (1797 r.), aż w 1815 roku powróciły na Piazzę. Wędrówka weneckich koni Lisippusa to temat do osobnej opowieści.

Przed bazyliką stoi jak przed laty mężczyzna ubrany na czarno w osiemnastowieczny strój. Jego laska bezapelacyjnie każe zawrócić kobietom o odkrytych ramionach, gołych plecach i w krótkich spodenkach. Byliśmy uprzedzeni, więc wchodzimy całą trójką. Z bazyliki za cztery tysiące lirów od osoby zmierzamy do sąsiedniego Pałacu Dożów, który ze swoim gotycko-arabskim portykiem, osobliwością, że okna są rozmieszczone niesymetrycznie, jedne wyżej, inne niżej, pasuje do wyobrażeń pałaców z opowieści „Tysiąca i jednej nocy".

Po kilku godzinach zwiedzania dawny Palazzo Vecchio imponuje wspaniałością schodów, sali i dziedzińca, a zarazem przeraża wspomnieniem zdarzeń, które w murach Pałacu Dożów miały kiedyś miejsce. Dożę Marino Faliero, który odbudował pałac, ścięto na schodach, a architekta Calendario powieszono pod oknem doży, na jednym z łuków, które sam budował. Że nie wspomnę o innych zdarzeniach i historyjkach.

Mostem przerzuconym nad Rio di Palazzo przechodzimy do historycznego więzienia. Wilgotne, ciasne, źle oświetlone cele robią przygnębiające wrażenie. Skazany na potajemne stracenie więzień wchodził wysoko, gdzie szczelina w murze. Nad jamą stawiano stołek, na którym siadał skazany ze stryczkiem u szyi. Jedno kopnięcie stołka wystarczyło, aby pętla zacisnęła się u szyi. Na dole czekała łódka, którą ciało wywożono za kościół S. Giorgio, gdzie trupa wkładano wraz z wielkim kamieniem w wór i wrzucano w morskie otchłanie.

Nareszcie wychodzimy znów na słońce. Siadamy dla odpoczynku na tarasie pałacu, skąd wspaniały widok na Piazzetę, Molo i Riva degli Schiavoni, gdzie przy nabrzeżu aż roi się od statków, łodzi i gondoli.

PIAZZETA

Piazzeta to mały rynek naprzeciw Pałacu Dożów, otwarty na Basen S. Marco i Kanał S. Marco. Tu z małego, drewnianego pomostu, rodzaju trapu, można zejść wprost do gondoli, cumujących przy żerdziach wbitych w dno kanału.

Są przy Piazzeta oprócz Pałacu Dożów dwie osobliwości i jest ten sam cudowny, niepowtarzalny nastrój, co na Piazza. Tyle że Piazzeta jest szeroko otwarta. Na wprost widać wyspę S. Giorgio Maggiore z rozległą budowlą kościoła o tej samej nazwie, a dalej, na horyzoncie słynna wyspa Lido.

Pierwsza z osobliwości Piazzy i Piazzety to wieża, Campanile di S. Marco, z której rozpościera się wspaniały i bardzo rozległy widok na Wenecję. Kanał Grande w kształcie odwróconej litery „S" widać jakby z lotu ptaka.

Drugą osobliwością są dwie kolumny przywiezione do Wenecji z wyspy Naksos. Stanowią one jakby olbrzymie ramy wielkich, wiecznie otwartych wrót do Wenecji. Długo nie wiedziano, co z owymi kolumnami uczynić. W miejscu gdzie obecnie stoją umieścił je architekt Barattisi. Między nimi jakiś czas był teren, na którym zezwolono na różnego rodzaju gry. Aby temu dać kres starszyzna wenecka uradziła, iż na kolumnach będzie wieszać się zbrodniarzy. Poskutkowało, zrazu gracze stąd zniknęli, a miejsce uznano za przeklęte. Dziś już nikt o tym nie pamięta, na schodach u stóp jednej i drugiej kolumny siedzi zwykle sporo turystów. Na jednej z nich stoi święty Teodor, a pod nim pokonany smok, na drugiej zaś uskrzydlony lew (symbol Wenecji) wspierający swą łapę na Ewangelii św. Marka, patrona miasta.

Po drugiej stronie Nowych Prokuracji, od mola Kanału S. Marco Napoleon założył ogród. Drzewa ponoć nie rosną tu dobrze. Z ogródka przy Prokuracjach schodzą kamienne stopnie wprost do laguny. Był to najbardziej ulubiony zakątek George Sand. Lubiła siadywać tu sama, patrząc przy świetle księżyca przez kanał na kościoły la Salute, San Giorgio Maggiore i uwijające się wokół nich łodzie.

Usiedliśmy także na chwilę. Prażyło słońce, a woda dawała niewielką ochłodę. Potem stateczkiem linii nr 2 udaliśmy się w podróż po Wenecji: najpierw Canale Grande, a następnie Rio Nuovo aż do Piazza Roma i parku (jedynego w Wenecji), aby znów przy Fondamento S. Lucio (obok dworca) wpłynąć na szeroki Canale Grande, wysiadając przy słynnym, doprawdy bardzo pięknym moście Rialto. Pieszo doszliśmy do mostu dell Accademia, po czym Fundamenta Nani nad Rio di S. Trovaso (gdzie kupiliśmy chleb na gramy, bardzo drogi) dotarliśmy wreszcie do przystani przy Zattere. Niedługo czekaliśmy na stateczek od Fusine, gdzie na obiado-kolację czekała nas kasza gryczana z konserwą turystyczną.

WENECJA NOCĄ

Powiadają, że kto widział Wenecję tylko w dzień, ten właściwie nie poznał Wenecji. Zapragnęliśmy się o tym przekonać, wybierając się z żoną z grupą znajomych łodzian z kempingu. Pojechaliśmy samochodami. Jeszcze jedna atrakcja — przejazd przez most łączący miasto ze stałym lądem.

Spacer nasz zaczęliśmy od Placu Rzymskiego. Procesje turystów ciągnęły w kierunku Piazzy.

Po drodze, na dłużej zatrzymaliśmy się na moście Rialto. Co za niespodzianka, zaskoczenie. Na Canale Grande ruch nie mniejszy niż w dzień. Gwar, chlupot wody, szum silników, kolorowe światła przeglądające się w kanale i ten cudowny, niezbyt dający się opisać nastrój. Tak, Wenecja nocą, to jakby inny, wcale nie mniej piękny świat.

Inne jednak wrażenie robią puste, źle oświetlone lub wręcz mroczne wąskie uliczki, zaułki. Klimatu dopełniają ciemne, zamknięte szczelnie okiennicami okna. Woda w kanałach jest prawie czarna, nieruchoma. Ciągnie wilgocią i chłodem.

Zabłądzić nocą w tym labiryncie zasnutych cieniem uliczek i kanałów... Na samą myśl robi się nieprzyjemnie. Na szczęście trzymamy się razem, głównych dobrze oświetlonych, ludnych od turystów traktów. Prowadzą nas napisy na rogach kamienic: Na Piazza S. Marco. Tam zdążają prawie wszyscy, jak na umówione spotkanie albo fiestę.

Gdy wchodzimy na Piazzę dwa miedziane murzynki na wieży zegarowej, której fronton zdobi ogromne koło z zodiakiem, waląc młotami o zawieszony w powietrzu dzwon oznajmiają północ. Kawiarniana orkiestra grała wówczas wiązankę melodii na motywach utworów Chopina. Zrazu poczuliśmy się swojsko, jak u siebie. Na rynku tłum i gwar nie mniejszy niż w dzień. Turyści rozmaitych narodowości tworzą wielkie kręgi. Wielu siedzi wprost na marmurze. Pośrodku miast ogniska stoi butelka ognistego płynu. Wędruje dookoła, po czym wraca pusta na środek. Natychmiast ktoś obok dostawia nową, jeszcze pełną.

Różnojęzyczny gwar narasta w miarę jak przybywa pustych butelek. Zrywają się okrzyki, improwizowane śpiewy i oklaski. A kawiarniana orkiestra wciąż gra dla eleganckich gości siedzących przy stolikach w ogródku. Tymczasem w jednym z kręgów tańczą flamenco. Tańczącym towarzyszy rytmiczne klaskanie w dłonie.

Nasza grupa siada pod arkadami, na marmurowych schodach, ciepłych wciąż po upalnym dniu. Z inicjatywy Juliusza kupiliśmy metodą zrzutki (po tysiąc od pary) butelkę włoskiego wina. Jest całkiem dobre. Wypadło po dwie miarki plastykowego kubka na głowę. Wystarczyło, aby zaszumiało. Ktoś zanucił, reszta podchwyciła: „Dzwoń, dzwoń, dzwoń dzwoneczku..."

Około drugiej wracamy. Wenecja już śpi. Tylko sznurek turystów ciągnie wąskimi uliczkami w kierunku Ponte di Rialto i Placu Rzymskiego, na parking. Wszyscy lekko podnieceni, podchmieleni, upojeni nie tyle winem, co cudownym nastrojem gorącej, księżycowej weneckiej nocy na Piazza. Aż żal wracać do Fusine, na nocleg do naszej „Warty". O tej porze komary już nie tną, można spokojnie usiąść przed namiotem i przez lagunę przykrytą kopułą gwiazd patrzeć na daleką i bliską Wenecję, żegnać się niechętnie z niedawnymi wspomnieniami, jak o świcie z pięknym snem.

C.D.N.

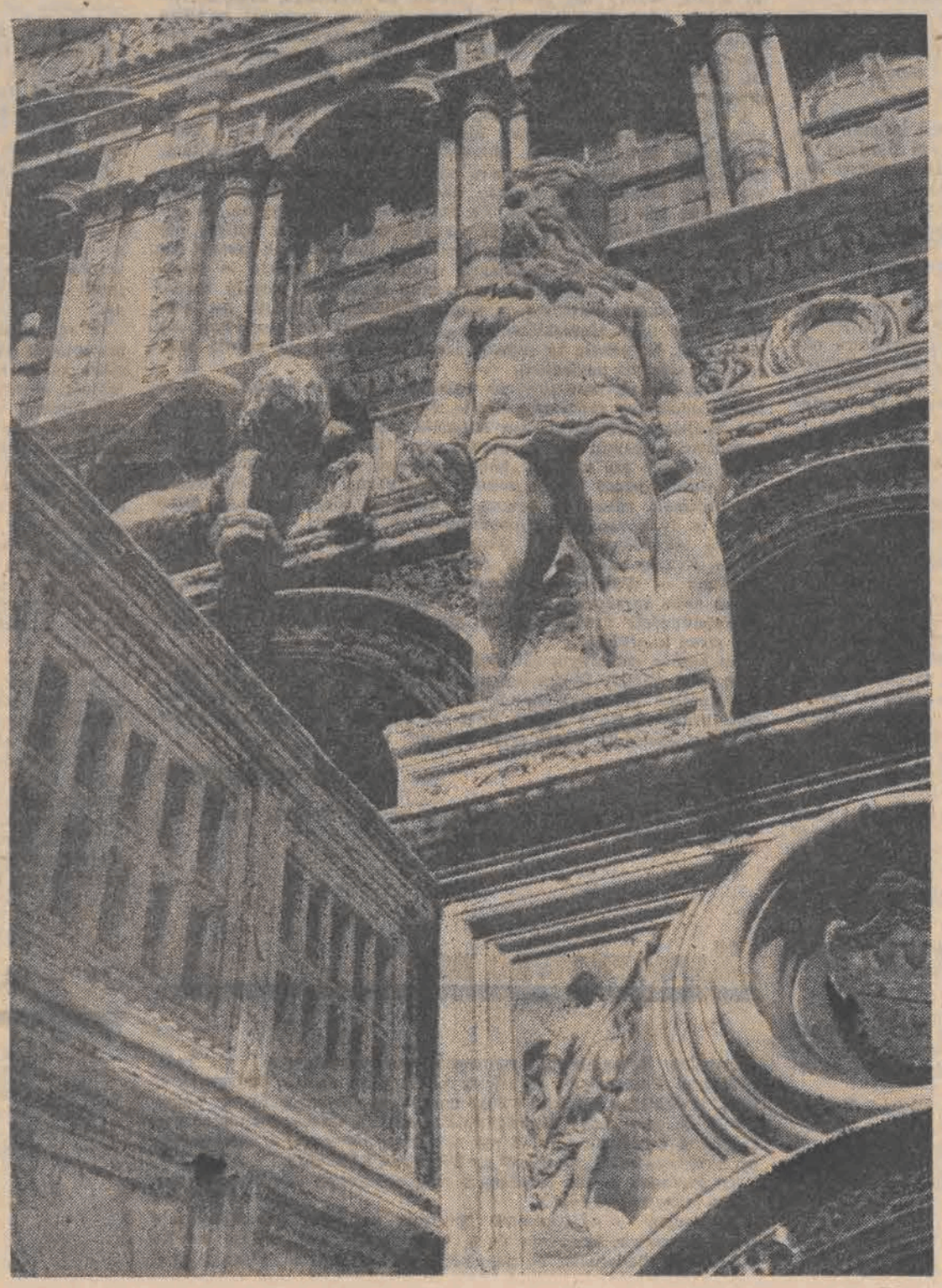

Polemiki • Listy • Opinie

„Kamikadze"

Cykl artykułów Pawła Tomaszewskiego wywołał szeroki odzew społeczny. Redakcja otrzymała wiele listów na ten temat. Kierujemy się zasadą, według której staramy się publikować wszystkie listy, które się do tego nadają. Chcielibyśmy tak postępować i w tym przypadku. Listy są jednak obszerne i jest ich dużo i dlatego zmuszeni jesteśmy do wyboru tych fragmentów listów, które wnoszą coś nowego, prezentują poglądy ich autorów czy stanowisko w omawianej sprawie. Autorów listów przepraszamy więc za dokonanie niezbędnych skrótów.

REDAKCJA

W tygodniku „Odgłosy" umieszczane są kolejne odcinki art. red. Pawła Tomaszewskiego pt. „Kamikadze". Muszę zaprotestować jako czytelnik, ponieważ czuje się w nich stronniczość. Mieczysław Rykała przedstawiony jest jako „kryształowy" człowiek, a wiemy jakie miał kłopoty w poprzednich miejscach pracy i w szkole naubliżał dyrektorowi Stanisławowi Cisakowi, a następnie użył siły w pokoju nauczycielskim. Rozważania nad świadectwami lekarskimi uważam, że nie miały żadnego znaczenia. Ważny jest fakt użycia siły i poniżania godności dyrektora zespołu. Sama przyczyna zwolnienia z pracy Mieczysława Rykały nie jest chętnie wspominana przez P. Tomaszewskiego i motywowana z podaniem ujemnych skutków społecznych. Zwykle podawanie takiej sprawy na kolegium do spraw wykroczeń kończy się karą grzywny i to dość wysokiej. Jak więc nazwać ten występek w specyficznym zakładzie pracy jakim jest szkoła. Czy nie był to czyn chuligański. Jakimi sprawami zajmują się „Odgłosy". W opisie losów życiowych bohatera „Kamikadze", Mieczysława Rykały brak jest konkretnych wymienionych zasług dla poszczególnych zakładów pracy. Jako specjalista — „hodowca" powinien pamiętać, że na jego pomoc fachową czeka wiele zakładów specjalistycznych. Zwłaszcza w okresie kiedy musimy się sami wyżywić.

JOLANTA STRZELCZYK
(Łódź)

Dyrektor ZSMR w Piątku Stanisław Cisak zwolnił z pracy kandydata na nauczyciela Mieczysława Rykałę za ubliżanie w sposób godny ubolewania i użycie siły w stosunku do przełożonego. M. Rykała od decyzji dyrektora odwołał się do Komisji ds. Pracy w Łęczycy, która oddaliła jego wniosek jako bezpodstawny. Następnie odwołuje się do Okręgowego Sądu Pracy w Warszawie, gdzie również przegrywa. Sam stwierdza, że w życiu nie ma szczęścia i wyrzucają go już z trzeciego czy czwartego zakładu pracy. Dlaczego p. Tomaszewski w każdym następnym artykule w sposób bardzo wyszukany stara się podrywać opinie zasłużonym ludziom oświaty i spółdzielczości. Należy się zastanowić czy Mieczysław Rykała nie jest już specjalistą w pozyskiwaniu dziennikarzy do tak brudnej pracy jaką jest pomawianie ludzi, którzy na wsi borykają się z trudnymi warunkami ucząc młodzież zawodu mechanizatora rolnictwa (...).

Boli mnie fakt, że prasa zamiast bronić praworządności broni bezprawia. Autor „wyłapuje" być może luki, aby w ten sposób skierować nas czytelników na inny tok myślenia. Uważam, że czytelnik to też człowiek myślący i odróżni prawdziwego pracownika oddanego zakładowi i ojczyźnie.

VIOLETTA BARTCZAK
(Łódź)

Dlaczego krytykuje się nauczycieli po nazwisku i imieniu i to bez żadnej podstawy. W każdym zakładzie, a tym bardziej w szkolnictwie musi panować porządek. Jako rodzice jesteśmy zawsze związani wraz z dziećmi z nauczycielami szkoły. Do chwili obecnej żadna z „gazet" nie podjęła się drukować artykułu, w którym komentowaniem chce się naprowadzić czytelnika na dane „wiązy" pracownikowi zwolnionemu z pracy. Z opisu jednak wygląda, że Mieczysław Rykała pracował już w różnych zakładach i tam również było mu źle.

Został zwolniony prawnie przez dyrektora Stanisława Cisaka. Komisja Odwoławcza do spraw Pracy w Łęczycy, a później Okręgowy Sąd Pracy w Warszawie poparli decyzję dyrektora odrzucając odwołanie niby „poszkodowanego" Mieczysława Rykały. Dlaczego więc prasa chce podważyć te decyzje i jednocześnie szukając „otworka w całym", ubliża w różny sposób nauczycielom.

W naszym województwie, jak czytałem w „Tygodniku Płockim", KW PZPR podjął uchwałę w sprawie tworzenia jednolitego frontu racjonalistycznego wychowania dzieci i młodzieży. Wiemy również, że nauczyciele wchodzą w różne metody środowiskowe, są radnymi, tworzą aktywy gminne, wchodzą w skład różnych komisji wyborczych. W takim układzie redakcja „Odgłosów" pomaga człowiekowi, który jak sam stwierdził — leczy się na układ nerwowy i był słusznie zwolniony z pracy. Działanie takie nie będzie scalało i tworzyło ten jednolity „front wychowawczy" w stosunku do młodzieży (...).

Obrona na „siłę", bo został zwolniony inżynier, uważam jako rolnik, nie daje korzyści społecznej. Jak można pisać, że młodzież szkolna jeździ do NRD tylko na handel i to podkreślając ich trudne sytuacje w zatrudnieniu. Czytamy tak dużo w prasie na temat wymiany wakacyjnej młodzieży NRD i Polski. Cieszymy się, że nasze kraje są zaprzyjaźnione i nasze dzieci mogą zwiedzać kraj naszych sąsiadów. Przecież razem budujemy lepsze i pokojowe dobro jutra. My jako rolnicy chcemy, aby był pokój, wiemy co to znaczy wojna (...).

Uważam, że nauczycielom wymienionym w artykule jak i również pracownikom nadzoru oświatowego należą się przeprosiny od prasy. Jeżeli Mieczysław Rykała jest tak zdolny i chętny do pracy, to na pewno rolnictwo nasze przyjmie go jako specjalistę z otwartymi ramionami, a tu może się wykazać już na pewno co potrafi.

ZDZISŁAW GÓRCZYŃSKI
(Wola Kałkowa)

Jestem pracownikiem fizycznym (kierowcą) jak również stałym czytelnikiem tygodnika „Odgłosy". Ostatnio zostałem głęboko poruszony treścią artykułu Pawła Tomaszewskiego pt. „Kamikadze".

Znam dobrze bohatera tego artykułu Mieczysława Rykałę. Wiem, że pochodzi ze wsi. Dzięki przemianom polityczno-społecznym, uzyskał wyższe wykształcenie w Akademii Rolniczej w Olsztynie z ogólną oceną bardzo dobrą. Jest działaczem społecznym, szczególnie w ruchu młodzieżowym wiejskim, tj. w Związku Młodzieży Wiejskiej. Z tego tytułu posiada cały szereg odznaczeń.

Ostatnio został powołany na Przewodniczącego Zespołu w Kolegium ds. Wykroczeń w Urzędzie Miejskim w Łęczycy. Jak wynika z treści artykułów p. Tomaszewskiego naraził się dyrekcji Technikum Mechanizacji Rolnictwa w Piątku, w wyniku czego nie pracuje. Zwolnienie nastąpiło w listopadzie 1983 roku i dotychczas M. Rykała nie pracuje, mimo że ma opinię dobrego nauczyciela i fachowca.

Jak to może być, nauczyciel fachowiec cieszący się uznaniem młodzieży i społeczeństwa w Polsce Ludowej jest bez pracy. Co na to władze wojewódzkie oświaty, jak i lokalne, a także Ministerstwo Oświaty? Czy może być tolerowana i sankcjonowana krzywda, z jaką spotyka się, wbrew szczytnym hasłom głoszonym o zwalczaniu wszelkiego zła społecznego, magister inżynier M. Rykała. Jestem przekonany, że po ukończeniu tego reporterskiego serialu opinia społeczna zostanie poinformowana o pozytywnym zakończeniu, tego wymaga właściwie pojęty interes społeczny (...).

TADEUSZ STARZYŻEWSKI
(Łęczyca)

List, który zdecydowałem się napisać ma na celu zaprzeczenie treści artykułu pt. „Kamikadze", który ukazał się w nr 29 z dnia 20 lipca 1985 r., jak również wyrazić swoje oburzenie. Paweł Tomaszewski rozmawiał ze mną na temat przeprowadzonej rozmowy z M. Rykałą i M. Jagiełłą, ale nie przypominam sobie abym wyraził się: „Zachowywał się przy tym jak szaleniec".

Taśma, która dostarczona została do redakcji, opisana została niezgodnie z treścią na niej zawartą, albo dostarczono inną taśmę. Treść zawarta w artykule jest nieprawdą.

Mieczysław Rykala ma prawo bronić się, ale metody stosowane przez niego i redakcję mają wiele do życzenia. Zarzuca się nam, że w obronie nie mieliśmy nic do powiedzenia. Rzeczywiście, w tym czasie wszyscy jednomyślnie uznali, że takie wypowiedzenie jest słuszne. (...).

W okresie od wyjazdu do NRD do chwili tego zajścia nikt w szkole M. Rykale nie dokuczał, a wręcz powierzono mu funkcję opiekuna ZMW oraz zaproponowano funkcję komendanta OHP. Kierownik warsztatów, jako bezpośredni przełożony przeprowadził z nim kilka rozmów na temat żądań, jakie przedstawił na zebraniu 30 sierpnia.

Fakty niewygodne Rykale prasa przemilcza. Nie pisze się o listach, które wysyła Rykała do ludzi, w których ubliża adresatom, szantażuje lub wręcz grozi. Pisze się o wielkich zasługach Rykały dla szkoły, który przepracował w niej aż 5 miesięcy, a ludzi pracujących przez wiele lat, których wyniki pracy można spotkać co krok, poprzez stronniczy artykuł publicznie ośmiesza się, bo tego inaczej nazwać nie można. Zarzuca się kradzieże, oszustwa itp., których nie było i na dodatek przedstawia się odpis sfałszowanej taśmy, z którego wynika, że to potwierdzam.

Przypadki szantażu z nagraną taśmą brdzo często występują w życiu M. Rykały. Podawanie nazwisk w prasie bez zgody zainteresowanych uważam za przestępstwo, zwłaszcza, że wiadomości podawane są z niepewnego źródła, a ludziom wyrządza się krzywdę.

WOJCIECH URBAŃSKI
(Piątek)

Listy napływające do redakcji po publikacji reportażu zawsze są potwierdzeniem tego, iż wzbudził on duże zainteresowanie Czytelników, a niektórych sprowokował nawet do głębszych refleksji. Dlatego też jako autorowi wypada mi tylko cieszyć się, że po reportażu pt.: „Kamikadze" listów tych nadeszło tak dużo — nawet jeśli wnioski w nich zawarte tak bardzo różnią się od siebie. Każdy ma przecież prawo do własnego zdania.. Nie będę ich więc komentował, ani tym bardziej narzucał swojego punktu widzenia. Nie mogę jednak nie zareagować na list zastępcy dyrektora Zespołu Szkół Mechanizacji Rolnictwa w Piątku, Wojciecha Urbańskiego, który zarzuca mi, delikatnie mówiąc, zawodową nierzetelność.

I tak, po pierwsze dziwię się, skąd Wojciech Urbański wie, że przebieg rozmowy pomiędzy nim a Marianem Jagiełłą i Mieczysławem Rykałą, której obszerne fragmenty przedstawiłem, nie odpowiada temu, co zostało nagrane na taśmę magnetofonową przez Mieczysława Rykałę, skoro Wojciech Urbański nigdy tej taśmy nie przesłuchiwał. Po drugie — jeśli wątpi on, że posiadam właściwą taśmę, to w każdej chwili gotów jestem odtworzyć mu nagranie dowolną ilość razy. Rozpoznanie głosów nie powinno przedstawiać większych trudności. Po trzecie — wszystkie dosłowne wypowiedzi bohaterów reportażu zostały zaznaczone w tekście kursywą, a zatem Wojciech Urbański nie musiał wcale użyć sformułowania: „Zachowywał się przy tym jak szaleniec". Wynikało to jednak jasno z tego, co mi mówił. Dlatego tak właśnie napisałem.

Co do innych zarzutów, to polecam powtórną lekturę wszystkich odcinków reportażu. Myślę, że po uważnym ich przeczytaniu Wojciech Urbański sam odpowie sobie na pytanie, czy rzeczywiście pomijam fakty „niewygodne" dla Mieczysława Rykały i czy istotnie nie miał on powodu odczuć, iż mu „dokuczano".

I jeszcze jedno: które „źródło" należałoby, zdaniem Wojciecha Urbańskiego, uznać za pewne, a które za niepewne, skoro różne osoby o tych samych wydarzeniach, w których uczestniczyły, mówią tak różne rzeczy? Dlaczego na przykład relacja Mieczysława Rykały miałaby być „źródłem" niepewnym, a — powiedzmy — Wojciecha Urbańskiego — pewnym, jeśli relacje te są ze sobą sprzeczne, a nie ma dowodów na potwierdzenie ich wiarygodności? Zresztą zawsze starałem się przedstawiać racje obu stron konfliktu.

Na koniec chciałbym również zwrócić uwagę że nie ma prostej zależności między liczbą przepracowanych lat a zasługami. Można przecież pracować nawet i 40 lat i nie mieć żadnych zasług, prawda? No, i można mieć też zasługi, ale popełniać mimo to błędy. Jesteśmy wszak tylko ludźmi!

PAWEŁ TOMASZEWSKI

P.S. Polecam emitowany właśnie przez telewizję serial pt.: „Układ krążenia".

„Zamordować psa"

Jesteśmy długoletnimi nauczycielkami pracującymi w Państwowym Przedszkolu nr 44 w Łodzi przy ulicy Sędziowskiej 18 a. Pragniemy wyrazić swoje oburzenie dotyczące formy podawania do publicznej wiadomości rzekomych, nie sprawdzonych wydarzeń dotyczących zabicia psa w naszej placówce, a zamieszczonych w tygodniku „Odgłosy" nr 27 z dnia 6.VII.1985.

Po pierwsze — nie ustalono z całą pewnością czy takie zajście miało faktycznie miejsce.

Po drugie — najgorszemu bandycie najpierw udowadnia się winę, wymierza stosowną karę, a dopiero potem podaje się do publicznej wiadomości co najwyżej inicjały jego nazwiska i imię. W tym wypadku czynem tym obciąża się ogół pracowników zatrudnionych w przedszkolu i publicznie szkaluje się dobierając perfidnych określeń w rodzaju „krwiożerczy personel".

Kto dał prawo Edwardowi Brylowi, aby podawał w wątpliwość morale całego personelu proponując nam pracę w rzeźni? Z wyjątkową złośliwością autor artykułu wypowiada się na temat naszej koleżanki Elżbiety Zarzyckiej, która także posiada wieloletni staż pracy i nienaganną opinię. Jest matką trojga dzieci i wychowuje je wzorowo. Cały personel może zaświadczyć, że koleżanka Zarzycka ma bardzo serdeczny stosunek do zwierząt i jest to nieprawdopodobne, aby mogła uczestniczyć w tak makabrycznym wydarzeniu. Czyżby tak wytrawny dziennikarz nie zdawał sobie sprawy, że swoimi nie sprawdzonymi wywodami obrzuca błotem i wykańcza psychicznie matkę trojga dzieci. To jest podłe!

Wyrządził krzywdę nie tylko jej, ale i nam niewinnym osobom, poderwał autorytet, zaufanie rodziców, dzieci i całego środowiska. Zaufanie budowane latami serdeczną, codzienną troskliwą pracą, w którą wkładamy tyle serca. Edward Bryl „brudnymi butiorami" zdeptał wszystko, co dotąd zrobiliśmy. Używa on wzniosłych słów dotyczących humanitaryzmu w stosunku do ludzi i zwierząt, a sam swoim artykułem splamił naszą godność. I to właśnie jest nieludzkie!

Widocznie w sezonie ogórkowym brak jest tematów do wywoływania taniej sensacji. Wymieniony artykuł spowodował nerwową atmosferę w placówce oraz wywołał lawinę złośliwych anonimów i telefonów, a także stał się przyczyną choroby serca koleżanki Elżbiety Zarzyckiej, która przebywała dwa tygodnie na leczeniu szpitalnym i nadal jest z tego powodu na zwolnieniu lekarskim. Autor artykułu podaje w wątpliwość morale i kwalifikacje personelu pedagogicznego. Twierdzi, że „panie nie mogą pracować dłużej z dziećmi" (tzn. my wszystkie nauczycielki) i proponuje nam pracę w rzeźni. Z uwagi na fakt, że większość naszych koleżanek przebywa na urlopach poza Łodzią nie są zorientowane, ile szkód moralnych wyrządził całemu personelowi ten artykuł. Jesteśmy przekonane, że będą tak samo oburzone i głęboko dotknięte jak my niżej podpisane. W imieniu wszystkich koleżanek nauczycielek i swoim wyrażamy protest i żądamy odwołania zarzutów.

Do wiadomości:

1. Wydział Oświaty i Wychowania Łódź-Bałuty.
2. Zarząd Okręgu Łódzkiego Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Nauczyciele Państwowego Przedszkola nr 44 w Łodzi

KRYSTYNA LASOŃ
KATARZYNA OZGA

Często się słyszy o przypadkach znęcania się młodzieży nad zwierzętami, tylko do tej pory nikt nie miał odwagi powiedzieć tego głośno. Może dzięki temu nareszcie będą się bali młodzi i dorośli zwyrodnialcy dręczyć bezbronne zwierzęta, a wszyscy wychowawcy będą wychowywać nasze dzieci w imię miłości i dobroci dla zwierząt, aby uchronić nasze środowisko przed zagładą.

KRYSTYNA SZTABA

Kto dziś maltretuje zwierzęta, jutro może się znęcać nad człowiekiem. Społeczeństwo cierpi dziś na znieczulicę, może jeśli obudzi się w nim prawdziwa miłość do zwierząt, i ludzie będą dla siebie lepsi.

GABRIELA GOSZCZKO

Zaręczam, że na podstawie materiałów, którymi dysponuje Wojewódzki Oddział Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Łodzi, można byłoby nakręcić mrożący krew w żyłach horror. Dlatego też publikowanie tego typu przykładów, uważam za bardzo pożyteczne i wskazane, ku przestrodze i zastanowieniu innych. Żadne zwierzę na kuli ziemskiej nie zabija dla przyjemności. A mówi się, że „człowiek to brzmi dumnie".

Przecież wiadomo jest, chyba wszystkim, o bezgranicznej miłości, wierności i oddaniu psa w stosunku do swojego pana. A czym czasami człowiek odpłaca tak wielkie zaufanie? Czy ludzie nie wiedzą, czy też może nie chcą wiedzieć, że psy wałęsające się po ulicach i wręcz żebrzące o miskę strawy, to właśnie psy wyrzucone przez swoich bezmyślnych właścicieli. Dobrze jest jeżeli trafią do schroniska, bo mają tam szansę na nowego pana.

W schronisku dla bezdomnych zwierząt wszystkie psie nosy przylepione są do siatki, jeżeli pojawi się obcy człowiek. Wszystkie garną się do wyciągniętej ręki, demonstrują swoje umiejętności — one po prostu chcą mieć dom.

Niedawno byłam z dzieckiem w ZOO. Aż dziw bierze, ilu mamy w Polsce analfabetów. Tabliczki o zakazie karmienia i drażnienia zwierząt w oczy kolą — takie duże — niestety ludzie tego nie potrafią czytać. Przy każdej klatce, prawie, stoją chętni do podzielenia się swoim prowiantem ze zwierzętami, i w jaki zachwyt wpadają, kiedy kózka karłowata zajada słone paluszki.

Byłam świadkiem sceny, w której tatuś zachęcał małe dziecko do wrzucenia cukierków kapucynce. Ponieważ dziecku to się nie udało, bo i za malutkie i za duża odległość, wspomniany tatuś, mimo drobnej siatki w klatce wykazał się wręcz małpią zręcznością, a minę bohatera obnosił jeszcze przez dobrych kilka minut.

Szkoda, że w naszym ZOO nie ma ekspozycji przedmiotów, które pracownicy znajdują podczas sekcji w przewodach pokarmowych i żołądkach zwierząt. Nie wspomnę już o męczarniach w jakich konają te zwierzęta. Czyżby i nawet w klatkach nie mogły czuć się bezpiecznie?! Czy i tam człowiek im zagraża?!

Nie twierdzę i nigdy nie twierdziłam, że zwierzęta są nietykalne. Mamy, bowiem, biologiczne prawo walczyć z nimi, gdy nam zagrażają. Jednak przegramy swoją przyszłość na Ziemi i los człowieka, jeżeli będziemy nadużywać tych praw.

Trzeba zrozumieć, że każde żywe stworzenie jest współobywatelem Ziemi, i żeby je poznać ludzie muszą wykazać się dużą życzliwością i szacunkiem dla jego życia i zwyczajów.

HANNA FIBAKIEWICZ

„M" — DLA CÓRECZKI

Na zaproszenie Rady Nadzorczej SM „Zarzew" odbyło się 16 sierpnia 1985 roku spotkanie z przedstawicielami redakcji „Odgłosów". Przedmiotem dyskusji były niektóre zarzuty wysunięte przez Edwarda Bryla w cyklu artykułów „M" — dla córeczki". Listy w tej sprawie oraz sprawozdanie ze spotkania opublikujemy w najbliższym numerze „Odgłosów".

REDAKTOR DYŻURNY

Polemiki • Listy • Opinie

Redakcja — Czytelnicy

ANDRZEJ BOGUSŁAWSKI — Łódź, Retkinia — Piaski: List otrzymaliśmy. Bardzo nas zainteresował. Drukowalibyśmy, ale zapomniał pan podać swój adres. Otóż od dawna kierujemy się zasadą, że skoro bierzemy na siebie odpowiedzialność — zgodnie z „Prawem prasowym" — za drukowane listy, jeśli ich autorzy nie chcą ujawnić swojego nazwiska i adresu, to muszą mieć do nas pełne zaufanie, że — również zgodnie z „Prawem prasowym" — nie ujawnimy ani tych adresów, ani nazwisk. Poza tym „Prawo prasowe" nakazuje nam (Art. 12 pkt. 1) „zachować szczególną staranność i rzetelność przy zbieraniu i wykorzystywaniu materiałów prasowych", a więc i przy wykorzystywaniu listów. Dlatego przypominamy wszystkim: dziennikarz „Prawem prasowym" jest zobowiązany do zachowania tajemnicy zawodowej, a więc — jak to ujmuje Art. 15 pkt. 2 — „danych umożliwiających identyfikację autora materiału prasowego, listu do redakcji lub innego materiału o tym charakterze". A więc, jeśli ktoś pisze do nas list, to musi wiedzieć, że powinien podać imię, nazwisko, adres i ma prawo zastrzec te dane tylko do wiadomości redakcji lub konkretnego dziennikarza. I ani redakcja, ani dziennikarz nie mogą tego ujawnić, chyba że w sądzie i to w określonych warunkach.

W liście Andrzeja Bogusławskiego znajdują się poważne oskarżenia wobec ludzi pracujących w spółdzielczości mieszkaniowej. W tej sytuacji, skoro nie znamy adresu nadawcy listu, a możemy domniemywać, że również imię i nazwisko jest fikcyjne, nie możemy listu wydrukować, gdyż naruszylibyśmy tym Art. 12 pkt. 1 „Prawa prasowego". Nie możemy również sprawdzić wszystkich podanych zarzutów. W tej sytuacji — zgodnie z prośbą autora listu, że gdybyśmy nie mogli listu wydrukować, to należy go przesłać do IRCh — przesyłamy list do Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej.

Przy okazji informujemy naszych Czytelników — Andrzej Bogusławski przyznał się bowiem, że nie zna adresu IRCh — że siedziba Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej w Łodzi znajduje się w alei Leona Schillera pod numerem 8.

REDAKTOR DYŻURNY

„OBIADEK"

W związku z ukazaniem się notatki prasowej pt. „Obiadek" zamieszczonej w tygodniku „Odgłosy" z dnia 6.07.br. przeprowadzone zostało postępowanie wyjaśniające, które nie potwierdziło zarzutów krytycznych dotyczących działalności restauracji „Kaskada" w Łodzi. Z uwagi na to, że w treści notatki nie podano konkretnej daty, w której nastąpiły opisane zdarzenia, kontrolą objęto okres kilkunastu dni poprzedzających ukazanie się numeru tygodnika. Ponieważ rytyka dotyczy wielu tematów, wyjaśniamy je kolejno.

Restauracja zgodnie z zatwierdzonymi godzinami pracy placówki przez Urząd Dzielnicowy Łódź-Śródmieście czynna jest w godzinach 11.00—2.00 codziennie, jedynie w poniedziałki 11.00—21.00. Kawiarnia natomiast codzienie w godz. 10.00—22.00.

Dla jasności podajemy, że główne wejście do restauracji i kawiarni jest jedno i niemożliwością jest, aby do godz. 13.00 mogły być drzwi zamknięte. Pragniemy poinformować, że w restauracji do godz. 13.00 tzw. „pory obiadowej" podawane są potrawy na zimno z pieczywem, desery, napoje gorące i zimne.

Kontrola w zakresie obowiązującego minimum asortymentowego nie wykazała żadnych nieprawidłowości w tym zakresie. Natomiast odnośnie braku w sprzedaży befsztyka tatarskiego podajemy, że zgodnie z zakazem wydanym przez Wojewódzki Inspektorat Sanitarny w Łodzi w okresie od 1.04. do 31.10.br. w placówkach gastronomicznych nie prowadzi się produkcji i sprzedaży befsztyka tatarskiego. Aby uniknąć jakichkolwiek przypadków zatruć pokarmowych powyższy zakaz jest przez nas ściśle przestrzegany.

Sprawę krytyki zespołu muzycznego uważamy za załatwioną poprzez artykuł z dnia 20.07.br., w którym Jolanta Wrońska przeprasza członków zespołu za niesłuszną i obraźliwą treść pod ich adresem.

Ponadto informujemy, że zebrania egzekutywy i wszelkie inne spotkania „gastronomiczne" nigdy nie odbywały się w salach konsumenckich naszych placówek w godzinach kiedy mają one służyć konsumentom. Jest to insynuacja piszącego artykuł bez żadnego pokrycia. Podając powyższe fakty, nasuwa się stwierdzenie, że artykuł — być może żartobliwy dla autora, lecz jego treść z pewnością ujemnie odbije się na opinii łódzkiej gastronomii, a pewne jego fragmenty obrażają zatrudnionych w tej restauracji pracowników. Dlatego też prosimy, aby w przyszłości podobne informacje były należycie zbadane przed podaniem ich w prasie.

MONIKA PEREK
(Prezes Zarządu Oddziału Gastronomii)

Do wiadomości:

1. Rzecznik Prasowy Prezydenta Miasta Łodzi
2. „Społem" PSS — Zarząd
3. Dział Sprzedaży.

LIST Z RETKINI

Zgadzam się w zupełności z uwagami pana A.Z. na temat spółdzielczości mieszkaniowej zamieszczonymi w Nr 21 „Odgłosów" z dnia 25.V.85 r. Nie wiem do jakiej spółdzielni pan A.Z. należy — ale to nieważne. Z całą odpowiedzialnością natomiast stwierdzam, że zdrowy ruch spółdzielczy już dawno został wypaczony także w jednej bodaj z największych spółdzielni mieszkaniowych, jaką jest RSM „Polesie". Poprzez działanie Dyrekcji i „satelitów" ta Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa stała się po prostu „Prywatnym Przedsiębiorstwem pana Dyrektora i S-ki". Statut Spółdzielni uchwalony na Zebraniu Przedstawicieli dnia 28 czerwca 1983 r. jest tak skonstruowany, że doskonale hamuje społeczno-kontrolną funkcję Rady Osiedla. Jest pełen niedomówień, ogólników i sprzecznych ze sobą sformułowań pozwalających na dowolną interpretację paragrafów, ale za to daje bardzo szerokie uprawnienia Radzie Nadzorczej, która całkowicie podporządkowana jest Dyrekcji.

Pan Dyrektor otoczył się oddanymi sobie ludźmi, a jeśli znajdzie się grupa działająca nie po jego myśli, tak jak to ma miejsce np. w nowo obranej Radzie Osiedla Retkinia-Piaski — ale na rzecz poprawienia życia mieszkańców osiedla, to są szykanowani i atakowani od samego początku przez cały „aparat władzy" pana dyrektora, członków Rady Nadzorczej i dawnej Rady Osiedla. Ci ostatni nie mogą się pogodzić z duchem odnowy i „dobrą robotą" w nowej Radzie Osiedla, starają się działać destrukcyjnie i z całym wyrafinowaniem szkodzą, łamiąc nawet statut Spółdzielni.

Dziwi po prostu fakt, że pan dyrektor RSM „Polesie" tak bardzo boi się działania nowej Rady Osiedla Retkinia-Piaski. Organizuje przeciwko jej członkom całe akcje, aby nastawić do nich złe mieszkańców.

W RSM „Polesie" dzieje się bardzo źle. To chory organizm, a choroba, która go toczy, pospolicie nazywa się klika. Taki stan trwa już od całego szeregu lat i już był wtedy, kiedy obecny dyrektor RSM „Polesie" działał społecznie na osiedlu „Piaski" w roku 1979 i 1980. W roku 1981 był przewodniczącym Komitetu Osiedlowego a jednocześnie przewodniczącym Komisji Rewizyjnej przy Radzie Nadzorczej Spółdzielni.

Najlepszym dowodem, jak daleko posunięty jest rozkład moralny panujący w tej Spółdzielni, jest postawa Dyrekcji, członków Rady Nadzorczej i członków dawnej Rady Osiedla na ostatnim bardzo burzliwym zebraniu mieszkańców w dniu 13.V. br.: Dyrekcja zaprosiła na to zebranie jednego z „członków" Spółdzielni — Zbigniewa K., który już od kilku lat powinien być wykluczony ze Spółdzielni za łamanie statutu par. 55 p. 1, 2, 3, 5. Ale to jest oddany i zaufany kolega pana dyrektora, z którym razem kiedyś współpracował w Centralnym Związku Lustracji Spółdzielczości Mieszkaniowej. Obecnie już od półtora roku jest wymeldowany na stałe z osiedla i mieszka gdzieś pod Kaliszem, gdzie prowadzi piekarnię. Powiadomiony o zebraniu przez Dyrekcję, za przyzwoleniem nieświadomych całej sprawy mieszkańców, zabrał głos w dyskusji i zaatakował działaczy Rady Osiedla argumentami przygotowanymi mu przez kolegów z Dyrekcji i Rady Nadzorczej. Wspierał go w tym ataku lojalny zawsze wobec Dyrekcji — wiceprzewodniczący Rady Nadzorczej ob. Ryszard S., przy milczącej aprobacie przewodniczącego Rady. Członek zaś Rady już na samym wstępie podał do porządku zebrania wniosek o rozwiązanie obecnej Rady Osiedla. Jak widać, w tak przygotowanej akcji nie szczędzono wysiłków, aby tylko przeszkodzić w dobrym przebiegu zebrania. Pełnomocnik Zarządu RSM „Polesie" wprost tragicznie bronił praw rzekomo „statutowych" do obecności na tym zebraniu ob. Zbigniewa K., zawezwanego tu właśnie aż spod Kalisza. Ale nieliczna wprawdzie, ale już świadoma grupa mieszkańców ostro zaprotestowała na te bezczelne ataki i o mało co nie skończyło się rękoczynami, a przewodniczący zebrania zwrócił się nawet do obecnego na sali funkcjonariusza milicji o wyprowadzenie Zbigniewa K. z sali.

Obecny na zebraniu Naczelnik Dzielnicy Polesie ob. H. Baliński, stwierdził podsumowując zebranie, co zostało zaprotokołowane, że „wyjdzie z tego zebrania zaniepokojony napiętą sytuacją na linii Samorząd — Rada Nadzorcza — Zarząd oraz że „sprawa jest poważna".

Tak jest istotnie. O tym co się dzieje na linii Rada Osiedla Retkinia „Piaski" a RSM „Polesie", członkowie Prezydium Komitetu — Rady Osiedla sygnalizowali od samego początku ich wyboru władzom Dzielnicy i Miasta. Czas najwyższy, aby uzdrowić wreszcie stosunki panujące w Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej, aby była prawdziwie „Robotniczą".

PS.

Jest godne zastanowienia i zadumy, że po zebraniu mieszkańców 13 maja 1985 r. na „Piaskach" nikt z obecnych czynników urzędowych nie podjął żadnego działania, na które bardzo Samorząd — Rada Osiedla liczyła. Zebranie było po prostu skandalem. Ujawniło z całą ostrością negatywne ustosunkowanie się Dyrekcji RSM „Polesie" i Rady Nadzorczej do Prezydium Rady Osiedla. O działaczach społecznych na „Piaskach" urobiono opinię pieniaczy, konfliktowych, kłótliwych, omal że opozycjonistów in spe do PRL. Chciano nas po prostu złamać i zniechęcić do pracy społecznej, a przynajmniej zawrócić z obranej i naszym zdaniem słusznej drogi do poprawienia życia mieszkańców osiedla.

Rada Nadzorcza uznała nasze działanie jako „naganne", uchwały do niej kierowane za „nieformalne i niezgodne ze statutem". Żadnego współdziałania. W pismach do nas kierowanych były tylko pouczenia, krytyka graniczące z arogancją „władzy", jaką niektórzy członkowie Rady sobie przypisywali. Najbardziej nieprzyjazne stanowisko wobec Prezydium Rady Osiedla zajmował wiceprzewodniczący Rady Nadzorczej ob. Ryszard S., jak na ironię członek grupy przedstawicieli z osiedla „Piaski", skąd wszedł do Rady Nadzorczej RSM „Polesie". Pozostali dwoje z tej grupy też mu sekundowali. Do walnego zebrania przygotowaliśmy się bardzo starannie, ale i Dyrekcja robiła wszystko, aby wyłączyć z niego niewygodnych dla siebie społeczników z osiedla „Piaski". Obmyślono perfidnie — wprowadzono brutalnie! Pod pretekstem uchybień statutowych, śledzono po prostu każde nasze poczynania — robiliśmy wszystko zgodnie ze statutem. Unieważniono uchwały zebrania mieszkańców z 11.6.85, które miały się znaleźć na walnym zebraniu. No i się nie znalazły. Cel osiągnięto. Po nieudanych próbach zjednania sobie wiceprzewodniczącego ob. Mariana Kowalskiego pewnymi osobistymi korzyściami — znaleziono sposób na wyłączenie go w ogóle z pracy społecznej. Na kilka dni przed Walnym Zebraniem wręczono mu zawiadomienie, że nie jest członkiem Spółdzielni, nie może więc być przedstawicielem, a co za tym idzie nie może kandydować do Rady Nadzorczej. Doszukano się tego po sześciu latach, co było tylko nieporozumieniem i świadczyło o wielkim bałaganie w pracy Spółdzielni. Ale drugi cel też osiągnięto!

To jego właśnie najbardziej obawiała się Dyrekcja i niektórzy członkowie Rady Nadzorczej. Ob. Marian Kowalski bardzo energicznie i z całym poświęceniem oddał się pracy społecznej i należy przyznać, że zrobił bardzo dużo dla osiedla. Ekonomista, z wyższym wykształceniem — umiał liczyć, być dociekliwy i konsekwentny w działaniu. Pracował z pasją i tym właśnie naraził się Dyrekcji i Radzie Nadzorczej.

Liczono zapewne na to, że i ja ustąpię jako przewodnicząca, a ze mną i inni członkowie Rady Osiedla. Stało się inaczej. Jako członek zebrania przedstawicieli i przewodnicząca Samorządu Mieszkańców Rady Osiedla złożyłam wniosek o nieudzielenie absolutorium dyr. RSM „Polesie", Prezydium Rady Nadzorczej i Pełnomocnikowi Zarządu za złamanie statutu Spółdzielni, za wprowadzenie kumoterstwa i kliki od szeregu lat, za utrudnianie pracy Rady Osiedla przez wytwarzanie atmosfery nieufności mieszkańców do członków Prezydium, za obniżanie autorytetu działacza społecznego. Oczywiście wniosek mój upadł.

Sądząc po atmosferze panującej na zebraniu walnym — wcale nie liczyłam, aby mogło być inaczej. Nikt z zebranych przedstawicieli (a nigdy tu nie ma pełnego składu 120 — dobrze jeśli jest połowa) nie zapytał o wyjaśnienie mojego stanowiska. Na ten temat nie było żadnej dyskusji. Prowadzący zebranie ob. Wiesław J. zaproszony przez Dyrekcję sam sugerował swoimi uwagami na temat moich wniosków, jak należy je przyjąć, aby wszystko poszło po linii Dyrekcji i aby nie ucierpiał na tym skład Rady Nadzorczej. Przedstawiciele chcieli jak najprędzej pójść do domu. Walne Zebranie zakończyło się. Dyrekcja i niektórzy członkowie Rady Nadzorczej odetchnęli z ulgą, że tak wszystko gładko poszło. Co mogłam zrobić — to zaprotestowałam przeciwko temu co tu się działo przed zebraniem i na samym zebraniu, wysyłając mój protest do nadrzędnych władz Spółdzielczości Mieszkaniowej, do Miejskiej i Dzielnicowej Rady Narodowej. Stare przysłowie mówi „nec Herkules contra plures", a ja mam nadzieję, że głos mój nie będzie jedyny, że wyjdzie poza mury sali obrad Spółdzielni Mieszkaniowej „Polesie" i będzie dosłyszany. Czas pokaże.

MARIA SOBOCKA
(Przewodnicząca Samorządu Mieszkańców)

W SPRAWIE GUSTÓW I OCEN

Na marginesie interesujących rozważań o kulturze Lucjusz Włodkowski stawia pytanie: „Dlaczego gusty i oceny krytyków rozmijają się z gustami i ocenami masowego odbiorcy?" (ODGŁOSY nr 23/85). Podziela tę troskę Lucjan Bogusz, zauważając jakby z filozoficzną rezygnacją: „Poza tym — tak się już w tym kraju dzieje — że gusty krytyków i czytelników nie chodzą parami" (ODGŁOSY nr 27/85). Ponieważ artykuł „Rozumieć swój czas" kończy się wezwaniem do nieobrażania się, mam nadzieję, że autorzy nie obrażą się, gdy wypowiem swoje odmienne zdanie.

Należałoby się martwić, gdyby gusty i oceny krytyków i masowego odbiorcy były jednakowe. Co do gustów bowiem, kwestię tę „przewalczyli" już starożytni Rzymianie zalecając maksymę „de gustibus non disputandum est". Wiadomo, (nie tylko gnębionym łaciną w szkołach), że znaczy to: „o gustach nie należy dyskutować". Starożytni Polanie określali to jeszcze zwięźlej: „są gusta i guściki". Jest sens natomiast w namyśle, dlaczego ci lub owi mają takie, a nie inne gusty i czyje gusty Państwo, jako wszechpotężny Mecenas, ma popierać.

Co do ocen, to muszą się one różnić, ponieważ każda ocena opiera się na jakimś mierniku, kryterium, a te są nieraz bardzo skomplikowane, niejasne, często sprzeczne ze sobą. Dokonywać oceny czegokolwiek, to rzecz niełatwa. Nie wystarczy „instynkt klasowy", poczucie piękna, poczucie humoru; trzeba posiąść wiedzę o przedmiocie ocenianym, o wpływie danego dzieła sztuki na masowego odbiorcę. W przeciwnym wypadku, po cóż byśmy kształcili muzykologów, teatrologów, redaktorów itp.?!

E.T.K.

E.T.K. (nazwisko i adres znane redakcji) albo czegoś nie zrozumiał, albo udaje, że nie rozumie. Nikomu nie chodzi o to, aby wszyscy mieli takie same gusty. Wiadomo nam również, że starożytni Rzymianie myśleli o gustach. Dziwi nas natomiast taka sytuacja, że krytycy coś chwalą, piszą uczone rozprawy, a ludzie po prostu tym się nie interesują. I bywa odwrotnie: krytycy ganią, wybrzydzają, a ludzie tym się zachwycają. Skąd się bierze taka rozbieżność w sądach? O to nam głównie chodziło. I woale nie wydaje się, aby chodziło tu głównie tylko o wiedzę. Nie kwestionujemy potrzeby wiedzy. Przeciwnie. Ale wydaje się nam, że krytycy powinni przedstawiać swoje opinie dla ludzi, z myślą o odbiorcach, a nie prezentować je tylko sobie wzajemnie. Tej myśli E.T.K. jakby nie zauważył.

L.W. i L.B.

„ST CYTRYNA" PROPONUJE

Kulturalne Centrum Medyków „ST CYTRYNA" działające przy Akademii Medycznej w Łodzi jest organizacją akademickiego ruchu kulturalnego otwartą dla wszystkich zainteresowanych środowisk. W oparciu o bazę własną oraz instytucji współpracujących z nami, prezentujemy szerokiemu odbiorcy dokonania kulturalne i artystyczne środowiska akademickiego oraz innych środowisk twórczych.

W ramach Centrum funkcjonują następujące działy: teatralny, muzyczny, taneczny, kabaretowy, plastyczny, literacki, video-filmowy, fotograficzny, dyskusyjny klub filmowy, wydawniczy, impresaryjny, organizacyjno-techniczny.

Jesteśmy zainteresowani utrzymywaniem stałych kontaktów kulturalnych z innymi środowiskami, w ramach których chcielibyśmy systematycznie prezentować nasze zespoły artystyczne. Na zasadach wzajemności udostępnimy naszą bazę lokalową innemu środowisku kulturalnemu, któremu zapewnimy impresariat, reklamę oraz obsługę techniczną. Uczestniczymy programowo i organizacyjnie w imprezach kulturalnych. Utrzymujemy międzynarodową wymianę kulturalną.

Wydajemy własne czasopismo debitowe, którego odbiorcami są środowiska akademickie, organizacje kulturalne i inne zainteresowane jednostki w kraju i za granicą.

Oczekujemy na ofertę kulturalną z innych środowisk.

Dodatkowo dysponujemy możliwością nawiązania współpracy w zakresie reklamy i promocji przedsiębiorstw i towarów związanych z kulturą.

WALI SIĘ!

Szanowny Panie Redaktorze!

Zmęczony pracą, wzrostem cen umownych, a także produkcją korespondencji, które Pan bądź to umieszcza, lub nie — jadę na wakacje! I właściwie powinienem poprzestać na trosce o własne zdrowie (nadwerężone w tym roku 10-tygodniowym pobytem w szpitalu, bez szczególnych pozytywnych wyników, o czym może przy okazji), lecz jeszcze raz pozwalam sobie na zwrócenie publicznej uwagi na problem: wali się!

Co się wali? Ano schody w naszych, na miarę tysiąclecia przejściach podziemnych na skrzyżowaniach Piotrkowskiej i Głównej (pardon — Al. Mickiewicza) oraz Sienkiewicza i tejże.

Chyba półtora roku temu pozwoliłem sobie na publikację o śliskich, wyszlifowanych podestach, mojej przygodzie, dzięki której prawa ręka nie działała przez jakiś czas. Także — wróżyłem kilka smutnych wypadków na skutek braku poręczy. Co z tego się sprawdziło, a co nie — nie wiem, bo nie śledziłem zbyt dokładnie kroniki wypadków. Jeśli takowych nie było — chwała Bogu!

Lecz wszystkie te wątpliwości i trudności niebawem znikną: gdyż zamiast schodów — będziemy mieli równię pochyłą! Na niej — liczne pokolenia łodzian i przybyszów turystycznych, którzy miast pokonywać owe schody — będą się „turlać pojedynczo" (Pan wybaczy moją zbyt dobrą pamięć jeśli chodzi o literaturę dziecięcą), aby tylko nie nadwerężać nadmiernie szczęk o wystające kamienie. Natomiast — jak się będą wydobywać do góry — nie wiem.

Gdyby ktoś wątpił w prawdziwość tego, co piszę — proszę o wyznaczenie terminu oględzin, w których wezmę udział, nawet gdybym musiał urlop przerwać. Schody się po prostu rozsypują. Te szlachetne kamienie, szlifowane i wygładzane — osadzone były chyba na piasku. Dziś — większość z nich jest wyraźnie przesunięta i nie pomagają wylewki z cementu. Aż dziw — że jeszcze nikt tego nie rozkradł, aby wykorzystać do budowy domków jednorodzinnych.

I gdyby powiedziano mi — że są one (schody) nadmiernie obciążone — a stąd ich obecny stan — odpowiem: konia z rzędem temu, kto sądził, że będą to peryferie Łodzi! Nietrudno przecież było przewidzieć, że chodzą tam dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi dziennie!

W przejściu podziemnym, o którym tyle pisał jeden z korespondentów „Odgłosów" — widnieje tablica, na której wymieniono projektantów i wykonawców tej budowli. I już chciałem coś z niej zacytować, lecz pomyślałem, że na pewno usłyszę: „...zostaw Waść, miej serce, bo wstydu brak...!".

Tak więc zastanawiam się, czy wykonawcy tego bubla wielkomiejskiego poczuwają się do obowiązku poprawienia, czy też „zgodnie z przepisami" oświadczą, że (wybaczcie żargonowi prawniczemu) — „roszczenia wygasły"?

I z tą wątpliwością w pamięci żegnam się z P. Redaktorem i Czytelnikami.

Do usłyszenia znad morza!

W. AFELT

Odłączył regulator mózgu, bał się dalszych prób, które mogły się skończyć w sposób zgoła nieoczekiwany. Nieco zrezygnowany powrócił do kabiny nawigacyjnej. Z przyzwyczajenia sprawdził działanie urządzeń rakiety, ale i tym razem nie wykrył żadnych usterek. Szybowała pełną mocą silników falowych w stronę planety ludzi. Doskonały statek, idealna miniatura „Adary". Droga daleka, czas zasnąć — pomyślał z niechęcią. Radiotelek, odbywający długi rejs międzygalaktyczny nie miał — teoretycznie rzecz biorąc — żadnych kłopotów z czasem. Przeciętna prędkość statków kosmicznych była większa niż światła, równała się właśnie prędkości mijania czasu gwiezdnego. W świetle nauki, znaczy teoretycznie — pilot winien wracać z każdej podróży w tym samym wieku, ani młodszy, ani starszy. Praktyka nie zawsze jednak potwierdzała teorię — zdarzało się niejeden raz, że rakieta musiała zwalniać, wskutek awarii, ale i z innych powodów, hamowały ją ławice pyłów, gęstych gazów i wtedy czas jakby przyśpieszał, uruchamiając proces starzenia się. Dlatego obowiązywała ściśle przestrzegana zasada usypiania.

Sprawdził ponownie sprawność pilota automatycznego. Był to wielofunkcyjny robot łudząco podobny do Unuka. Kierował nie tylko statkiem, ale i dowodził grupą „kolegów" — robotów wysoko wyspecjalizowanych, odpowiadających za pracę silników, ogrzewanie czy oświetlenie, usuwających zawsze w porę każdą awarię. Wrócił do kabiny hibernetycznych snów. Harion spał spokojnie. Człowiek to jednak skomplikowana istota rozumna — pomyślał jeszcze — pragnie posiadać prawdziwą, autentyczną tożsamość. Niczego nie da mu się wmówić, ani sztucznie zaszczepić. Tylko przez krótki czas, zapewne wiedziony tęsknotą czy wielką potrzebą, będzie wierzył, że odnalazł swój stały ląd, dom rodzinny, matkę i ojca, macierzyste środowisko, naród, ale to — jak widać — nie trwa długo, powraca znowu jakaś przeraźliwa pustka. Kimże więc okaże się Harion podczas ponownego spotkania z ludźmi? A jeśli powróci mu pamięć o dawnym posłuszeństwie wobec Demoriona? Co wtedy, co się stanie z ludźmi, jeśli Demorion rzeczywiście nadleci?

5.

Profesor Szeheran zakończył wykład następującymi słowami:

— Największym wrogiem poznania prawdy o Wszechświecie jest dla nas czas. Przypominam państwu na wszelki wypadek, że stosowaną na ziemi miarą czasu i odległości jest parsek, który równa się trzem koma dwa latom świetlnym. Inne cywilizacje, jeśli w ogóle istnieją, porozumiewają się być może innymi sposobami, których człowiek nie wykrył i nie wiadomo, czy kiedykolwiek je wykryje, bo to kwestia długiego czasu. Mamy do dyspozycji fale Hertza niezbyt, jak wiecie, szybkie, możliwe więc, że dotrą one do innych cywilizacji po kilku, albo i kilkunastu tysiącach parseków, a więc wtedy, gdy po człowieku nie pozostanie na naszej ziemi nawet śladu. Tak właśnie działa czas. Ergo — nie można nic pewnego powiedzieć na temat istnienia czy też nieistnienia innych cywilizacji na niezmierzonych przestrzeniach Wszechświata. Dziękuję państwu!

Profesor skłonił się elegancko i odszedł do swojej pracowni. Młodzież ruszyła gromadnie do bufetu, półgodzinna przerwa pozwalała na drugie śniadanie. Był to akurat „dzień kobiet", więc studenci obsiedli długie stoły, a przedstawicielki płci pięknej podawały kawę, herbatę i kanapki. Panował nastrój podniecenia, co najmniej połowa słuchaczy nie zgadzała się z profesorem.

— To nie był ściśle naukowy wykład — rozpoczął dyskusję przystojny student, popularny na uczelni Duduś — nasz Szeri robił wyraźne uniki ze względu na kiepściutką sytuację międzynarodową.

— Bredzisz, Dudusiu, czego Szeri w końcu unikał?

— Jesteś osłem, który nie słyszy jak głupio ryczy. Obowiązuje ogólne zalecenie — tłumaczyć w prasie, radiu i telewizji, w szkołach i wyższych uczelniach, wyjaśniać dzieciom przed snem i ludziom przy warsztatach pracy, że nic się takiego nie stało, nie było żadnej ingerencji czynnika pozaziemskiego w nasze ziemskie sprawy. Chodzi o spokój, rozumiesz?

— Postaram się, jeśli będziesz gadał do rzeczy, a przede wszystkim konkretnie. Rozumiem, na przykład, że ludzie dostają ciężkiego hysia, zwłaszcza na tamtej półkuli, boją się kosmitów, czy może tylko jakiegoś jednego cwaniaka z niewiadomej planety, który miał podobno przedstawić wielkim producentom broni gustowny plan zwycięstwa w wojnie nuklearnej. Ludzie szaleją ze strachu, więc trzeba ludzi uspokajać, wyjaśniać, że to bujda, nie ma żadnego kosmity, wszystko jest w naszych rękach.

— Mądrze mówi — odezwały się dość liczne głosy.

— To nie jest bujda, — replikował stanowczo Duduś — sam widziałem tego osobnika i nie tylko ja.

Rozległ się chóralny śmiech.

— Ukradł ci koszulę i portki podczas wakacji, co?

— Owszem. I buty miejscowemu prezesowi spółdzielni.

Po tych słowach już zdecydowana większość młodzieży pokładała się ze śmiechu.

— Przyleciał biedaczek z innej galaktyki bez portek i butów! Oj, Duduś, Duduś! Powiedz jeszcze coś wesołego, bo na świecie rzeczywiście smutno.

I w tym właśnie momencie poparł Dudusia nieoczekiwanie jeden z zagorzałych jego przeciwników zwany potocznie Czupurkiem z racji niezwykłej chęci spierania się z każdym.

— Nie zrozumieliście Dudusia, pasożyty! Rzecz nie w tym, kto ukradł prezesowi buty, a naszemu Dudusiowi portki. Szeri ma przykazane „z góry", żeby unikać rzeczowych wypowiedzi na temat pozaziemskich cywilizacji. Właśnie teraz, kiedy znaczna część ludzkości ma panicznego pietra przed ingerencją złowrogich a potężnych kosmitów. Nie mamy innego wyjścia panowie i panie, trzeba jakoś zmusić Szeriego do dyskusji na ten właśnie temat. Taki się narzuca wniosek z wypowiedzi Dudusia niezależnie od powikłanych losów jego spodni. Kto jest — za?

Wszyscy byli — za. Do końca przerwy „grupa ekspertów" przygotowała szereg podchwytliwych pytań pod adresem sławnego profesora. Dyskusje wybitnych uczonych ze studentami, szczere i nieskrępowane, przynosiły uczelni popularność nie tylko w kraju, ale i na świecie. Stąd napływ młodzieży z różnych kontynentów, bardzo zróżnicowanej w poglądach filozoficznych, społecznych czy politycznych. Wszyscy zdobywali rzetelną wiedzę, ale mogli także wypowiadać swobodnie swoje poglądy bez narażania się na jakiekolwiek przykrości.

Szeheran wrócił na salę wykładową punktualnie i otworzył dyskusję. Pierwszy wystąpił Czupurek.

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

(5)

Dzieci kosmosu

— Szanowny panie profesorze! Według hipotezy Orgela i Cricka życie zostało przesłane na naszą ziemię w odpowiednich pojemnikach z żywymi zarodkami. Musiały to być drobiny DNA czyli kwasu dezoksyrybonukleinowego, który — jak wiadomo — składa się z nukleotydów, a ich sekwencje tworzą kod genetyczny każdej żywej istoty naszego globu. Ponieważ ilość nukleotydów w DNA jest olbrzymia, stąd obfitość form życia. Z tego punktu widzenia — człowiek i w ogóle życie na ziemi dowodzi istnienia innych lub co najmniej jeszcze jednej cywilizacji rozumnej w kosmosie, która te zarodniki przesłała. Co pan profesor o tym sądzi?

— To samo co pan. Sam pan przecież powiedział, że to tylko hipoteza.

Spodziewano się takiej odpowiedzi. Młodzież uznała ją nawet za bardzo obiecującą, jakby nie było, profesor „chwycił" temat. Z kolei zabrał głos Duduś.

— Panie profesorze, przecież w specjalistycznych kręgach poważnych naukowców mówi się całkiem serio o panspermii kierowanej, inaczej mówiąc o obsiewaniu kosmosu życiem, świadomym i celowym, kierowanym przez wysoko rozwinięte cywilizacje. Czy nie tak?

— Kiedyś w uczonych i wyspecjalizowanych kręgach mówiono całkiem serio, że słońce kręci się wokół ziemi, a żaden pojazd mechaniczny nie może pędzić z szybkością większą niż dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, bo pasażerom poodlatują głowy.

Zgodnie z tradycją profesor otrzymał brawa za dowcipną odpowiedź. Czupurek replikował natychmiast nie prosząc nawet o głos.

— Czy to nie jest, panie profesorze, zdumiewające, ale i niewątpliwe, że wiele plemion, a nawet tylko grup ludzkich, przypisuje sobie kosmiczne pochodzenie? Ginący już dzisiaj Ajnowie z wyspy Hokkaido utrzymują, że spadli na ziemię z nieba. Z nieba wywodzili się Faraonowie, Majowie bardzo chętnie powoływali się na stałe kontakty z bogami, którzy schodzili na ziemię po rozwiniętej pajęczynie. W mitologii greckiej aż się roi od kontaktów ludzi z bogami. Bogowie Babilonii wiedli się z gwiazd i to konkretnych. Nabu z Merkurego, Isztar z Wenus, Nergal z Marsa. Przecież, panie profesorze, gdyby z nieba nic nie spadło, nie mogłaby powstać tego rodzaju mitologia i to u różnych ludów zupełnie nie skontaktowanych ze sobą. Nie wyobrażano by sobie jakichś pozaziemskich, niebieskich królestw. Coś w tym musi być!

— I owszem — odparł spokojnie profesor — sęk tylko w tym, że jeszcze nie wiadomo, co mianowicie jest. Wiemy, na przykład, że pojawienie się Jezusa zwiastowała gwiazda betlejemska, zastanawia także jego tajemnicze pochodzenie, niezwykła, prawie nieludzka dobroć, wyjątkowo dojrzały demokratyzm, a także oczywista nieznajomość życia ludzi tamtej epoki, samotność. Wszystko to ma wskazywać na kosmiczne pochodzenie Jezusa, który — jak wiecie — sam powiedział, że jego królestwo nie jest z tego świata...

— A więc pan profesor zgadza się z nami! — wykrzyknęła Maryjka, narzeczona Dudusia, nie nazbyt uprzejmie przerywając profesorowi.

— Przepraszam, ale pani stawia zagadnienie na głowie — Szeheran nie tracił pogody ani na chwilę — problem zgody czy niezgody w ogóle nie istnieje, przynajmniej w nauce.

— Jaki więc problem w końcu istnieje? — spytał zaczepnie Czupurek.

— Problem badań dostarczających nie tylko efektownych hipotez, ale przede wszystkim niepodważalnych dowodów. Przypomnę może państwu stary hinduski epos — „Manabherata" Wydaje się na pierwszy rzut oka, że są w nim bardzo stare i plastyczne opisy działania broni jądrowych, rozpadu organizmu ludzkiego po wybuchu nuklearnym. Znajdziemy w tym zadziwiającym poemacie i słowa ostrzeżenia przed użyciem tej straszliwej broni. Proszę posłuchać:

„Niech żaden człowiek nie odważy się
atakować...
Gdy wpadnie w ręce słabego, spalić może
cały ten świat"

— Ależ panie profesorze! Przecież to jest dowód istnienia innej cywilizacji pozaziemskiej — Czupurek prawie krzyczał z podniecenia.

— Słucham pana uważnie, proszę kontynuować — profesor wcale nie podzielał budzącej się na sali wesołości. Raczej przeciwnie, jego skupiona twarz wyrażała powagę. Młodzież natychmiast przycichła.

— Jak pan profesor wie byłem przesłuchiwany przez specjalną komisję, jako świadek początkowych wydarzeń, które nastąpiły w związku z pojawieniem się kosmity.

— Owszem, wiem, ale nie jest dowiedziona, że tak powiem, tożsamość tego rzeczywiście zagadkowego osobnika. Sprawa jest badana.

— W porządku panie profesorze, ale jest dowiedzione, iż wraz z jego pojawieniem się sytuacja na świecie skomplikowała się do rozmiarów nigdy nie spotykanych.

— Niestety, tak, pamiętać jednak należy, że napięcia i odprężenia, niekiedy gwałtowne, zdarzały się i wcześniej.

— A zbiorowe psychozy, histerie, masowe przypływy radości albo depresji?

— To rzeczywiście wymaga poważnych badań.

— A nagłe zniknięcia i powroty ziemskich satelitów, promów kosmicznych, niektórych stacji radiowych i telewizyjnych?

— To także jest badane.

— Czy pod kątem możliwości pojawienia się na ziemi przedstawicieli wysokiej cywilizacji agresywnego typu?

— Pod tym kątem także. Ale nie tylko.

— Czy zechciałby pan profesor powiedzieć — pod jakim kątem jeszcze?

— Chociażby pod kątem prowokacji na globalną skalę. Prezydent Zjednoczonych Prowincji prze do wojny nuklearnej i jest przekonany, że ją wygra. Musi jednak usprawiedliwić się przed coraz bardziej zaniepokojonymi narodami świata, może więc ci dziwni kosmici, którzy go uzbrajają i równocześnie uniemożliwiają rzekomo odpalenie rakiet, to tylko zręczny manewr propagandowy?

— Wszyscy o tym wiedzą, że pan profesor jest jednym z czołowych doradców szefa sztabu...

— Jestem, kolego, jestem, ale doprawdy nie po to, żeby zdradzać wam i komukolwiek tajemnice naszej trudnej pracy — profesor spojrzał na zegarek, co oznaczało zwyczajowo, że nie ma już więcej czasu.

Duduś, Maryjka, Czupurek wraz z gromadką koleżanek i kolegów udali się do uczelnianego parku, aby przedyskutować wyniki dopiero co zakończonej dyskusji.

— Zrobił nas w konia z dziecinną łatwością — zauważył Modrak, dość kiepski student, choć dobry kolega o dość dużych, błękitnych oczach, które na ogół nie dostrzegały tego, co rzeczywiście było ważne.

— Nie sądzę Modraczku — odpowiedział mu Czupurek — po pierwsze podjął dyskusję, a po drugie doskonale wyczuwał o co nam chodziło.

— A o co nam w końcu chodziło? — spytał naiwnie Modrak.

Park akademicki kończył się nad brzegiem rozległego jeziora starannie utrzymywanego przez katedry przyrody i biologii w stanie naturalnym, a raczej do niego zbliżonym. Czysty, nie zakłócony wiatrem ani chmurami dzień czerwcowy miał się już ku wieczorowi. Czupurek w dalszym ciągu tłumaczył Modrakowi, a i innym wątpiącym pozytywny sens dyskusji z profesorem.

— W baśniową część różnych wiar w cywilizację pozaziemską nasz Szeri chyba nie wierzy, co innego jednak ostatnie wydarzenia. Niepokoją go i on pewnie jednak dopuszcza możliwość ingerencji nie z tego świata.

— Szeri podejrzewa — wtrącił Duduś — że przybysze są zainteresowani konfliktem nuklearnym na ziemi.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że mogą być naszymi przeciwnikami... jeśli istnieją?

— Oczywiście!

Szli prosto w słońce, które zaawansowało już swoją wędrówkę ku zachodowi, przygrzewało jednak silnie. Dzień wyglądał młodo, jak oni — wszędzie świeża, soczysta zieleń drzew i trawy, w czystym powietrzu tańczyły motyle, od strony jeziora dobiegały wesołe okrzyki żeglarzy.

— Nie rozumiem cię Dudusiu, dlaczego oni mieliby chcieć wojny na naszej skorupie?

— Nie rozumiesz, boś głupi! Prawdopodobnie chcą oczyścić ziemię z ludzi i to ich własnymi rękami, chcą się tu osiedlić. Mieszkamy w gruncie rzeczy na całkiem niezłej planecie. Mamy tu ciepło i zimno, ziemię i wodę, dość dużo bogactw naturalnych, lasy i pustynie jak kto lubi, są góry i równiny, do wyboru, do koloru. Żyć i nie umierać na takiej planecie tyle tylko, że ludzie przeszkadzają.

— Chcą nas zniszczyć naszymi rękami? Przecież to niemożliwe!

— Nikt nie wie, co w końcu jest możliwe, ale raczej wszystko. Ja widzę, proszę was, dwie alternatywy. Pierwsza: kosmici nie są ani dobrzy, ani źli, ani z nich okrutne ponuraki, ani wesołki, nie są ani za kimś, ani przeciw komuś tam. Rozumiem wasze głupie miny, zauważcie jednak, że na naszej ziemi mówi się tylko o obiektywiźmie, ale go nikt jeszcze w praktyce nie widział... nie przerywajcie, bo stracę wątek... otóż oni obiektywnie i bezinteresownie strzegą ładu Wszechświata.

— Milicja kosmiczna?

— Mądrze rzekłeś tym razem, Modraku. Właśnie międzygalaktyczna milicja, która pojawia się tylko w momencie szczególnym, kiedy naturalny ład jakiegoś układu czy galaktyki może zostać naruszony. A przecież sami wiemy, że jak tak dalej pójdzie, to wybuchnie wojna nuklearna i ziemia rozleci się, rozsypie w drobny mak, porządek naszej cząstki Wszechświata zostanie zakłócony, ja już nie chcę mówić o kosmicznym chaosie w całym Układzie Słonecznym, a może i Drodze Mlecznej.

— Milicja Wszechświata ma temu zapobiec?

— Jasne! I są na to dowody, chociażby to zaklopsowanie na pewien czas wszystkich wyrzutni rakietowych zainstalowanych na ziemi. To było, moim zdaniem, ostrzeżenie, milicja nie dopuści do zachwiania równowagi w kosmosie.

— Mówiłeś coś, Dudusiu, o drugiej alternatywie — w głosie Czupurka łatwo wyczuwało się ironię. — Rozwiń ten temat!

— Już się robi, otóż kosmici nie są żadną milicją, lecz przedstawicielami wysoko rozwiniętej cywilizacji. Ale giną, stracili normalne warunki do życia, jedynym ratunkiem dla nich jest znalezienie planety nadającej się do życia, no i znaleźli nas. Uczynią wszystko, żeby nas wykończyć, wysokie cywilizacje, o ile wiem, nie potrzebują niewolników. W tym wariancie także nie jest przewidziane zniszczenie ziemi.

— Bzdury pleciesz, Dudusiu, powinieneś pisać bajki typu science-fiction i straszyć nimi niegrzeczne dzieci!

— Uważasz, że nie grozi nam atomowa zagłada?

— Wprost przeciwnie! Sytuacja jest znacznie gorsza, niż sobie wyobrażamy. Rzekoma ingerencja kosmitów, o której bajdurzyłeś, w każdym przypadku zostawia jakąś tam szansę dla ludzkości. A ja twierdzę, że takiej szansy już nie ma.

— Niby dlaczego?

— Dlatego, że niezależnie od tego, czy oni są, czy też ich nie ma, żadna ingerencja z zewnątrz nie nastąpiła. Ludzie sami sobie kopią grób. Nie przesłaniajmy sobie prawdy kosmitami, widzicie przecież co się dzieje.

Zamyślona gromadka opuściła park i szła brzegiem jeziora, ale nikt już nie podziwiał uroków czerwcowego dnia. Wiedzieli dużo, ale z pewnością daleko im było do poznania całej prawdy o zagrożeniu świata. Lecz przecież nawet Modrak zauważał różnice w ćwiczeniach wojskowych, które odbywała młodzież akademicka. Więcej teraz było, coraz więcej mowy o zachowaniu się podczas wojny atomowej. Dziewczęta uczyły się ochrony ludności cywilnej przed skutkami promieniowania radioaktywnego. Prasa, radio i telewizja podawały wiele niepokojących informacji starając się o spokojny i rzeczowy ton, ale przecież nie mogły przemilczeć butnych i pewnych siebie wystąpień prezydenta Zjednoczonych Prowincji i jego generałów, którzy w przerażający sposób realizowali stare hasło — „si vis pacem — para bellum". Specjalne filmy telewizyjne pokazywały nieustannie gwałtowny rozwój produkcji broni masowej zagłady, z łam gazet nie schodziły długie kolumny liczb, ilustrujących wzrost nakładów na zbrojenia, w kinach wyświetlano filmy fabularne o atomowej zagładzie. Pisano wiele o krajach, które już zbudowały wielkie podziemne schrony, szkoły, szpitale, uprawy i hodowle, jakby jedyną szansą ludzkości było już tylko zejście pod ziemię. Przecież nie bez powodu.

— Duduś, powiedz nam, ale bez blagi... czy ty go naprawdę widziałeś? — spytał Modrak.

— Tylko nam nie opowiadaj o skradzionych spodniach i koszuli — wtrącił złośliwie Czupurek.

— Widziałem go, Maryjka także i jeszcze cały obóz sportowy, goście w restauracji oraz kilkudziesięciu wycieczkowiczów. Osobiście wątpię, żeby tylu ludzi mogło się pomylić, ulec temu samemu złudzeniu w różnych miejscach.

— W porządku — Czupurek spoważniał — a jak on wyglądał?

— Na oko normalnie, przypominał doskonale zbudowanego lekkoatletę, tyle tylko że znikał, stawał się niewidzialny.

— Bardzo przystojny — dorzuciła Maryjka — blondyn, bez zarostu, miał jakieś takie wyblakłe złote oczy, przyhamowywał wzrokiem każdego.

— I co jeszcze wesołego nam powiecie? — Czupurek znowu nie brał serio słów Dudusia.

— Miał po sześć palców u nóg, powtarzam — po sześć palców — powiedział spokojnie Duduś.

Szli nadal wzdłuż jeziora tym samym spacerowym krokiem, ale już znacznie weselsi. Jasne — Duduś zgrywa się, rozjaśnia nastrój.

— Poczekajcie! — krzyknął nagle Modrak zatrzymując całą gromadkę — jakiś facet łowi ryby w naszym jeziorze. Idę o zakład, że nie ma pozwolenia!

C.D.N.

1 Spojrzenie znad szachownicy

Goła, lecz w jarmułce

Przyszedł do mnie niejaki Panasewicz Jerzy, redaktor, ten sam, który pisuje w „Expressie" i całkiem bezczelnie figuruje na liście stałych współpracowników „Odgłosów", choć jeżeli raz na pół roku coś wystęka, to bardzo dobrze. A ja, niżej podpisany Jerzy P., Agata, Biurowa, Andrzej Karol i wielu innych cichych, ofiarnych ludzi zapełniających tę oto przedostatnią stronę na żadną listę nie możemy oczywiście trafić i scześniemy tak marnie w zapomnieniu.

Przychodzi tedy ten, że się tak wyrażę, figurant, wymachuje numerem „Odgłosów" z datą 13 lipca i zapytuje, czy czytałem, co nawypisywała Piękna Helena.

— Człowieku — mówię — oczywiście, że nie czytałem, ponieważ byłem, to jest byliśmy, na urlopie.

(Tak się składa, że na urlop zawsze jeździmy razem i nijak nie możemy inaczej — jest to nader dziwne, ale zdarzają się też dziwniejsze rzeczy).

— Nadto — peroruję — sam rozumiesz, że Piękną Helenę należy raczej oglądać i to soute, czyli prosto z wody, najlepiej na plaży naturystów, nie zaś czytać. Nie może tak być, żeby piękna kobieta miała jeszcze coś rozsądnego do powiedzenia, byłby to bowiem wybryk natury, nadto jaskrawy przykład niesprawiedliwości społecznej, której się przeciwstawiamy. Jeżeli zaś pomieniona ma coś do powiedzenia, nie jest piękna, kryje się więc za tym jakieś parszywe oszustwo, od którego dla odmiany umywamy ręce. Tertium non datur, przyjacielu — dodajemy po łacinie, żeby wyglądało mądrzej.

2.

Pomieniony usiłuje mnie pocałować w rękę, mówi, że toczka w toczkę myślał to samo (po polsku „kropka w kropkę", ale „toczka w toczkę" brzmi ładniej, bo też po zagranicznemu), ale mimo wszystko uprasza najgoręcej, iżbym był uprzejmy z tekstem Pięknej Heleny się zapoznać.

— No dobrze — mówię i zaczynam się zapoznawać. Ja się zapoznaję, a on zagląda mi przez ramię i cmoka. Nic po naszemu cmoka, jakoś obco rasowo czy klasowo, ale to pewno z nerwów — myślę — i czytam dalej.

Wyszło mi z tego czytania, że bliżej nie określony rozmówca Pięknej Heleny uznyślił, iżby każdy jako tako znany żurnalista otrzymał w charakterze wyróżnika specjalne nakrycie głowy — a to papachę, a to melonik, a to znów furażerkę. Mojemu rozmówcy przypadła jak na złość jarmułka, no i w związku z tą jarmułką on chciałby zasięgnąć tak zwanej porady duchownej.

3.

— Po poradę duchowną to nie do mnie — mówię, ale tak nalega, tak prosi, że pytam wreszcie, o co niby idzie mu konkretnie.

— Po pierwsze — pyta szeptem — czy nie wiesz czasem, jak wygląda jarmułka?

Tu mnie zagiął. Nie mam zielonego pojęcia, jak wygląda jarmułka i choć próbuję coś fantazjować, coś zmyślać, wiem, że on wie, że ja nie wiem.

— Trudno — szepce dalej — nie wiesz, to nie wiesz. Więc powiedz przynajmniej, czy to była zawoalowana obraza, czy wręcz przeciwnie — zawoalowany komplement?! I jak mam niby zareagować, jeżeli to pierwsze, a jak, jeżeli to drugie?!

— Ho, ho — powiadam — wszystko zawsze zależy od intencji. Jeżeli intencją Pięknej Heleny (oraz jej rozmówcy) było obrażenie cię, zostałeś obrażony. Jeżeli skomplementowanie, zostałeś skomplementowany, co da się wywieść ślicznie i logicznie w jednym i drugim przypadku.

— Mogła to być — kontynuuję — subtelna aluzja do twoich szachowych talentów, ale mogła też być aluzja do tego, że je jak kto głupi zaprzepaściłeś. Medale z olimpiad szachowych przywoziła do Polski drużyna oparta na graczach pochodzenia żydowskiego, z Rubinsteinem, Tartakowerem, Przepiórką, Frydmanem i Najdorfem na czele, ale z kolei pewien mój znajomy tegoż pochodzenia mawiał, że choć Żydzi mają liczne talenty, nie tylko szachowe zresztą, to jeżeli trafi się głupi Żyd i do tego bez talentu, jest on tak głupi i tak nieutalentowany, że już bardziej nie można. Wybierz więc, co ci miłe i odczep się ode mnie, byłem już bowiem posądzony i o antysemityzm i prosyjonizm, a żeby było śmieszniej, to o jedno i drugie równocześnie.

4.

Niby jasno to powiedziałem, a on swoje.

— Więc jak — pyta — posłać kwiaty tej Pięknej Helenie, czy raczej kwitki do restauracji „Turystyczna", gdzie tak karmią, że można się przekręcić?

— Ty jej poślij jedno i drugie — mówię. — I ty ją poproś, żeby ona, jeżeli naprawdę jest piękna, uwiodła Szymańskiego-Glanca. A Szymański-Glanc niech narysuje gołą Piękną Helenę, gołą, lecz w jarmułce. Wtedy dowiesz się, jak wygląda Helena i dowiesz się, jak wygląda jarmułka. Jest to moja ostateczna porada i żadnej innej porady nie będzie.

Co rzekłszy oddaliłem się w sobie wiadomym kierunku załatwiać sobie wiadome sprawy.

JERZY P.

2 U fryzjera Nieregularnik felietonopodobny

Zastępstwo

Przez pierwsze dwa tygodnie sierpnia zakład fryzjerski pana Franciszka był zamknięty. Zdziwiło nas to wielce, gdyż mistrz nie wspominał wcześniej o żadnej planowanej nieobecności. Początkowo myśleliśmy, że po prostu wybrał się na urlop, ale po kolejnym deszczowym dniu zwątpiliśmy, ponieważ niepodobna, by wytrzymał nad morzem, gdzie zawsze jeździł, dłużej niż tydzień przy tak podłej pogodzie. Zresztą byłaby chyba kartka zawiadamiająca pt. klientów o urlopie. A zatem choroba — zawyrokowaliśmy. Może nawet szpital. Zasmuciliśmy się choć i to zdawało się być mało prawdopodobne, jako że pan Franciszek śmiało uchodzić mógł za okaz zdrowia.

— A jednak musiało go zmóc — snuł najczarniejsze wizje Działacz. — Tacy to chodzą, chodzą, ale jak już ich coś złapie, to ...No, w każdym razie powinniśmy chyba obdzwonić szpitale i dowiedzieć się — zakończył ze łza w oku.

I z tym zamiarem rozstaliśmy się w piątek po południu. Jakież tedy było nasze zdumienie, gdy w poniedziałek rano zobaczyliśmy pana Franciszka w najlepszej kondycji, z uśmiechem na twarzy. Natychmiast poprosiliśmy o wyjaśnienie, a on opowiedział nam co następuje:

— Jak wam już chyba kiedyś, panowie, wspominałem, mam bratanka, którego kocham jak własnego syna, zwłaszcza że biedaczysko wcześnie stracił ojca. Miły chłopak... Właśnie niedawno przekroczył czterdziestkę i dokładnie w dzień urodzin — jakby w prezencie — dostał zawiadomienie, że w najbliższym czasie otrzyma wreszcie klucze do upragnionego, pierwszego w życiu samodzielnego mieszkania. Aby przyśpieszyć te jakże oczekiwana chwile przyszli mieszkańcy bloku, należący do organizacji młodzieżowej, podjęli się wykonania prac wykończeniowych w budynku, gdyż wiadomo — robotników na budowach brakuje, są trudności z planem... Krótko mówiąc, bratanek również został zobowiązany w imię solidarności do przepracowania trzech miesięcy przy tynkowaniu ścian, zakładaniu wykładzin, różnych instalacji, itp.

Ta piękna i naśladowania godna inicjatywa spotkała się oczywiście z dużym uznaniem miejscowych władz, głównego wykonawcy i rzecz zrozumiała, samych członków spółdzielni. Aby jednak mogło dojść do jej realizacji, bratanek stanął przed koniecznością wzięcia bezpłatnego urlopu w fabryce. I tu zaczęły się problemy. Dyrektor owej fabryki — człowiek apodyktyczny, nie mający żadnego zrozumienia dla społecznych inicjatyw wychodzących naprzeciw programowi uzdrowienia budownictwa — powiedział, że owszem, udzieli urlopu, ale pod warunkiem, że bratanek znajdzie kogoś, kto na ten czas zastąpi go przy maszynie, gdyż wiadomo — robotników w fabrykach brakuje, są trudności z wykonaniem planu...

Postawiony przed taką koniecznością bratanek poprosił o zastępstwo swego serdecznego przyjaciela, który na robocie w fabryce się zna i maszynę obsługiwać potrafi. Ten zgodził się po dłuższym namyśle, bo czegoż się nie robi dla przyjaciół, ale okazało się, iż będzie to możliwe, jeśli ktoś zastąpi go w sklepie za lada, gdzie na stałe pracuje, gdyż wiadomo — ludzi w handlu brakuje...

Zaczęli więc obaj zastanawiać się, jak to zrobić i doszli w końcu do wniosku, że najlepiej poprosić o pomoc siostrę owego przyjaciela. Ta nie była, co prawda, propozycja zachwycona, ale wyraziła wreszcie zgodę, tyle że pod warunkiem, iż ktoś zastąpi ją w żłobku, gdzie jest pielęgniarką, ponieważ inaczej dyrektorka jej nie puści. Wiadomo — pielęgniarek w żłobkach brakuje...

Uradzili tedy, we troje, że na jej miejsce przyjdzie żona bratanka, która już własne dzieci odchowała, więc ma doświadczenie, i na szczęście jest fryzjerka w państwowym zakładzie damskim, a która przynajmniej przez dwa tygodnie ją z kolei zgodziłem się zastąpić. Ot, i cała tajemnica mojej nieobecności.

— A myśmy myśleli, że mistrz... — wyrwało się Literatowi.

— Że zachorowałem, albo wyjechałem bez pożegnania na urlop? Niestety. A wiecie panowie, gdzie miałem jechać w tym roku. Wyobraźcie sobie, że znajomy zaprosił mnie do Międzyzdrojów, gdzie w sezonie prowadzi mała smażalnię ryb morskich, zarejestrowaną na jego teściową. Podobno złoty interes. Latem siedzi sobie nad morzem i robi pieniądze, a przez pozostałą część roku pracuje na budowie jako tynkarz, żeby mieć w dowodzie stempelek o zatrudnieniu. Wiadomo — ludzi w budownictwie brakuje...

PAWEŁ TOMASZEWSKI

3 Nagle zastępstwo

Lutnia po Bekwarku

Tomasz Sas już dwukrotnie w swych przeglądach prasy cytuje smaczne zdanie Eustachego Rylskiego: „Literatura jest to opowiadanie interesujących historii". Jak każde takie efektowne, jednoznaczne stwierdzenie i to jest nieco kulawe, niestety. Kiedy obaj, T.S i ja byliśmy jeszcze małymi dziewczynkami, z wypiekami na twarzy czytaliśmy interesującą historię pewnego szalonego hiszpańskiego szlachcica, albo przygody amerykańskiego pirotechnika w czasie hiszpańskiej wojny domowej. Takie samo zainteresowanie towarzyszy czytaniu np. opowieści o pewnym dzielnym wojaku z Pragi i historii o dzielnym kozaku zaplątanym w meandry wojny domowej i rewolucji.

I do tego miejsca wszystko się zgadza jakby. Jest literatura — najpierwszego sortu zresztą — i są ciekawe historie. Ale już takie na ten przykład opowieści jednego praskiego urzędnika o niejakim panu K są może mniej interesującymi historiami, a już wielostronicowe analizy przeżyć wewnętrznych paryskiego burżuja sam autor przekornie nazywa „straconym czasem". „Wprawdzie — zdaje się — nie chodzi mu o czas stracony na lekturę tym niemniej jednak literatura jest też najpierwszego sortu, choć historie interesujące niekoniecznie.

Otóż, jak się bliżej przyjrzeć, historie nie muszą być aż tak interesujące. Ważne, żeby były dobrze opowiedziane.

Przykłady interesujących historii pracowicie spisanych przez różnych gryzipiórów, którzy nigdy do literatury nie wejdą, darujmy sobie. Cały ten — przyznaję — przydługi i niezbyt interesujący wstęp zrobiłem po to tylko, żeby olśnić czytelnika odkrywczą myślą, że od tego co się robi ważniejsze bywa jak to się robi.

Weźmy takie muzea np. Szacowne bardzo instytucje, z katalogami, eksponatami w gablotach, z napisami żeby nie dotykać i z kapciami w szatni szacowne bardzo instytucje, ale — przepraszam muzealników — w świadomości powszechnej muzeum to miejsce obowiązkowych wycieczek szkolnych, nudne prawie tak, jak festiwale na pieśń.

I oto pojawia się w Łodzi pewien niespokojny poznaniak i zakłada muzeum, w którym jest i ciekawie i — ranny boskie! — nawet wesoło! A katalogi, eksponaty itp. są, też, jak w każdym porządnym muzeum. No, kapci nie ma, ale kapci chyba bywalcy najmniej żałują...

Publiczność wali do muzeum jak — nie przymierzając — na mecz. Władza tylko zacnowuje wstrzemięźliwość. Wiadomo, władza nie przepada za żadnymi ekscesami, bo to wicie rozumicie, nigdy nie wiadomo, co z tego wylezie. Jeden z najpopularniejszych w Łodzi ludzi, Antoni Szram klapy ma jakby mało wyorderowane. A nagrodę dostał — jak dotąd — jedną, nagrodę „Odgłosów".

Pochlebiam sobie, że w minimalnym zupełnie zakresie też się do przyznania tej nagrody przyczyniłem.

Od przyznania nagrody minęły cztery miesiące jak się po mieście rozległo, że „Szrama wywalają!"

W każdej plotce jest odrobina prawdy. Jak w znanej anegdocie, że na placu Wolności rozdają samochody. Owszem, tylko że nie na placu Wolności a na Włókienniczej, nie samochody a rowery i nie rozdają a kradną...

Okazuje się, że Antoniego Szrama kierowanie całym muzealnym kolosem jakoś ostatnio mniej bawi. Firma rozrosła mu się bowiem jak jakie imperium — oddział tu, oddział tam, a jeszcze — lada dzień — Muzeum Literatury i Prasy. A Szrama akurat najbardziej interesuje teraz Muzeum Kinematografii — na razie zalążkowy oddział, ale znając Szrama można wróżyć bez pudła, że w polskim Hollywoodzie będzie placówka z biglem, glancem, szarmem i szramem...

Sam Antoni Szram milczy jak posąg sfinksa: — Żadnych — powiada — wywiadów. Jak się, gdzieś w połowie września, sprawa wyjaśni, proszę bardzo, będę miał dużo do powiedzenia. Sam poinformuję prasę. Będzie o czym!

Cóż, zaczekamy. Życzymy laureatowi naszej nagrody, żeby ku ogólnemu pożytkowi rozkręcił Muzeum Kinematografii tak jak on to potrafi (przepraszam za rym).

A dyrektor Muzeum Historii Miasta Łodzi? No, panowie kandydaci, „lutnia po Bekwarku"!

Może by jakiś konkurs? Ostatnio jakby modne... Żeby tylko nie objął tej funkcji któryś z zawodowych dyrektorów, specjalistów od wszystkiego, który z niejednego pieca jadał, tylko niece pozostawił po sobie jakieś sfatygowane.

ANDRZEJ KAROL

4 Sport

Pokiwano palcem, a zapłacił Jerzy Wijas

Może to źle, ale gdzieś tam w mojej duszy czai się sceptycyzm. Gdy PZPN zapowiadał, iż weźmie się teraz za piłkarskich działaczy i zrobi porządek, to coś we mnie chichotało i miałem ogromne wątpliwości. I okazało się, że zupełnie słusznie. Oto ukazał się komunikat PZPN, z którego wynika, że nic nie wynika. A chodziło o to, że podczas ostatniej kolejki rozgrywek I ligi takie drużyny jak warszawska Legia, szczecińska Pogoń, łódzki Widzew, krakowska Wisła i Górnik z Wałbrzycha „nie wykazali woli sportowej walki — jak to ładnie ujmuje komunikat PZPN — przez co końcowe rezultaty meczów nasuwają wątpliwości, czy były one odzwierciedleniem potencjalnych możliwości poszczególnych zespołów". Wątpliwości nie wyjaśniono, a jedynie ukarano naganą trzech sędziów, którzy pozwolili na opóźnione rozpoczęcie meczu lub drugiej jego połowy. No i przygotowano się na przyszłość. PZPN już nie pierwszy raz zapewnia, że „niedziele cudów" nie powtórzą się, ale jakoś wszystko pozostaje w sferze zapewnień.

Chciałabym być sprawiedliwa i móc powiedzieć, że jest lepiej niż bywało przed laty. Zastanawiam się jednak, czy tak jest rzeczywiście. Wprawdzie „niedziele cudów" robi się dziś mniej bezczelnie niż niegdyś, ale z przykrością i żalem muszę napisać, że kluby nadal nic sobie nie robią z postanowień PZPN. I pod tym względem jest może nawet gorzej niż bywało. No, bo weźmy chociaż sprawę Dariusza Dziekanowskiego.

Nie wiem, czy jakiś młody człowiek miałby odwagę zadrzeć z kontrahentem, z którym podpisał kontrakt na 21 milionów złotych. Gdyby ten kontrahent skierował sprawę do sądu i wygrał, to odszkodowanie mogłoby być tak wysokie, że młody człowiek do późnej starości nie byłby w stanie tego spłacić. Ale Dariusz Dziekanowski nie bał się. Był przekonany że w sporze między Legią a Widzewem musi dojść do takiego rozwiązania, na które postawił lub na które się zgodził. I tak się stało. Wbrew temu, że prawo ma być jednakowe dla wszystkich. Ludzie wymieniają ogromną sumę jaką Legia zapłaciła Widzewowi a ponieważ nikt jej oficjalnie nie potwierdza wolę nie powtarzać nie sprawdzonych informacji.

W sobotę Dariusz Dziekanowski strzelił dla Legii gola. Już w pierwszym meczu w Legii udało mu się to co się nie udawało wielekroć w Widzewie. Nie chcę być złośliwa, ale tak mi się jakoś układa. Wiesław Cisek grał w Widzewie i widać było, że jeszcze do zespołu nie pasuje. Jarosławowi Araszkiewiczowi PZPN skrócił karę dyscyplinarną, Lech go zwolnił, a Legia przyjęła. Andrzej Łatka wrócił do lubelskiego Motoru i w klubie mu zapomniano o... chwilowym porzuceniu pracy. Jeden grzesznik nawrócony zawsze jest milszy od stu grzecznych i prawych młodzieńców.

A Jerzy Wijas gra w LZS Czarni...

W całej tej wielkiej sprawie, gdy szło o miliony złotych i klubową sławę, zupełnie jakoś zapomniano o Jerzym Wijasie. Tylko Paweł Strzelcki z „Piłki Nożnej" o nim nie zapomniał i wybrał się do C., gdzie służbę wojskową odbywa Jerzy Wijas i gdzie gra w piłkarskiej drużynie LZS Czarni. Drużyna ta na łeb bije lokalnych konkurentów, na stadion przychodzą tłumy, płacą za bilety, bo chcą obejrzeć byłego kadrowicza, który na boisku LZS piłkę kopie. Jerzy Wijas wysłał podania do MON, Legii i PZPN z prośbą o zgodę na grę w jedenastce Legii. MON zgody nie wyraziło, Legia i PZPN nawet nie odpowiedziały. Co więc miał robić Jerzy Wijas? Zapomnieć o piłce nożnej? Skorzystał z okazji i gra w LZS Czarni. I bardzo dobrze, choć żal pozostał. I słusznie!

— „Do kogo ma pan największy żal za to, co się stało? — pyta Paweł Strzelecki.

— Do działaczy mojego klubu — Widzewa. — Odpowiada Jerzy Wijas. — Cały czas zapewniali mnie, że nie ma sprawy, że się załatwi. Zrobiła się afera. Zupełnie niepotrzebnie. Teraz ja i tylko ja płacę za to wszystko".

Rodzi się u mnie takie dziwne podejrzenie, że cała sprawa z Jerzym Wijasem była elementem rozgrywki między Legią a Widzewem o Dariusza Dziekanowskiego. Legia idzie na mistrza i robi wszystko, aby tak się stało. Gromadzi siły i osłabia konkurentów. Tak to wygląda.

Swoją drogą warto chyba upomnieć się o Jerzego Wijasa. Są różne możliwości wykorzystania jego piłkarskich zdolności i wypełnienia obywatelskiego obowiązku. Nie on pierwszy i nie ostatni. Byłoby dobrze, gdyby i Widzew nie zapomniał o swoim zawodniku. Po porozumieniu z Legią teraz może być łatwiej i tę sprawę rozwiązać. Jakby nie było i PZPN nie powinien zapomnieć o reprezentancie kraju w piłce nożnej. Talentów nie powinno się marnować. Czy jednak PZPN jest na tyle silny, aby wyciągnąć Jerzego Wijasa z LZS Czarni i zapewnić mu na czas służby wojskowej należyte miejsce w dobrej drużynie? Zobaczymy.

BOGDA MADEJ

Wielki las

(8)

ZBIGNIEW NIENACKI

To ludzie byli brudni i brudne były ich sprawy. Wystarczyło przecież spojrzeć przez mikroskop na najstaranniej umytą skórę każdego człewieka, aby zobaczyć, ile brudu pozostało w porach, jakie żyły tam drobnoustroje, pasożyty, bakterie. Nikt na świecie nie ma prawa powiedzieć o sobie, że uprawia czystą robotę albo że jest czysty. Maryn myślał o sobie, że nie bywał czysty, ale nosił na sobie brud zawodowy, a więc jak gdyby nieco mniej śmierdzący. Po prostu wykonywał brudzący zawód — górnik też musi być usmolony, podobnie jak człowiek pracujący w kurzu, lecz chyba nikt nie powie o nich, że są brudasami. Firma żądała, aby dostarczał informacji o wskazanych mu osobnikach — przeważnie zresztą jego rodakach, którzy na krótko lub długo opuszczali kraj i podobno mieli robić coś dobrego dla kraju. I Maryn to czynił, czasem lepiej a czasem gorzej. Nie było to jego winą, że tylu ludzi prowadziło brudne życie, a do brudu zawsze się coś przyklei. W swojej ankiecie personalnej mógłby napisać: informator. Pisał jednak: kupiec. Tam, do licha, był przecież właścicielem sklepu z rowerami przy Dapperstraat. I chyba jest nim do dzisiaj... Tak, najgorszy bywał ów specyficzny smrodek, który Maryn wyczuwał u niektórych ludzi na odległość, choć tacy właśnie trzy razy na dzień zmieniali koszule i bieliznę. Wtedy, gdy dolatywał go ów zapaszek, dzwonił do mieszkania Bundera i pytał: „Czy to mieszkanie pana Feldmana?" „Nie. Omyłka" — odpowiadał Bunder i odkładał słuchawkę. Spotykali się natychmiast w od dawna umówionym miejscu i o umówionej godzinie, Maryn przekazywał Bunderowi to, czego się dowiedział. Zawsze tylko ustnie. To Ivo Bunder zakładał teczkę takiego faceta lub takiej facetki. Maryn zaś słał wiadomość do firmy, że taka to osoba zaczyna brzydko pachnieć i trzeba się jej uważniej przypatrzeć. Ciekawe, że zawsze się to zaczynało od pragnienia pieniędzy albo od dziwnych upodobań seksualnych. Rzecz jasna, nie chodziło o gwałcenie własnej żony. Tej kobiecie w leśniczówce nic się złego nie stanie, jeśli wyrucha ją na siłę jej własny mąż. To w ogóle nie jest żadna sprawa. Prawdziwą sprawą było to, że Ivo Bunder przeszedł rankiem dwie przecznice. To gorsze niż przeciąć linę, na której ktoś inny wisi. Bo pod nogami jest tylko przepaść. Tylko trzy kwadranse pozostały Marynowi i Eryce na wyprowadzenie samochodu z garażu, jazdę na lotnisko, kupno biletu. Zrobili wszystko w panice i niepotrzebnie, bo jak się okazało, Ivo Bunder jego nie zdradził. Józef Maryn przesiedział jednak dwa miesiące w areszcie w swoim własnym kraju. A teraz pije z leśnikami i wychodzi z czyjegoś domu, bo jakaś tam kobieta nie chce rozkładać nóg swojemu mężowi...

Drzwi do sieni od strony podwórka zastał otwarte. Wszedł zaraz do swojego pokoju i nie zapalając światła, rozebrał się i położył do łóżka, w chłodną miękką pościel, jaką dla niego pozostawił Horst Sobota. Zranione ramię pulsowało boleśnie. Maryn czuł że ma gorączkę i chyba z powodu bólu nie zaśnie. W malutkim neseserze w szafie Horsta miał swoje zawodowe wyposażenie — jednorazówki, fiolki z newralginą, luminalem i jeszcze innymi specyfikami. Nie chciało mu się jednak wstawać z łóżka, żeby zrobić sobie zastrzyk przeciwbólowy lub nasenny, ból nie był aż tak ostry. Nie należało w ogóle sięgać do tego nesesera, bo należał on do innego świata, a tamten świat runął w przepaść. Czego właściwie żądał od niego Horst Sobota? Aha zwyciężyć las. Co to znaczyło zwyciężyć las? Po co? Bo las odebrał ludziom dusze? Oczywiście, że ci leśnicy w domu Kuleszy nie mieli duszy, bo czy inaczej pomagaliby gwałcić mężowi jego żonę? Zamiast duszy ktoś im nawpychał kupę śmieci.

Ból równomiernie pulsował w ramieniu, potem Maryn odczuł w sobie jakiś nowy i dziwny ciężar. Coś go w środku uciskało, ssało, męczyło. Co to spowodowało? Po prostu nagle przyszło mu na myśl, że przez całe życie ani razu nie przeciwstawił się złu. Zawsze postępował tak jak dzisiaj. Kiedy się coś złego zaczynało, po prostu wychodził, żeby tego nie widzieć. Być może ta młoda kobieta naprawdę dziś nie chciała, żeby ją dupczył jej własny mąż. Nigdzie nie jest powiedziane, że jest się czyjąś rzeczą do zabawy. Prawdę mówiąc wystarczyło, aby Maryn wstał z krzesła albo nawet nie wstając, zawołał do tamtych mężczyzn: „Ej, wy, powariowaliście?", a ocknęliby się z pijackiego zamroczenia i puścili kobietę do sypialni. Nic za to Marynowi nie groziło, może nawet Kulesza już nazajutrz byłby bardzo wdzięczny Marynowi za ów okrzyk ostrzegawczy, bo chyba nie jest przyjemnie załatwiać własną żonę, gdy ją koledzy trzymają, żeby nie gryzła. Ale to była cecha Maryna: nie przeciwstawiać się. Czy tak naprawdę nie domyślał się słuchając Bundera (niemal całą noc wtedy przegadali), że tamten zamierza zrobić coś złego? I nic. Nie przeciwstawił się. Niektórzy mówili, że Maryn jest bardzo odważny. W rzeczywistości miał chyba tylko specyficzny rodzaj odwagi. Prawdziwa odwaga jest bowiem zdolnością do przeciwstawienia się złu. A jego na to nie było stać. Tak jak w tej leśniczówce...

Usłyszał szum lasu, wiatr się chyba zerwał. Las szumiał, potem zahuczał jak gdyby tam za domem rozlało się ogromne spienione od fal morze. Horst Sobota powiedział Marynowi, że rozumie mowę lasu. Maryn bezwiednie wsłuchiwał się w poszum drzew ogarniających dom i nagle zdawało mu się przez chwilę, że w owym hałasie drzew zaczyna rozumieć poszczególne głosy. Usłyszał płacz kobiety, potem donośny głos przypominający Horsta Sobotę. Później znowu kobiece zawodzenie, rzucane szybko słowa, których Maryn nie potrafił rozróżnić i pojąć. I znowu jak gdyby mówił coś mężczyzna, długo i monotonnie, aż wreszcie coraz silniejsze podmuchy wiatru zagłuszyły te dźwięki, dach domu zatrzeszczał od naporu wiatru, zaskrzypiały stare schody na górę i trzasnęły drzwi.

I raptem, nie wiadomo dlaczego szum leśnych drzew przyniósł mu słowa i melodię ballady, którą przy wtórze swej gitary śpiewał mu kiedyś Peter Svansson. Słowa piosenki i głos Svanssona od dawna przecież zatarły lub zagubiły się w pamięci Maryna i dopiero teraz znowu je usłyszał tak wyraźnie, jak gdyby to było nie przed dziesięcioma laty, ale zaledwie wczoraj. Odezwała się w nim tęsknota za młodością, za ową nieprawdą, w której żył i której ulegał tak bardzo, że o mało nie zdradził jak Ivo Bunder. To właśnie wtedy, przed dziesięcioma laty także coś w nim pękło już chyba na zawsze i uczyniło go kimś innym, nowym. Nie rozstałby się chyba z własną duszą przed domem Bernadetty Bullow, gdyby przedtem nie powstało w nim owo pęknięcie, podobne do pęknięcia dzwonu, który odtąd zawsze już wydawał tylko dźwięk fałszywy. Inna sprawa, że jak gdyby uformowano go ze specjalnego kruszcu, z dodatkiem czegoś, co okazało się podatne na takie pęknięcie. Dziesiątki razy zadawał sobie pytanie, dlaczego to właśnie jego, Józefa Maryna, (choć wtedy nazywał się zupełnie inaczej) na drugim roku studiów wyłowiono z ogromnej masy studentów i zapytano, czy chce zdobywać zupełnie inny zawód. Czy uczyniono to dlatego, że już wtedy znał zupełnie dobrze dwa języki obce, że uchodził za młodzieńca o nieprzeciętnej urodzie i łatwo nawiązywał kontakty z kobietami oraz dawał się lubić, ponieważ sam o sobie mało opowiadał, ale posiadał tak rzadką u innych ludzi cechę — potrafił słuchać cudzych wynurzeń? Od razu odpowiedział „tak" i sam nie wiedział dlaczego. W dziesiątkach testów i badań jakim go później poddano, musiano odnaleźć potwierdzenie istnienia w jego osobowości owego „czegoś", co nigdy nie zostało nazwane, lecz co w nim tkwiło bardzo głęboko, skoro tak od razu odpowiedział „tak", czując, że nareszcie odnalazł swoją właściwą drogę życiową. Psychologowie, którzy przez dłuższy czas drążyli jego myśli, a nawet podświadomość, znali chyba jakąś naukową nazwę dla owego „czegoś", co być może posiadał już w swoich genach, nigdy jednak nie otrzymał od nich wyjaśnienia. Zapewne domyślali się, że będzie kimś niezwykle użytecznym, stanie się istotnym kółkiem w ich precyzyjnym mechanizmie działania, skoro szkolono go indywidualnie z wielu dziedzin, o których zwykły śmiertelnik nawet nie ma pojęcia, że w ogóle istnieją. Każdego roku po sesji egzaminacyjnej (bo przecież równolegle zdobywał zwykłe wykształcenie) wręczano mu paszport, trochę obcych banknotów, ciepły śpiwór. Tylko pierwszy raz zapytał dokąd ma jechać i co ma robić. Jego szef (albo człowiek, którego uważał za swojego szefa) wzruszył ramionami: „Jedź gdzie chcesz i rób, co chcesz. Po prostu żyj" Pojechał więc byle gdzie — w wytartych dżinsach i podartej kurtce, ze śpiworem i małym zwitkiem obcych banknotów, których już wkrótce mu zabrakło. Musiał więc tu i ówdzie popracować dorywczo, a nawet zdarzało się, że żebrał, bo był głodny. Ale wtedy takich jak on włóczyło się setki a nawet tysiące, młodych chłopców i młodych dziewcząt. Koczowali przy ogromnych autostradach, całymi dniami czekali aż znajdzie się ktoś, kto zechce ich zabrać do samochodu i podwieźć z jednego miejsca na drugie. Nie miało znaczenia, gdzie się było i dokąd jechało, byle tylko wciąż przemieszczać się z miejsca na miejsce i utwierdzać w przekonaniu o własnej wolności.

Z początkiem lata zazwyczaj mówili, że muszą dążyć na północ, a gdy zaczynało się robić chłodno, kierowali się ku ciepłemu południu. Młodzi ludzie z całego świata — brudni, obdarci, długowłosi, gnani nie zrozumiałym dla społeczeństwa niepokojem, wyśmiewani, pogardzani albo traktowani z politowaniem. Na dworcach kolejowych bywali budzeni kopnięciem buta policjanta, przeganiano ich z pięknych placów, skwerów i parków wielkich metropolii, ale wszędzie było ich pełno, coraz więcej i więcej, podobnych do siebie, a zarazem tak różnych, złączonych tylko jednym: obojętnością dla istniejącego już świata i niechęcią do społeczeństwa dorosłych. Byli jak różnokolorowe ptaki; to łączyli się w ogromne stada i ciągnęli wielkimi gromadami, to nagle rozdzielali się na małe stadka, które nagle pierzchały w najróżniejsze strony. To znów samotnie wędrowali przed siebie bez celu. Można ich było spotkać koło stacji benzynowych albo po prostu koczujących na poboczach wielkich autostrad. Siedzieli w milczeniu przy wielkich ogniskach albo prymitywnych kocherach, żywili się byle czym. Nie pytali o narodowość, nie interesował ich kolor czyjejś skóry, nic ich nie obchodziło poza własną osobowością. Wystarczyło podejść do takiej gromady skupionej wokół rozpalonego dopiero co ogniska i usiąść, a stawało się jednym z nich, członkiem dziwnej społeczności. Znali te same piosenki, mówili te same wiersze, kochali tę samą muzykę. Każdy z każdym dzielił się tym, co posiadał — kawałkiem chleba, pomarańczy, skrętem. Dzielili między siebie nie tylko żywność, ale i uczucia i miłość. Ileż to razy bez słowa zachęty do śpiwora Józefa Maryna wsuwała się jakaś dziewczyna i odchodziła rankiem, nie pytając go nawet o imię albo narodowość, bez żadnego zobowiązania, ponieważ każde zobowiązanie wydawało im się zamachem na własną wolność. Często powtarzali słowo „miłość", rzadko jednak takie uczucie przenikało do ich serc i umysłów, albowiem widzieli się jako społeczność ludzi zupełnie wolnych i pogardzających wszelką formą własności, także i tą, która poprzez wielkie uczucie poddaje jedną istotę ludzką niewoli drugiej ludzkiej istoty.

Już podczas pierwszych wakacji przemierzył Maryn kawał świata, samotnie lub z gromadami takich samych jak on włóczęgów. Tu i ówdzie zatrzymywał się, aby zarobić trochę pieniędzy przy zbieraniu porzeczek lub winogron. W wielkich metropoliach najmował się do noszenia worków na stacjach kolejowych. Ale na krótko — potem znowu ruszał dalej, jak inni, bez celu, to znaczy z tym jednym celem, aby nie być tu, gdzie się jest lub gdzie się właśnie przybyło. Przywiązanie bowiem do miejsca — też im się wydawało jakimś strasznym obciążeniem, zamachem na własną wolność.

Po powrocie do kraju poddawano go kolejnym testom, z których zapewne dowiadywano się tylko tyle, że lepiej zna języki i geografię, zaczyna umieć poruszać się po świecie. Znowu zasiadał w salach wykładowych i równolegle szkolił się w swoim przyszłym rzemiośle. Żył życiem podobnym do innych, choć jedno mu powiedziano: nie może mieć na stałe żadnej dziewczyny, nie może się ożenić, założyć rodziny, powinien zapomnieć o swoich braciach i swoich rodzicach. Albowiem, kiedy przyjdzie odpowiednia chwila, musi ze świata, w którym przebywa — zniknąć tak, aby to nikogo nie obchodziło, nikt go nigdy nie szukał, nie pytał o niego.

Aż przyszło kolejne lato — paszport, śpiwór i cieniutki zwitek banknotów. Już nie pytał po co i dokąd ma jechać. Ruszył tam, gdzie był kiedyś, na szlaki włóczęgi, do takich samych jak on — odrzuconych i pogardzonych przez społeczeństwo, bo sam w końcu uwierzył, że jest jednym z nich, należy do tej wielkiej gromady miłujących wolność. Umiał już śpiewać modne ballady i potrafił dzielić się zabranymi z kraju kostkami rosołowymi, które popijali wodą, aby zaspokoić głód. Jak uprzednio nosił podarte dżinsy i stary sweter, miał jednak już jasne piękne długie włosy z opaską na czole. A kiedy po sezonie porzeczkowym stał się opalony na złoty kolor, mógł się wydawać jakimś złotowłosym bóstwem, które porzuciło zamożny dom rodzinny, aby napawać się wolnością i wyrażać swoją pogardę dla dostatku. Co noc pchały się do jego śpiwora przeważnie czarne dziewczyny, a potem chciały za nim ciągnąć gromadami aż musiał się od nich opędzać i niekiedy całymi dniami koczował samotnie aż stał się powoli kimś jak gdyby wyższym nad owe małe gromadki — wielkim samotnikiem wędrującym do „Krainy szczęśliwości" i pochłoniętym zgłębianiem samego siebie. Tak spotkał nagle jak gdyby swojego sobowtóra — wysokiego, opalonego na złoty kolor młodzieńca o jasnych długich włosach i oderwanych rękawach starej koszuli. Nic tamten nie miał oprócz kociołka na wodę i trójnogu do gotowania wody na ognisku, śpiwora i gitary oraz paszportu, do którego Marynowi udało się kiedyś przypadkowo zajrzeć, poznał imię i nazwisko: Peter Svansson. Podobnie jak Maryn szedł tamten samotnie przez świat w drodze do „Krainy szczęśliwości", opędzając się od dziewcząt i pogardliwie kręcąc głową, gdy zatrzymywały się przy nim drogie samochody prowadzone przez samotne kobiety, które mówiły, że chcą podwieźć, choć tak naprawdę pragnęły otrzeć się lub zażyć rozkoszy z pięknym męskim zwierzęciem. Ale i on — podobnie jak Maryn — już żył tylko dla siebie, zapatrzony w szczęście, które miało go spotkać u kresu wędrówki.

Spotkali się koło jakiejś stacji benzynowej, spojrzeli sobie w oczy i poszli razem, nie wypowiadając do siebie ani słowa, ani nie mówiąc, że będą ze sobą. Odtąd albo szli pieszo albo wyczekiwali na autostradach aż ich ktoś zechce wziąć do samochodu. Spali obok siebie w swych śpiworach na poboczach autostrad, dzielili się między sobą tym, co każdy z nich zdobył albo po prostu od kogoś wyłudził. Przez cały czas wędrówki tamten nie usłyszał głosu Maryna, a Maryn (wtedy nazywał się rzecz jasna zupełnie inaczej) poznał głos Petera jedynie z piosenek, jakie tamten śpiewał wieczorami, pobrzękując na gitarze. Właściwie to Peter śpiewał tylko jedną i tę samą piosenkę, choć zapewne musiał znać i inne. Lecz wciąż grał i śpiewał to samo, jak gdyby ciągle na nowo odkrywając urok kilkunastu zdań, kilkudziesięciu słów. Być może w ten sposób chciał trafić do samego siebie i odkryć siebie.

How many roads must a man walk down
Before you call him a man?...
Yes'n'how many deaths will it take till he knows
that too many people have died?...

Odpowiedź miał przynieść wiatr... Czekali na to, ale wiatr — choć osmalał ich żarem lub smagał zimnem — wciąż był tylko milczącym przyjacielem.

Zdarzało się, że urzeczony pięknem tych dwóch młodych mężczyzn o długich jasnych włosach i opalonych ciałach, jakiś rolnik zamieszkujący w pobliżu autostrady albo kupiec w jakimś mieście, proponował im robotę — koszenie trawy, zbiór owoców, noszenie ciężkich pak. W milczeniu pracowali dzień lub dwa a otrzymawszy jedzenie a niekiedy nawet zapłatę, szli dalej. W miarę zaś jak wędrowali i coraz bliższa wydawała im się „Kraina szczęśliwości", zaczęli odczuwać, że powoli nawiązuje się między nimi jakaś niedostrzegalna nić, ogarnia ich wzajemna miłość, która nie potrzebowała słów, bo słowa tylekroć zbrukane przez miliony ust, są im niepotrzebne. Pewnego razu, siedząc przy rozpalonym naprędce ognisku, spojrzeli sobie głęboko w oczy i ich dłonie połączyły się w uścisku, który trwał długo, jak gdyby wprowadzał ich w jakąś ekstazę, kiedy odległość między człowiekiem i człowiekiem staje się niezauważalna i przełamana zostaje samotność. Ale nawet wówczas żaden z nich nie wypowiedział słowa, nie zapytał drugiego o imię, o to skąd przybył. Czuli się obywatelami świata, który nie zna granic ani różnic między ludźmi. Co wieczór patrzyli sobie w oczy i łączyli dłonie w długim uścisku — dwaj bracia, obywatele jakiejś innej planety, otoczeni wrogim i niezrozumiałym społeczeństwem mrówek, zdyszanych i wiecznie zagonionych. Mieli poczucie, że są cudownie wyzwoleni i doznawali wrażenia dziwnej czystości i dobra, które się w nich zrodziło.

W górach, na autostradzie pnącej się pośród wysokich i bezdrzewnych pustkowi spiętrzonych skał, powstało w nich przekonanie, że nikt nie jest im potrzebny. Po autostradzie mknęły luksusowe autokary, pełne turystów z całego świata, niekiedy zatrzymywały się na dzikich pustkowiach, gdyż tym, co w nich jechali, wydawał się czymś nieludzkim widok dwóch pięknych ludzi wędrujących pieszo przez bezludne okolice. A oni w milczeniu odmownie kręcili głowami, udając, że nie słyszą głosów rozhisteryzowanych turystek, które sądziły, że ci dwaj — tak podobni do aniołów — zginą gdzieś pośród gór z głodu albo pragnienia. I długo jeszcze machały ku nim chusteczkami z autokarów, dopóki nie zasłoniły ich nagle skały.

Zapasy żywności skończyły się, ale potrafili wędrować o głodzie, łykając w płuca lodowate powietrze gór i nocami dygocąc z zimna nawet w swoich śpiworach. Na dużych wysokościach przydarzały im się halucynacje, przeżywali jakieś dziwne stany ducha i dlatego sądzili, że szczęście jest coraz bliżej. Straszliwie wychudli, ale przez to wyglądali dostojniej i jeszcze piękniej. Jakby owo szczęście, które było tak blisko, ujawniło się już na ich twarzach.

CDN

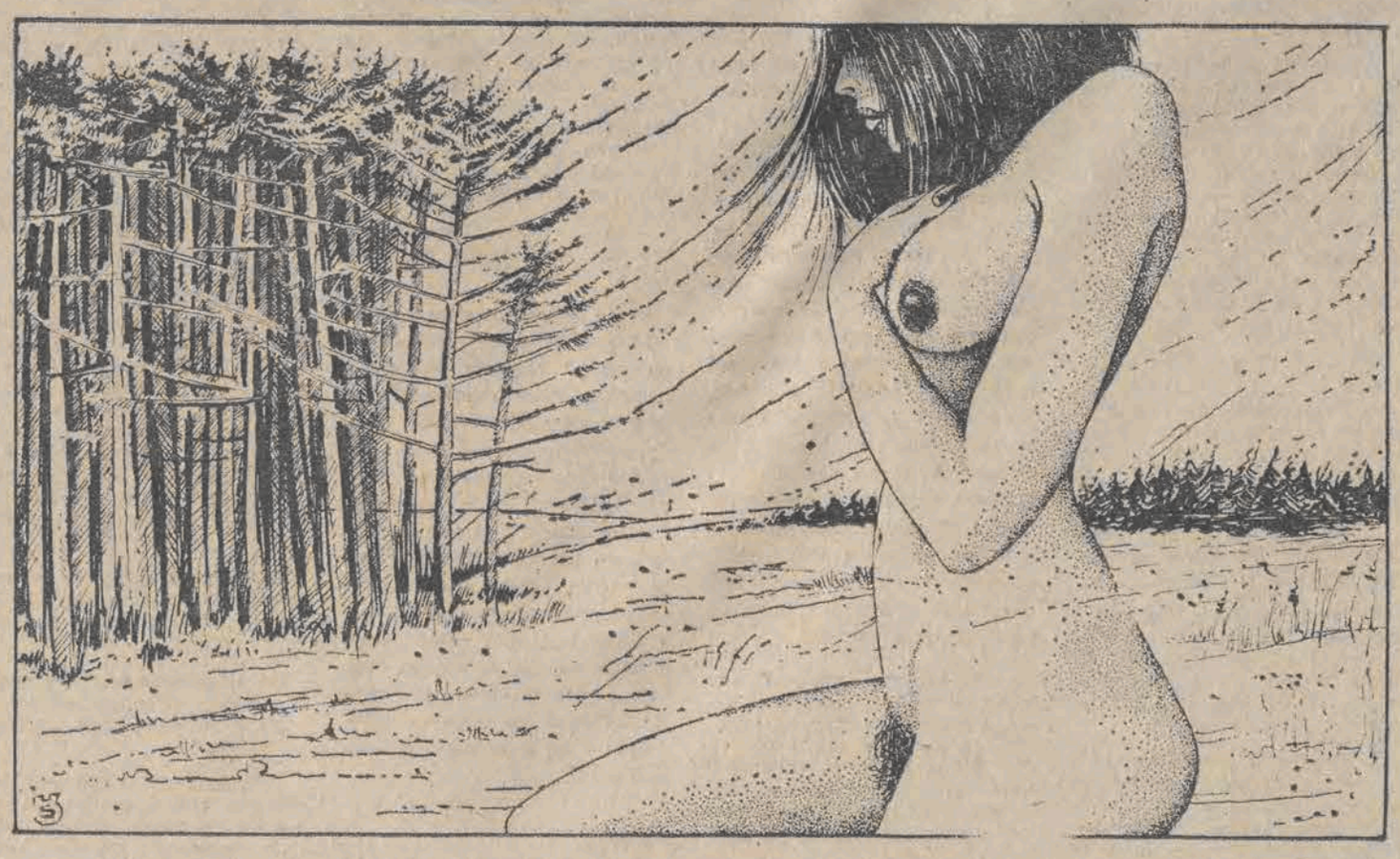

Rys. Janusz Szymański Glanc